

Druga powieść autorki bestsellera
„New York Timesa” PONAD WSZYSTKO



**SŁOŃCE
TEŻ JEST
GWIAZDĄ**

nicola yoon



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

Polecamy książki
Nicolí Yoon

**PONAD
WSZYSTKO**

**SŁOŃCE
TEŻ JEST
GWIAZDĄ**

nicola yoon

**SŁOŃCE
TEŻ JEST
GWIAZDĄ**

Przełożyła z angielskiego
Donata Olejnik



WROCŁAW 2017

Tytuł oryginału
The Sun Is Also The Star

Projekt okładki
ELAINE C. DAMASCO

Ilustracja na okładce
DOMINIQUE FALLA

Redakcja
URSZULA ŚMIETANA

Korekta
URSZULA WŁODARSKA

Redakcja techniczna
KRZYSZTOF CHODOROWSKI

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni autora, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.

Text copyright © 2016 by Nicola Yoon

Published by arrangement with Rights People, London.
Produced by Alloy Entertainment, LLC.

Polish edition © Publicat S.A. MMXVII (wydanie elektroniczne)

Wykorzystywanie e-booka niezgodne z regulaminem dystrybutora,
w tym nielegalne jego kopiowanie i rozpowszechnianie, jest zabronione.
All rights reserved.

Wydanie elektroniczne 2017

ISBN 978-83-271-5685-3



jest znakiem towarowym Publicat S.A.

Publicat S.A.

61-003 Poznań, ul. Chlebowa 24
tel. 61 652 92 52, fax 61 652 92 00
e-mail: office@publicat.pl, www.publicat.pl

Oddział we Wrocławiu
50-010 Wrocław, ul. Podwale 62
tel. 71 785 90 40, fax 71 785 90 66
e-mail: wydawnictwodolnoslaskie@publicat.pl

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Dedykacja

* * *

Prolog

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Irene

Daniel

Charles Jae Won Bae

Rodzina

Natasha

Irie

Daniel

Natasha

Irene

Natasha

Samuel Kingsley

Daniel

Natasha

Maszynista

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Okres połowicznego rozpadu

Daniel

Donald Christiansen

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Wieloświaty

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Miłość

Daniel

Natasha

Hannah Winter

Radca prawny Jeremy Fitzgerald

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Włosy

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Włosy

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Samuel Kingsley

Daniel

Kelnerka

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Los

Natasha

Daniel

Natasha

Samuel Kingsley

Daniel

Natasha

Natasha Kingsley

Daniel

Natasha

Samuel Kingsley

Natasha

Daniel

Dae Hyun Bae

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Joe

Natasha

Daniel

Oczy

Daniel

Natasha

Samuel Kingsley

Daniel

Jeremy Fitzgerald

Hannah Winter

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel

Natasha

Daniel + Natasha

Cztery minuty

Natasha

Daniel

Czas i odległość

Epilog

Podziękowania

Przypisy

*Mamie i Tacie, którzy nauczyli mnie,
czym są marzenia i jak się ich trzymać*

*Zachód słońca nie powinien zostać odarty ze swej romantyczności
za sprawą odrobiny wiedzy na jego temat.*

Błękitna kropka, Carl Sagan^[1]

*Czy ja się ośmielę
Niepokoić wszechświat?
W minucie znajdzie się czas,
By postanowić i sprostować
To, co minuta odmieni.*

Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka, T.S. Eliot^[2]



PROLOG

Carl Sagan powiedział kiedyś, że jeśli chcesz upiec szarlotkę od podstaw, musisz najpierw stworzyć Wszechświat. Mówiąc „od podstaw”, miał na myśli „od zera”. Od czasów, kiedy jeszcze nie istniał nasz świat. Jeżeli chcesz upiec szarlotkę z niczego, musisz zacząć od Wielkiego Wybuchu, rozszerzających się wszechświatów, neutronów, jonów, atomów, czarnych dziur, słońc, księżyców, pływów oceanicznych, Drogi Mlecznej, ewolucji, dinozaurów, wymierania, dziobaków, *Homo erectusa*, człowieka z Cro-Magnon i tak dalej. Musisz zacząć od początku. Wynaleźć ogień. Znaleźć wodę, żyzną glebę i nasiona. Postarać się o krowy i ludzi, którzy będą je doić, oraz kolejnych, którzy ubiją to mleko na masło. Będzie ci potrzebna pszenica, trzcina cukrowa oraz jabłonie. Przyda ci się chemia i biologia. A jeśli szarlotka ma być naprawdę dobra – także sztuka. Żeby szarlotka przetrwała wiele pokoleń, musisz mieć maszynę drukarską, rewolucję przemysłową i może nawet jakiś wiersz.

Żeby stworzyć coś tak prostego jak szarlotka, musisz stworzyć cały, całutki świat.



DANIEL

Miejscowy nastolatek przyjmuje swój los, godzi się zostać lekarzem, same stereotypy

To wina Charliego, że tegoroczne lato (a teraz także i jesień) to jedno absurdałne wydarzenie goniące drugie. Charles Jae Won Bae, zwany też Charliem, mój starszy brat, pierworodny syn pierworodnego syna, zaskoczył moich rodziców (oraz wszystkich ich przyjaciół i całą plotkarską społeczność Koreańczyków w nowojorskiej dzielnicy Flushing), ponieważ dał się wyrzucić z Harvardu („uczelnia najlepsza z najlepszych” – powiedziała moja mama, kiedy przyszło pismo potwierdzające, że dostał się na studia). No więc został wywalony z najlepszej uczelni, a mama przez całe lato chodzi ze zmarszczonym czołem, jakby nie do końca wierzyła i nie do końca rozumiała.

„Dlaczego twoje stopnie złe? Ciebie wyrzucić? Dlaczego ciebie wyrzucić? Dlaczego nie zostawić i kazać się uczyć?”

Na co tata odpowiada: „Nie, nie wyrzucili go. Poprosili, żeby przestał uczęszczać na zajęcia. To nie to samo”

A Charlie mamrocze pod nosem: „To tylko chwilowe. Tylko na dwa semestry”

Pod ciężarem dezorientacji moich rodziców, ich wstydu i rozczarowania niemal współczuję Charliemu. Niemal.



NATASHA

Mama twierdzi, że powinnam już sobie dać spokój i że to, co robię, jest pozbawione sensu. Wygląda na zdenerwowaną, a wtedy mówi z wyraźnym akcentem i każde zdanie staje się pytaniem.

– Nie sądzisz, Tasha, że trzeba już dać z tym spokój? Nie sądzisz, że to, co robisz, nie ma sensu?

Przeciąga pierwszą sylabę w słowie „sens” o sekundę za długo. Tata się nie odzywa. Zabrakło mu słów, może z gniewu, może z bezsilności. Nigdy tego nie rozróżniam. Czoło marszczy tak głęboko i tak mocno, że trudno sobie wyobrazić jego twarz z inną miną. Jeszcze parę miesięcy temu zasmuciłby mnie jego widok, ale teraz mam to gdzieś. To przez niego wpadliśmy w to szambo.

Peter, mój dziewięcioletni brat, jest jedyną osobą w rodzinie zadowoloną z obrotu sprawy. Właśnie pakuje swoją walizkę i puszcza „No Woman, No Cry” Boba Marleya. Staroświecka muza do pakowania – tak ją nazwał.

Chociaż urodził się w Stanach, twierdzi, że chce mieszkać na Jamajce. Zawsze był nieśmiały i dlatego z trudem nawiązuje znajomości. Chyba sobie wyobraża, że Jamajka to raj na ziemi i tam jakimś cudem będzie mu lepiej.

Siedzimy w salonie naszego mikroskopijnego mieszkania. Salon jest jednocześnie sypialnią, którą dzielę z Peterem. Mamy dwie nieduże

sofy, które rozkładamy na noc i dla zachowania odrobiny prywatności przesłaniamy jaskrawoniebieską zasłonką. W tej chwili zasłona jest odsunięta, więc widać obie części pokoju.

Nietrudno odgadnąć, kto z nas chciałby zostać, a kto chce wyjechać. Moja strona nadal wygląda na zamieszkaną. Na małej półce z IKEA stoją książki. Na biurku mam zdjęcie z najlepszą przyjaciółką, Bev. Jesteśmy na nim w laboratorium fizycznym i z okularami ochronnymi na twarzach robimy dzióbki do obiektywu. Okulary były moim pomysłem, dzióbki – jej. Nie wyjęłam ani jednej rzeczy z komody. Nie zerwałam ze ściany plakatu NASA z mapą nieba. Jest ogromny – właściwie to osiem plakatów, które skleiliśmy w jeden – i ukazuje wszystkie najważniejsze gwiazdy, gwiazdozbiory oraz fragmenty Drogi Mlecznej widoczne z półkuli północnej. Zawiera także instrukcje, jak znaleźć Gwiazdę Polarną i jak określać swoje położenie po gwiazdach na nieznanym terenie. Tuby, które kupiłam do zapakowania plakatów, stoją pod ścianą.

Po stronie Petera wszystko świeci pustką, mój brat spakował już swój dobytek w kartony i walizki.

Rzecz jasna, mama ma rację – to, co robię, jest pozbawione sensu. Ale i tak zabieram słuchawki, podręcznik do fizyki i kilka komiksów, jeżeli przyjdzie mi czekać, może dokończę lekcje i poczytam.

Peter patrzy na mnie, kręcąc głową.

– Po co to zabierasz? – pyta. Chodzi mu o podręcznik. – Wyjeżdżamy, Tasha. Nie musisz odrabiać lekcji.

Mój brat odkrył niedawno siłę sarkazmu. Wykorzystuje go przy każdej sposobności. Nie odpowiadam mu, zakładam słuchawki i ruszam w stronę drzwi.

– Niedługo wrócę – rzucam mamie.

Zaciska zęby i się odwraca. Tłumaczę sobie, że przecież to nie na mnie jest zła. „Tasha, nie na tobie jestem zła” – ostatnio często to powtarza.

Idę do urzędu imigracyjnego na Manhattanie, może ktoś będzie w stanie mi pomóc. Mamy status nielegalnych imigrantów, dzisiaj wieczorem zostaniemy deportowani z USA.

To moja ostatnia szansa przekonania jakiegoś urzędnika – albo losu – żeby pomógł mi znaleźć sposób na pozostanie w Ameryce.

Żeby było jasne: nie wierzę w los. Ale jestem zdesperowana.



DANIEL

Powody, dla których uważam, że Charles Jae Won Bae vel Charlie jest totalnym dupkiem (kolejność przypadkowa):

Przed swoją spektakularną (i jakże uroczą) katastrofą na Harvardzie Charlie był dobry dosłownie ze wszystkiego. Nikt nie powinien być dobry ze wszystkiego. Z matmy, angielskiego, biologii, historii, nawet w sporcie. To nieprzyzwoite. Jeszcze rozumiem bycie dobrym w trzech – czterech kategoriach, chociaż i tak to już przekracza zasady dobrego smaku.

To klasyczny samiec, co oznacza, że często zachowuje się jak dupek. Właściwie to prawie zawsze. A nawet non stop.

Jest wysoki, ma wyrzeźbione, wyraziste i w ogóle „wy-” kości policzkowe. Wszystkie dziewczyny (wszystkie, nie tylko Koreanki ze szkółki biblijnej) twierdzą, że ma całusne usta.

Nie byłoby z tym wszystkim żadnego problemu – owszem, zawstydzająco dużo zalet, i zgadza się, odrobinę za wiele skarbów jak na jednego człowieka – gdyby był chociaż miły. Ale nie. Charles Jae Won Bae jest pyszałkowaty, a co najgorsze – terroryzuje innych. Jest dupkiem. Z zamiłowania.

Nie lubi mnie, i to od bardzo dawna.



NATASHA

Telefon, słuchawki i plecak wkładam do szarego koszyka i przechodzę przez bramkę. Strażniczka – Irene, jak głosi plakietka z imieniem – zatrzymuje mój koszyk, zanim wjedzie na taśmę, tak jak to robi codziennie.

Patrzę na nią, ale się nie uśmiecham.

Kobieta zerka do koszyka, odwraca moją komórkę i wbija wzrok w etui, jak to robi codziennie. Mam na nim grafikę z okładki płyty *Nevermind* zespołu Nirvana. Codziennie palce strażniczki muskają wizerunek niemowlaka, a ja codziennie zżymam się na to. Wokalistą Nirwany był Kurt Cobain. Jego głos, poharatanie, które w nim słyhać, brak perfekcji, to, że człowiek może poczuć wszystko, co i on czuł, że jego głos napina się tak mocno, jakby miał zaraz pęknąć, a jednak tak się nie dzieje – tylko to nie pozwala mi oszaleć, odkąd zaczął się cały ten koszmar. Jego rozpacz wydaje się o wiele głębsza niż moja.

Strażniczka nie spieszy się, a ja nie mogę się spóźnić na spotkanie. Już mam coś powiedzieć, ale nie chcę jej rozzłościć. Nie chcę dawać jej powodu, żeby mnie jeszcze dłużej zatrzymywała. Znowu na mnie patrzy, jednak nie daje do zrozumienia, że mnie poznaje, chociaż od tygodnia przychodzę tu codziennie. Jestem dla niej kolejną anonimową twarzą, kolejnym petentem, kolejnym kimś, kto czegoś chce od Stanów Zjednoczonych.



IRENE

Jej historia

Natasha myli się co do Irene. Strażniczka kocha swoją pracę, a co więcej – bardzo jej potrzebuje. To dla niej w zasadzie jedyne źródło kontaktów międzyludzkich i jedyne, co chroni ją przed całkowitą i rozpaczliwą samotnością.

Każda interakcja z petentami ratuje trochę jej życie. Początkowo prawie jej nie zauważają, wrzucają swoje przedmioty do koszyka i obserwują uważnie, jak się przesuwają na taśmie. Większość pewnie boi się, że Irene podwędzi im drobne, długopis, klucze czy coś w tym rodzaju. W normalnych okolicznościach petenci nie zwracaliby na nią uwagi, ale ona stara się, by jednak zwrócili. To jej sposób na kontakt ze światem.

Dlatego zatrzymuje każdy koszyk ręką w białej rękawiczce. Zwłoka jest na tyle długa, że petenci są zmuszeni podnieść wzrok i spojrzeć jej w oczy. Dostrzec stojącą przed nimi osobę. Większość mamrocze wymuszone „dzień dobry”, a słowa dodają jej nieco otuchy. Inni pytają, jak się ma, a to jest jeszcze lepsze.

Nigdy im jednak nie odpowiada. Nie potrafi. Tylko opuszcza głowę i przygląda się badawczo przedmiotom w koszyku, szukając jakichkolwiek wskazówek, informacji, które przechowa na później.

Ale przede wszystkim Irene marzy, by zdjąć rękawiczki i móc dotknąć kluczy, portfeli i leżących luzem drobnych. Przesunąć koniuszkami palców po powierzchniach, zapamiętać teksturę, przesiąknąć elementami cudzego życia. Jednak nie może zatrzymywać tych ludzi w nieskończoność. W końcu musi odesłać koszyk i jego właściciela.

Zeszła noc była wyjątkowo paskudna. Olbrzymia, wygłodniała paszcza smutku próbowała połknąć ją w całości. Dlatego tego ranka Irene potrzebuje kontaktu z ludźmi. Z trudem odrywa wzrok od koszyka i spogląda na petenta.

To ta sama dziewczyna, która przychodzi tu od tygodnia, dzień w dzień. Chyba nie ma więcej niż siedemnaście lat. Wzrok wbiła w koszyk, jak każdy klient i sprawia wrażenie, jakby nie mogła się rozstać z różowymi słuchawkami i komórką. Irene kładzie odzianą w rękawiczkę dłoń z boku koszyka, żeby powstrzymać go, zanim wyjedzie z jej życia na taśmę.

Dziewczyna podnosi głowę, a poczucie własnej ważności Irene wzrasta. Wydaje się jej, że nieznajoma jest tak samo zrozpaczona, jak ona sama. Strażniczka prawie się do niej uśmiecha, a przynajmniej robi to w myślach.

„Witaj z powrotem. Miło cię widzieć”, mówi Irene, ale tylko w głowie.

W rzeczywistości już lustruje zawartość koszyka, przygląda się uważnie telefonowi dziewczyny i obrazkowi przedstawiającemu tłustego niemowlaka zanurzonego całkowicie w przejrzystej, niebieskiej wodzie. Malec rozłożył ręce i wygląda, jakby latał, a nie pływał. Ma otwarte usta i oczy, a przed nim, nadziany na wędkarski haczyk, wisi banknot jednodolarowy. Zdjęcie jest nieprzyzwoite i za każdym razem, gdy Irene na nie patrzy, czuje, że musi nabrać powietrza, jakby sama znajdowała się pod wodą.

Szuka powodu, dla którego mogłaby skonfiskować telefon, ale niczego

nie znajduje.



DANIEL

Pamiętam moment, w którym Charlie przestał mnie lubić. To było lato, skończyłem sześć lat, a on osiem. Jeździł właśnie na swoim błyszczącym, nowiutkim rowerze (czerwony, dziesięć przerzutek, boski) ze swoimi błyszczącymi, nowiutkimi przyjaciółmi (biali, dziesięć lat, boscy). I chociaż przez całe wakacje otrzymywałem czytelne sygnały, nie rozumiałem, dlaczego nagle zyskałem status Wkurzającego Młodszeo Brachola.

Tamtego dnia on i jego koledzy odjechali beze mnie. Goniłem go przez kilka ulic, krzycząc „Charlie!”, przekonany, że po prostu zapomniał mnie zaprosić. Pedałowałem tak szybko, że poczułem zmęczenie (sześciolatki na rowerze generalnie się nie męczą, więc to było naprawdę coś).

Dlaczego nie zrezygnowałem? Przecież wiedziałem, że mnie dobrze słyszy.

W końcu zatrzymał się i zeskoczył z siodła. Rzucił rower na ziemię, ignorując nóżkę, i stał, czekając, aż do niego dotrę. Widziałem, że jest wściekły, nawet kopnął grudki ziemi na swój nowy rower, żeby nikt nie miał co do tego wątpliwości.

– *Hyung* – zacząłem, stosując określenie, jakiego młodzi bracia używają wobec starszych braci. Ledwo wypowiedziałem to słowo, a już zrozumiałem, że popełniłem poważny błąd. Charlie poczerwieniał –

policzki, nos, koniuszki uszu... cała twarz. Aż płonął. Wzrok popędził mu w bok, tam gdzie stali jego nowi koledzy i oglądali nas niczym film w telewizji.

– Jak on cię nazwał? – zapytał niższy.

– To jakiś tajny koreański kod? – włączył się wyższy.

Charlie zignorował ich obu i stanął tuż przede mną.

– Co ty tu robisz? – Był tak wkurzony, że głos mu się załamał.

Nie miałem gotowej odpowiedzi, ale i on niczego takiego nie chciał ode mnie usłyszeć. Chciał za to mnie uderzyć, co widziałem po tym, jak zaciskał pięści. Widziałem, że właśnie przemyśliwuje, co by mu groziło, gdyby uderzył mnie w środku parku w obecności dopiero poznanych chłopaków. Jednakże powiedział tylko:

– Może znajdziesz sobie własnych kolegów i przestaniesz za mną latać jak dzieciuch?

A jednak powinien był mnie uderzyć.

Podniósł rower. Był tak przepełniony gniewem, że mało nie pękł niczym balon, a ja pomyślałem, że będę musiał tłumaczyć mamie, iż jej starszy, idealny syn właśnie eksplodował.

– Mam na imię Charles – powiedział wyzywająco do stojących chłopaków. – Jedziecie czy jak? – dodał i nie czekając, nie oglądając się za siebie, pojechał dalej. Ruszyli za nim, przez park, dalej w lato, aż do szkoły średniej – i nie byli ostatnimi, którzy tak szli jego śladem. Jakimś cudem zrobiłem z mojego brata króla.

Już nigdy więcej nie nazwałem go *hyung*.



CHARLES JAE WON BAE

Historia przyszła

Daniel ma rację w kwestii swojego brata. To absolutny dupek. Niektórzy ludzie wyrastają ze swojej podłej natury, ale w przypadku Charliego do tego nie dojdzie. Utwierdzi się on jedynie w swoim charakterze, a ten stanie się jego drugą skórą.

Jednak zanim Charlie zostanie politykiem, zanim dobrze się ożeni, zanim zmieni nazwisko na Charles Bay, zanim zacznie zdradzać na każdym kroku zarówno swoją dobrą żonę, jak i wyborców, zanim spadnie na niego zbyt wiele pieniędzy i zbyt wiele sukcesów i ciągle będzie dostawał to, czego chce, Charlie zrobi jedną dobrą, bezinteresowną rzecz dla swojego brata. To będzie ostatnia dobra, bezinteresowna rzecz w jego życiu.



RODZINA

Historia imion

Kiedy Min Soo zakochała się w mężczyźnie o nazwisku Dae Hyun, nie spodziewała się, że miłość powiedzie ich z Korei Południowej aż do Ameryki. Dae Hyun był biedny od urodzenia, ale miał kuzyna, który całkiem dobrze sobie radził w Nowym Jorku. I ten kuzyn obiecał im pomóc.

Jak to bywa w przypadku wielu imigrantów, przeprowadzka do nowego kraju to coś w rodzaju aktu wiary. Nawet jeśli zna się dobrze historie o bezpiecznym życiu, o dobrobycie, milionie możliwości, odseparowanie się od własnego języka, narodu i państwa – a także historii – zawsze będzie wielkim skokiem na głęboką wodę. A co, jeśli te wszystkie opowieści były kłamstwem? A jeśli się nie zaadaptujemy? A jeśli nie będą nas tam chcieć?

Ostatecznie okazało się, że tylko niektóre opowieści były prawdziwe. Jak większość imigrantów Min Soo i Dae Hyun zaadaptowali się na tyle, na ile się dało. Unikali ludzi, którzy ich nie chcieli, i miejsc, w których nie byli mile widziani. Jednak kuzyn im pomógł, osiągnęli sukces, wiara została nagrodzona.

Kilka lat później, kiedy Min Soo dowiedziała się, że jest w ciąży, jej pierwsza myśl dotyczyła imienia dla dziecka. Miała wrażenie,

że w Stanach imiona nic nie znaczą, nie to co w Korei. W Korei najpierw stawia się nazwisko, które opowiada całą historię pochodzenia. W Stanach nazwisko rodowe idzie na samym końcu. Dae Hyun stwierdził, że to obrazuje przekonanie Amerykanów, że jednostka jest ważniejsza od rodziny.

Min Soo zadreślała się wyborem imienia. Czy powinno być na tyle amerykańskie, aby nauczyciele i koledzy nie mieli problemu z jego wymową? Czy raczej trzymać się tradycji i wybrać dwa chińskie znaki, żeby stworzyć dwusylabowe imię?

Imiona to potężne narzędzie. Stanowią znaczny identyfikacyjny, rodzaj mapy, pozwalającej zlokalizować człowieka w czasie i przestrzeni. Ostatecznie Min Soo poszła na kompromis. Dała synowi imię amerykańskie, po nim koreańskie i na końcu nazwisko rodowe. Jej pierwszy syn otrzymał imię Charles Jae Won Bae. Drugi natomiast: Daniel Jae Ho Bae.

Ostatecznie wybrała i jedno, i drugie. Koreańskie oraz amerykańskie. Amerykańskie oraz koreańskie.

Żeby wiedzieli, skąd są. Żeby wiedzieli, dokąd zmierzają.



NATASHA

Jestem spóźniona. Wchodzę do poczekalni i kieruję się do recepcjonistki. Ta kręci głową, jakby już to wszystko nie raz widziała. Każdy tutaj już wszystko wcześniej widział i ma w nosie, że dla ciebie to zupełna nowość.

– Musi pani zadzwonić do centrali urzędu i umówić się ponownie na spotkanie.

– Nie mam na to czasu – odpowiadam i zaczynam mówić o strażniczce, Irene, o tym, jaka jest dziwna. Wyjaśniam cicho, rozsądnie, ale recepcjonistka wzrusza ramionami i opuszcza wzrok. To znak, że powinnam się oddalić. W innej sytuacji zapewne bym to zrobiła. – Proszę do niej zadzwonić. Do Karen Whitney. Powiedziała, że mam przyjść jeszcze raz.

– Miała pani wizytę na 8.00. Jest pięć po, pani Whitney ma teraz innego petenta.

– Proszę. To nie moja wina, że się spóźniłam. Powiedziała, że...

Twarz recepcjonistki tężeje. Cokolwiek powiem, nic nie zmieni jej zdania.

– Pani Whitney ma teraz innego petenta – mówi to tak, jakbym ledwo znała język.

– Proszę do niej zadzwonić – żądam. Mój głos brzmi głośno i histerycznie. Wszyscy inni petenci, nawet ci nieznający angielskiego,

zaczynają się na mnie gapić. Rozpacz jest zrozumiała w każdym języku.

Recepcjonistka kiwa głową w stronę stojącego pod drzwiami strażnika. Ale zanim ten zdąży do mnie podejść, otwierają się drzwi do sali konferencyjnej i jakiś wysoki, chudy mężczyzna o ciemnej skórze kiwa na mnie ręką.

– Okej, Mary – zwraca się do recepcjonistki. – Ja się nią zajmę.

Wchodzę szybko przez drzwi, żeby nie zmienił zdania. Nie patrzy na mnie, tylko się odwraca i rusza korytarzem. Idę za nim w milczeniu, aż w końcu zatrzymuje się pod gabinetem Karen Whitney.

– Zaczekaj – mówi do mnie. Znika na zaledwie kilka sekund, a kiedy wraca, ma w ręku czerwoną teczkę – moją.

Idziemy kolejnym korytarzem i docieramy do jego gabinetu.

– Nazywam się Lester Barnes – przedstawia się. – Usiądź.

– Ja jestem...

Ucisza mnie gestem.

– Wszystko, co muszę wiedzieć, znajduje się w tej teczce – mówi, ściskając palcami jej róg. – Bądź tak miła i nic nie mów, a ja przeczytam zawartość.

Na biurku utrzymuje wzorowy porządek, widać, że się nim chlubi. Na blacie stoją srebrne akcesoria biurowe – pojemnik na długopisy, tace na przychodzącą i wychodzącą korespondencję, a nawet wizytownik z wygrawerowanymi inicjałami: LRB. Kto jeszcze używa wizytówek w dzisiejszych czasach? Biorę jedną i wkładam do kieszeni.

Szafka za jego plecami to prawdziwa tęcza stworzona z kolorowych teczek. W każdej kryje się czyjeś życie. Czy każda barwa jest tak oczywista, jak sędzę? Moja teczka ma kolor odrzuconej czerwieni.

Po paru minutach mężczyzna podnosi głowę.

– Dlaczego przyszedłeś? – pyta.

– Karen... to znaczy pani Whitney... kazała mi wrócić. Była dla mnie miła. Powiedziała, że może coś się znajdzie.

– Karen jest tu nowa – odpowiada, jakby mi coś tłumaczył, ale nie wiem co. – Ostatnia apelacja twojej rodziny została odrzucona, panno Kingsley. Deportacja ma moc prawną. Pani i pani rodzina musicie dzisiaj o 22.00 opuścić Stany Zjednoczone.

Zamyka teczkę i popycha w moją stronę pudełko chusteczek, jakby spodziewał się moich łez. Ale ja nie jestem beksą.

Nie płakałam, kiedy ojciec powiedział nam o nakazie deportacji ani kiedy odrzucono nasze apelacje.

Nie płakałam ubiegłej zimy, gdy odkryłam, że mój już teraz ekschłopak Rob mnie zdradza.

Nie płakałam nawet wczoraj, kiedy pożegnałyśmy się finalnie z Bev. Od miesiący wiedziałyśmy, że prędzej czy później to się stanie. Nie płakałam, choć i tak nie było łatwo. Bev powinna przyjść tu dzisiaj ze mną, ale jest z rodziną w Kalifornii, objeżdżają Berkeley i inne państwowe uczelnie.

– Może nadal tu będziesz, kiedy wrócę – upierała się przy siedemnastym uścisku. – Może to wszystko jakoś się ułoży.

Bev zawsze zachowywała niezwykły optymizm, nawet w obliczu poważnych problemów. To jedna z tych dziewczyn, które kupują zdrapki. Ja z kolei należę do osób wyśmiewających się z ludzi kupujących zdrapki.

Tak. Nie rozpłaczę się teraz, nie ma mowy. Wstaję, zabieram moje rzeczy i ruszam ku drzwiom. Wiele mnie kosztuje utrzymanie statusu nie-beksy. W głowie słyszę głos mamy:

„Niech duma nad tobą nie zwycięża, Tasha”

Odwracam się na pięcie.

– A więc naprawdę nic nie można zrobić? Naprawdę muszę wyjechać? – pytam tak cicho, że sama ledwo siebie słyszę. Ale pan Barnes nie ma problemu ze zrozumieniem moich słów. Wysłuchiwanie cichych, zrozpaczonych głosów mieści się w opisie jego stanowiska.

– Twój ojciec jechał po pijaku i...

– I to jego problem. Dlaczego ja mam płacić za jego błędy?

Mój ojciec. Jedyne wieczór jego sławy doprowadził do tego, że wsiadł po alkoholu za kierownicę. Policja nas namierzyła, a ja straciłam miejsce, które nazywam domem.

– Ponieważ przebywasz tu nielegalnie – odpowiada, jednak jego głos nie jest już tak stanowczy jak wcześniej.

Kiwam głową, ale nic nie mówię, bo wiem, że za chwilę naprawdę się rozpłaczę. Zakładam słuchawki i znów ruszam w stronę drzwi.

– Byłem w twoim kraju – mówi. – Byłem na Jamajce. – Uśmiecha się na wspomnienie swojego wyjazdu. – Pięknie było. Wszystko jest tam *irie*. Będzie dobrze.

Psychiatrzy twierdzą, że nie należy dusić w sobie uczuć, ponieważ prędzej czy później eksplodują. Mają rację. Jestem wściekła od kilku miesięcy. Mam wrażenie, że od zawsze. Wściekła na ojca. Wściekła na Roba, który powiedział mi w zeszłym tygodniu, że powinniśmy zostać przyjaciółmi mimo „wszystko” – czyli mimo tego, że mnie zdradził.

Nawet Bev nie uniknęła mojej wściekłości. Przez całą jesień deliberowała nad tym, na jaką uczelnię złożyć papiery, jako kryterium obierając to, gdzie jej chłopak – Derrick – chce studiować. Ciągłe sprawdzała różnice czasu między kolejnymi miastami uniwersyteckimi. „Czy związek na odległość ma szansę przetrwania?” – pytała co kilka dni. Kiedy ostatnio zadała mi to pytanie, zasugerowałam, że może nie powinna uzależniać całej swojej przyszłości od aktualnego chłopaka. Nie przyjęła tego dobrze. Uważa, że ich miłość przetrwa na wieki. Ja sądzę, że jak będą mieli szczęście, to dotrują razem do zakończenia roku. Może do połowy wakacji. Musiałam przez parę tygodni odrabiać za nią fizykę, żeby mi wybaczyła tę uwagę.

A teraz siedzi przede mną facet, który zapewne spędził na Jamajce

tydzień i próbuje mi wmówić, że wszystko będzie *irie*.

Zdejmuję słuchawki.

– Gdzie pan był? – pytam.

– Negril. Bardzo sympatyczne miejsce.

– Opuszczał pan w ogóle kompleks hotelowy?

– Chciałem, ale moja...

– Ale pańska żona nie chciała, ponieważ ogarnął ją strach, prawda?

W przewodniku napisali, że lepiej trzymać się kompleksu hotelowego. –
Wracam na krzesło.

Mężczyzna opiera podbródek na złożonych dłoniach. Po raz pierwszy podczas naszej rozmowy to nie on ją kontroluje.

– Martwiła się o swoje bezpieczeństwo? – Przy tym ostatnim słowie robię w powietrzu znak cudzysłowu, jakby to było coś, czym naprawdę nie warto się przejmować. – A może po prostu nie chciała sobie zepsuć wakacyjnego nastroju widokiem prawdziwej biedy? – Wściekłość, którą w sobie tłumiłam, unosi się z żołądka i podchodzi mi do gardła. – A więc posłuchał pan Boba Marleya, barman przyniósł panu trawkę, ktoś wyjaśnił, co znaczy *irie*, i teraz już pan sądzi, że pan wszystko wie. A widział pan tylko bar *tiki*, plażę i swój pokój hotelowy. To nie jest kraj. To ośrodek wypoczynkowy.

Barnes unosi ręce, jakby próbował się bronić, jakby chciał odepchnąć od siebie moje słowa.

Wiem, jestem straszna.

I nie, nie obchodzi mnie to zupełnie.

– Proszę mi nie mówić, że wszystko będzie dobrze. Nie znam Jamajki, od ósmego roku życia mieszkam w Stanach. Nie znam nikogo na Jamajce. Nie mam jamajskiego akcentu. Nie znam tamtejszej rodziny tak, jak powinno się znać krewnych. To mój ostatni rok nauki w szkole średniej. A co z balem maturalnym, zakończeniem roku i przyjaciółmi? – Chciałabym się przejmować tymi samymi głupotami, którymi oni się

przejmują. Już nawet zaczęłam zbierać dokumenty na Brooklyn College. Mama oszczędzała przez dwa lata i pojechała na Florydę, żeby kupić mi „dobrą” kartę ubezpieczeniową. „Dobra” karta ma wydrukowane prawdziwe, tyle że kradzione numery, a nie zupełnie wymyślone. Facet, który ją sprzedawał, powiedział, że tańsze, z fałszywymi numerami, nie przejdą kontroli, na przykład uniwersyteckiej. A z kartą mogę się ubiegać o dofinansowanie. A jeśli do tego dostałabym stypendium naukowe, być może stać by mnie było nawet na słoneczny Binghamton i inne uczelnie nowojorskie.

– Co ze studiami? – pytam, płacząc. Nie jestem w stanie powstrzymać łez. Zbyt długo czekały na to, by się wydostać na zewnątrz.

Pan Barnes przysuwa mi pudełko chusteczek. Wyciągam sześć czy siedem, wykorzystuję, po czym biorę kolejne sześć, siedem. Znowu podnoszę swoje rzeczy.

– Wie pan, jak to jest, kiedy człowiek nie ma nigdzie dla siebie miejsca? – Znowu zadaję to pytanie zbyt cicho, ale on znowu mnie słyszy.

Stoję już przy drzwiach z ręką na klamce, kiedy mówi:

– Panno Kingsley, proszę zaczekać.



IRIE

Historia etymologiczna

Może już wcześniej obito wam się o uszy słowo *irie*. Może byliście kiedyś na Jamajce i wiecie, że po części pochodzi z dialektu jamajskiego, tak zwanego *patois*. Ale może wiecie także, że słowo to wywodzi się również z ruchu rastafari. Słynny wokalista reggae Bob Marley był rastafarianinem i szerzył religię daleko poza granicami Jamajki. Dlatego być może słowo *irie* kojarzy się wam z historią tej religii.

Może zdajecie sobie sprawę, że rastafari to niewielki odłam trzech głównych religii abrahamowych: chrześcijaństwa, islamu i judaizmu. Zapewne wiecie, że religie abrahamowe są monoteistyczne i skupione wokół różnych wcieleń Abrahama. Może w słowie *irie* słyszycie echo Jamajki z lat trzydziestych ubiegłego wieku, kiedy to ustanowiono ruch rastafari. A może słyszycie echo jego duchowego przywódcy, etiopskiego cesarza Hajle Sellasje, który rządził między 1930 a 1974 rokiem.

Tak więc na dźwięk słowa *irie* słyszycie jego pierwotne, duchowe znaczenie. Wszystko jest w porządku między wami a waszym bogiem, a co się z tym wiąże – między wami a światem. Irie to radosny stan ducha. W słowie tym słyhać wręcz samo ustanowienie religii.

A może nie znacie tej historii.

Nie wiecie nic na temat Boga, ducha i języka. Zacie jedynie współczesną definicję słownikową *irie*, gdzie słowo to znaczy, że wszystko jest w porządku.

Niekiedy człowiek sprawdza słowo w słowniku i przekonuje się, że niektóre znaczenia są uznane za archaiczne, przestarzałe. Natasha często się nad tym zastanawia, nad nieuchwytnością języka. Nad tym, że dane słowo może pierwotnie znaczyć jedną rzecz, a potem przejść długą drogę i znaczyć coś innego. Czy to wynik nadmiernego stosowania i upraszczania, jak to właśnie zdarzyło się ze słowem *irie*, którego uczy się turystów w ośrodkach wypoczynkowych na Jamajce? Czy może to skutek błędnego użycia, jakiego ostatnio ciągle dopuszcza się ojciec Natashy?

Zanim otrzymali nakaz deportacji, odmawiał posługiwania się akcentem jamajskim i stosowania jamajskiego slangu. Teraz, gdy zostali zmuszeni do powrotu, wykorzystuje nowe słownictwo niczym turysta uczący się rozmówek przed wyjazdem za granicę. „Wszystko jest *irie, man*” – odpowiada kasjerowi w sklepie spożywczym, który zapytał go grzecznie: „co słyhać?”. Mówi *irie* do listonosza, który zadał mu to samo pytanie i uśmiecha się przy tym zbyt szeroko. Wkłada ręce do kieszeni, prostuje ramiona i zachowuje się tak, jakby świat obrzucił go większą liczbą darów, niż jest w stanie przyjąć. Widać w tym taki fałsz, że Natasha się obawia, iż wszyscy przejrzą go na wylot. A jednak tego nie robią. Jego podejście sprawia, że ludzie przez chwilę czują się dobrze, jakby ta jego oczywista fortuna miała spaść także i na nich, choćby częściowo.

Zdaniem Natashy słowa powinny przypominać raczej jednostki miary. Metr jest metrem jest metrem. Nie powinno się pozwalać słowom na zmianę znaczenia. Kto i kiedy decyduje o tym, że znaczenie się zmieniło? Czy jest jakiś okres przejściowy, kiedy dane słowo oznacza obie rzeczy? Czy może okres, w którym nic kompletnie nie znaczy?

Natasha wie, że jeśli zostanie zmuszona do wyjazdu, wszystkie jej przyjaźnie, nawet z Bev, z czasem zbledną. Oczywiście, na początku będą utrzymywały kontakty, ale to nie to samo co codzienne spotkania. Nie pójną razem na bal maturalny. Nie będzie wspólnego świętowania tego, że dostały się na studia, ani lania łez, jeśli się gdzieś nie dostaną. Żadnych idiotycznych zdjęć. Czas będzie płynął, z każdym dniem dzieląca ich odległość będzie się wydawała większa. Bev zostanie w Ameryce, żyjąc jak typowa Amerykanka, a Natasha znajdzie się na Jamajce i będzie czuła się obco w kraju, w którym się urodziła.

Ile czasu potrzeba, żeby przyjaciółki o niej zapomniały? Kiedy nabierze jamajskiego akcentu? Jak szybko zapomni, że kiedykolwiek mieszkała w Stanach?

Któregoś dnia w przyszłości znaczenie *irie* się zmieni, słowo to dołączy do innych z długą listą przestarzałych, nieużywanych definicji. „Czy wszystko jest *irie*?”, zapyta cię ktoś perfekcyjnym amerykańskim akcentem. „Wszystko jest *irie*”, odpowiesz, mając na myśli, że jest dobrze, ale nie chcesz o tym rozmawiać. Żadne z was nie będzie myślało o Abrahamie, ruchu rastafari ani dialekcie jamajskim. To będzie słowo całkowicie pozbawione historii.



DANIEL

Miejscowy nastolatek w pułapce rodzicielskich oczekiwań i rozczarowań, nie spodziewa się żadnej pomocy

Jedynym plusem z posiadania zdolnego dupka w funkcji brata jest to, że taki brat zdejmuje presję z twoich ramion. Charlie był zawsze dobry za dwóch synów. A teraz, kiedy się okazało, że jednak nie jest taki idealny, cała presja spoczywa na mnie.

Oto rozmowa, którą odbyłem 1,3 miliarda razy (plus minus), odkąd wrócił do domu:

Mama: Stopnie dobre?

Ja: Taaa.

Mama: Biologia?

Ja: Taaa.

Mama: A matematyka? Nie lubisz matematyki.

Ja: Wiem, że nie lubię matematyki.

Mama: Ale stopnie dobre?

Ja: Nadal wychodzi mi czwórka.

Mama: Dlaczego nie piątka? *Aigo*. Musisz zabrać poważnie do pracy. Nie jesteś już mały chłopiec.

Dzisiaj mam rozmowę z absolwentem Yale w sprawie przyjęcia na studia.

Yale to druga w rankingu najlepszych uczelni, ale po raz pierwszy

zapałem się i odmówiłem startowania do najlepszej (czyli Harvardu). Idea bycia młodszym bratem Charliego w jeszcze jednej placówce edukacyjnej to już naprawdę przesada. Zresztą, kto wie, czy przyjęliby mnie na Harvard, skoro właśnie zawiesili Charliego.

Siedzimy z mamą w kuchni. Ze względu na moją rozmowę chciała zaserwować mi jakiś smakołyk i dlatego gotuje na parze mrożone *mandu* (pierogi). A ja konsumuję przystawkę w postaci Cap'n Crunch (najlepsze znane ludzkości płatki śniadaniowe) i piszę w notesie marki Moleskine. Pracuję nad wierszem na temat złamanego serca – pracuję nad nim od wieków (plus minus). Problem polega na tym, że nigdy nie miałem złamanego serca, więc ciężko mi idzie. Pisanie przy stole kuchennym to prawdziwy luksus, gdyby był tu mój tata, nie mógłbym tego robić. Nie krytykuje na głos moich skłonności poetyckich, ale widać, że ich nie pochwała.

Mama przerywa mi jedzenie i pisanie typową rozmową. Udaje mi się to wszystko połączyć, rzucam „taaa” ustami pełnymi płatków, ale ona nagle zmienia ustalony scenariusz. Zamiast zwykłego „Nie jesteś już mały chłopiec”, mówi:

– Nie bądź taki jak twój brat.

Używa koreańskiego. Dla podkreślenia wagi swoich słów. Na skutek boskiego zrządzenia, zbiegu okoliczności albo czystego, wstrętnego pecha w tej samej chwili do kuchni wchodzi Charlie. Zamieram z płatkami w ustach.

Ktokolwiek spojrzaliby na nas z zewnątrz, uznaliby, że wszystko jest wprost cudowne. Matka szykująca śniadanie dla swoich dwóch synów, z których jeden siedzi przy stole i je płatki (bez mleka), a drugi wkracza właśnie na scenę z lewej strony. On też zasiądzie do śniadania.

Ale nic takiego się nie dzieje. Mama aż rumieni się z zakłopotania faktem, że Charlie ją usłyszał. Lekko, ale widocznie. Proponuje mu *mandu*, chociaż on nienawidzi koreańskich potraw i odmawia ich

zjedzenia, odkąd poszedł do gimnazjum.

A Charlie? Udaje. Udaje, że nie rozumie koreańskiego. Że nie słyszy o pierogach. Udaje, że ja nie istnieję.

Prawie daję się zwieść – dopóki nie spojrzę na jego dłonie. Zwijają się w pięści i zdradzają prawdę: usłyszał i zrozumiał. Mogła nazwać go skończonym głupkiem albo nawet mechanicznym kutasem ze sztuczną moszną – wszystko byłoby lepsze niż ostrzeżenie, żebym nie był taki jak on. Przez całe życie funkcjonowałem jako jego zupełne przeciwieństwo. „Dlaczego nie możesz być chociaż trochę taki jak twój brat?” Ale ten niespodziewany zwrot żadnemu z nas nie wychodzi na dobre.

Charlie wyjmuje szklankę z szafki i nalewa do niej wody. Picie kranówki ma rozzłościć mamę – i rzeczywiście, ta otwiera usta, żeby powiedzieć swoje zwyczajowe: „Nie. Pij z filtra”, ale zaraz je zamyka. Charlie wypija zawartość szklanki trzeba szybkimi haustami i odstawia ją do szafki bez mycia. Drzwiczki zostawia otwarte.

– *Umma*, daj mu spokój – mówię, kiedy Charlie wychodzi. Jestem wkurzony na niego, ale i dla niego. Moi rodzice nie ustawiali w krytykowaniu. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak musi być strasznie pracować przez cały dzień w sklepie pod okiem ojca. Z całą pewnością tata strofuje go pomiędzy uśmiechami rzucanymi pod adresem klientów i odpowiadaniem na pytania o przedłużanie włosów, olejek z drzewa herbacianego i pielęgnację włosów uszkodzonych chemikaliami (moi rodzice prowadzą sklep z produktami do pielęgnacji ciemnych włosów, nosi nazwę Black Hair Care). Mama podnosi pokrywkę parowaru, żeby sprawdzić, czy *mandu* się ugotowały. Okulary zachodzą jej parą. Kiedy byłem mały, bardzo mnie to śmieszyło. Mama trzymała wtedy okulary nad parą tak długo, żeby całe pokryły się skondensowanym powietrzem, a potem udawała, że mnie nie widzi. Teraz zdejmuje szkła i wyciera je ścierką kuchenną.

– Co się dzieje z twój brat? Dlaczego u niego niepowodzenia? U niego nigdy niepowodzenia.

Bez okularów wygląda młodziej, ładniej. Czy to dziwne, że uważam, iż moja mama jest ładna? Prawdopodobnie. Mogę się założyć, że podobna myśl nigdy nie przyszłaby do głowy Charliemu. Wszystkie jego dziewczyny (wszystkie sześć) były ślicznymi, lekko pulchnymi dziewczętami o jasnych włosach i niebieskich oczach.

A nie, kłamię. Była taka jedna, miała na imię Agatha. Jego ostatnia dziewczyna w liceum, zanim poszedł na studia.

Miała zielone oczy.

Mama wkłada okulary i czeka, jakby spodziewała się odpowiedzi. Nie lubi nie wiedzieć, co będzie dalej. Niepewność to jej największy wróg. Podejrzewam, że to dlatego, ponieważ wychowała się w biedzie w Korei.

– U niego nigdy niepowodzenia. Coś się dzieje.

Robię się jeszcze bardziej wkurzony. Może nic się z Charliem nie dzieje. Może niepowodzenie to wynik znudzenia zajęciami. Może on wcale nie chce zostać lekarzem. Może sam nie wie, czego chce. Może się po prostu zmienić.

Tyle że w naszym domu zmiany nie są wskazane. Mamy zostać lekarzami i nie ma od tego żadnego odwołania.

– Wy, chłopcy, macie zbyt łatwo. Ameryka was zrobiła miękki. – Gdybym dostał jedną komórkę mózgową za każdym razem, gdy to słyszę, byłbym już cholernym geniuszem.

– Urodziliśmy się tutaj, mamó. Zawsze byliśmy miękcy.

Mama się krzywi.

– A rozmowa? Gotowy? – Lustruje mnie od stóp do głów i znajduje niedociągnięcie.

– Ty obciąć włosy przed rozmową. – Od kilku miesięcy smęciła, żebym się pozbył mojego krótkiego kucyka. Mruczę coś, co może być

zarówno zgodą, jak i odmową. Stawia przede mną talerz *mandu* i jemy w milczeniu.

Ze względu na ważną rozmowę rodzice zwolnili mnie dzisiaj ze szkoły. Jest dopiero ósma rano, ale nie zamierzam zostawać w domu i wysłuchiwać kolejnych takich tekstów. Zanim zdołam uciec, mama podaje mi woreczek z bankowymi dowodami wpłaty, które mam zanieść tacie do sklepu.

– *Appa* zapomniał. Zanieś mu. – Podejrzewam, że chciała przekazać je Charliemu, ale wypadło jej to z głowy ze względu na incydent w kuchni.

Zabieram woreczek oraz mój komputer i idę na górę, żeby się ubrać. Mój pokój znajduje się na końcu długiego korytarza. Po drodze mijam pokój Charliego (drzwi są zamknięte, jak zwykle) i sypialnię rodziców. O futrynę opiera się kilka nieotwartych czarnych płócien. Mama ma dzisiaj wolne od sklepu, pewnie zamierza spędzić ten dzień, malując w samotności. Ostatnio pracuje nad karaluchami, muchami i chrząszczami. Nabijałem się z niej, mówiąc, że ma teraz Fazę Ohydnych Owadów, ale i tak te obrazy podobają mi się bardziej niż Faza Abstrakcyjnych Orchidei sprzed paru miesięcy.

Obchodzę pusty pokój, który przerobiła na pracownię, bo chcę sprawdzić, czy namalowała coś nowego. Owszem, olbrzymiego chrabąszcza. Płótno nie jest jakoś specjalnie duże, ale robał zajmuje niemal całą powierzchnię. Zawsze maluje pięknie i w żywych kolorach, ale coś w użyciu tych wszystkich barw, by oddać drobiazgowo niemal anatomiczne szczegóły owadów, sprawia, że obrazy są wyjątkowe. Ten został namalowany ciemnymi, perłowymi odcieniami zieleni, czerni i niebieskiego. Pancierz lśni jak plama rozlanego na wodzie oleju.

Trzy lata temu tata zrobił mamie niespodziankę na urodziny – żeby nie musiała codziennie przychodzić do sklepu, zatrudnił pomoc na pół etatu. Kupił też zestaw startowy farb olejnych i parę płócien. Nigdy wcześniej nie widziałem, żeby mama płakała w reakcji na prezent.

Od tego czasu ciągle maluje.

Idę do siebie i zastanawiam się po raz tysięczny (plus minus), jak wyglądałoby jej życie, gdyby została w Korei. A jeśli nie spotkałaby taty? Gdyby nie urodziła mnie i Charliego? Czy byłaby teraz artystką?

Wkładam mój nowy popielaty garnitur i czerwony krawat.

– Zbyt jaskrawy – powiedziała mama, kiedy go kupowaliśmy. Najwidoczniej tylko jej obrazy mogą być kolorowe. Przekonałem ją, mówiąc, że w czerwieni będę wyglądał na pewniejszego siebie. Zerkam w lustro i muszę powiedzieć, że w tym garniturze rzeczywiście wyglądam pewnie i wytwornie (tak, wytwornie). Szkoda, że wkładam go na tę rozmowę, a nie na coś, co jest naprawdę dla mnie ważne. Sprawdzam prognozę pogody w telefonie i uznaję, że nie będzie mi potrzebny płaszcz. Ma być nawet dwadzieścia stopni – idealny jesienny dzień.

Chociaż jestem podirytowany tym, jak potraktowała Charliego, dając jej buziaka, obiecuję obciąć włosy i wychodzę. Później moje życie wskoczy do pociągu jadącego ku stacji Doktor Daniel Jae Ho Bae, ale chwilowo dzień należy do mnie. Zrobię to, co każe mi świat. Postanawiam zachowywać się tak, jakbym tkwił w piosence Boba Dylana i swobodnie unosić się na wietrze. Będę udawał, że moja przyszłość to otwarta księga i jeszcze wszystko może się wydarzyć.



NATASHA

Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu”, mówią ludzie. Moja mama często to powtarza. „Wszystko ma swoją przyczynę, Tasha.” Ta kwestia pada zwykle, gdy coś idzie nie tak, ale nie aż tak nie tak. Przy wypadku bez ofiar śmiertelnych. Zwichniętej kostce zamiast złamanej nogi.

Co wymowne, mama nie użyła tych słów w odniesieniu do naszej deportacji. Bo jaki powód miałyby stać za czymś tak strasznym? Tata, który ponosi wyłączną winę za całą tę sytuację, mawia: „Nie zawsze wiemy, jakie Bóg ma wobec nas plany.” Mam ochotę mu powiedzieć, że może nie powinien we wszystkim liczyć na Boga, i wyjaśnić, że nadzieja wbrew nadziei to nie jest dobra życiowa strategia. To jednak oznaczałoby konieczność rozmowy, a ja nie mam ochoty w ogóle się do niego odzywać.

Ludzie mówią takie rzeczy, kiedy próbują rozgryźć świat. W ukryciu, w najgłębszej głębi serca niemal każdy wierzy, że życie ma jakiś sens, jakąś umyślność. Sprawiedliwość. Podstawową przyzwoitość. Dobre rzeczy przytrafiają się dobrym ludziom, złe – tylko złym.

Nikt nie chce wierzyć, że życie jest przypadkowe. Ojciec mówi, że nie wie, skąd się bierze mój cynizm, ale przecież nie jestem cynikiem, tylko realistką. Lepiej widzieć życie takim, jakim jest, a nie takim, jakim by się chciało je widzieć. To nie jest tak, że wszystko dzieje się z jakiegoś powodu. Po prostu się dzieje – koniec, kropka.

Co nie zmienia faktu, że gdybym się nie spóźniła na spotkanie, nie poznałabym Lestera Barnesa. Gdyby nie wypowiedział słowa *irie*, nie rozkleiłabym się zupełnie. A gdybym się nie rozkleiła, nie trzymałabym teraz w garści kartki z nazwiskiem prawnika znanego jako ten, który znajdzie wyjście z każdej sytuacji.

Wychodzę z budynku, mijając punkt kontroli. Czuję irracjonalną i nietypową dla mnie ochotę, by podziękować tej strażniczce – Irene – ale w tej chwili zajmuje się ona cudzymi przedmiotami dwa metry dalej.

Sprawdzam, czy dostałam jakieś wiadomości. Chociaż w Kalifornii, dokąd pojechała Bev, jest dopiero wpół do szóstej rano, moja przyjaciółka przysłała mi ciąg znaków zapytania. Już mam jej napisać o rozwoju sytuacji, ale uznaję, że sytuacja się jeszcze nie rozwinęła.

„Na razie nic”, odpisuję. Egoistycznie żałuję, że nie ma jej tu ze mną. W rzeczywistości jednak wolałabym być z nią teraz w Kalifornii, objężdzać uczelnie, zachowywać się jak normalna uczennica ostatniej klasy szkoły średniej.

Zerkam ponownie na kartkę. Jeremy Fitzgerald. Pan Barnes nie pozwolił mi zadzwonić ze swojego telefonu i umówić się na wizytę.

– To strzał w ciemno – powiedział, po czym dosłownie wypchnął mnie za drzwi.

Bezsprzeczny fakt: nie powinno się strzelać w ciemno. Lepiej przeanalizować okoliczności i strzelić do celu. Jednakże jeśli strzał w ciemno to twoja jedyna szansa, wtedy lepiej jest go wykonać.



IRENE

Historia niepewna

W czasie przerwy obiadowej Irene ściąga dla siebie album Nirvany i przesłuchuje go trzykrotnie. W głosie Kurta Cobaina słyszy to samo co Natasha – idealną, piękną rozpacz, głos tak naprężony od samotności i pragnienia, że powinien pęknąć. Irene uważa, że byłoby lepiej, gdyby pękł, to lepsze niż życie w niezaspokojonym pragnieniu, lepsze niż życie samo w sobie.

Schodzi za głosem Kurta Cobaina nisko nisko nisko, do miejsca, w którym panuje głęboka czerń. A kiedy sprawdza, co piszą o nim w Internecie, przekonuje się, że jego historia nie miała szczęśliwego zakończenia.

Irene postanawia powziąć plan. Postanawia, że to będzie ostatni dzień jej życia.

W rzeczywistości od kilku lat nosi się z myślą o samobójstwie. W tekstach Cobaina znajduje wreszcie właściwe słowa i pisze list adresowany do nikogo: „Oh well. Whatever. Nevermind” [3].



NATASHA

Ledwo wychodzę z budynku, od razu wybieram numer.

– Chciałabym się umówić na spotkanie, jeszcze dzisiaj, najszybciej jak się da. Proszę.

Mam wrażenie, że kobieta, która odbiera telefon, znajduje się na placu budowy, w tle słychać bowiem wiercenie i łomot. Muszę się dwukrotnie przedstawić.

– W jakiej sprawie? – pyta.

Waham się. Kiedy jest się nielegalnym imigrantem, człowiek staje się mistrzem dotrzymywania tajemnic. Zanim zaczęła się cała ta epopeja deportacyjna, powiedziałam o wszystkim tylko jednej osobie – Bev, chociaż ona nie potrafi utrzymać sekretu.

„Tak mi się jakoś wymykają”, twierdzi, jak gdyby nie miała żadnej kontroli nad słowami, które wydobywają się z jej ust.

Ale nawet Bev zdawała sobie sprawę, jak ważne jest trzymanie języka za zębami w tej sprawie.

– Halo! Na czym polega problem? – dąży kobieta po drugiej stronie słuchawki.

Przyciskam telefon do ucha i nieruchomieję na środku schodów. Świat wokół mnie przyspiesza, jak film przewijany pospiesznie do przodu. Ludzie schodzą ze stopni i wchodzą trzy razy szybciej niż zwykle, nad głowami przelatują chmury, słońce przeskakuje w inne

miejsce na niebie.

– Jestem tu nielegalnie – odpowiadam. Serce mi wali tak, jakbym przebiegła bardzo długi dystans w bardzo długim czasie.

– Muszę wiedzieć coś więcej – nalega kobieta.

Więc jej mówię. Pochodzę z Jamajki. Moi rodzice przekroczyli nielegalnie granicę Stanów, gdy miałam osiem lat, i od tamtego czasu tu mieszkam. Mój ojciec został przyłapany na jeździe po alkoholu. Otrzymaliśmy nakaz deportacji. Lester Barnes uznał, że pan Fitzgerald może mi pomóc.

Kobieta zapisuje mnie na jedenastą.

– W czymś jeszcze mogę ci pomóc? – pyta.

– Nie – mówię. – To wystarczy.

Kancelaria znajduje się w centrum, niedaleko Times Square. Zerkam na telefon, jest 8:35. Zrywa się niewielki wiaterek, unosi krawędź mojej spódniczki i mierzwi mi włosy. Jest zaskakująco ciepło jak na połowę listopada. Może niepotrzebnie zabrałam skórzaną kurtkę. W myślach wypowiadam życzenie, żeby zima nie okazała się zbyt mroźna, po czym się reflektuję. Zapewne i tak mnie tu nie będzie. Czy jeśli śnieg spada na miasto, ale nie ma w nim żywej duszy, która mogłaby go poczuć, nadal jest zimno?

Tak. Odpowiedź brzmi: tak.

Otulam się szczelniej kurtką. Wciąż nie mogę uwierzyć, że moja przyszłość będzie inna niż ta, którą sobie zaplanowałam.

Jeszcze dwie i pół godziny. Moja szkoła znajduje się zaledwie piętnaście minut spacerem stąd. Zastanawiam się, czy nie iść i nie popatrzeć na nią po raz ostatni. To dobre liceum, w którym nacisk kładziony jest na przedmioty ścisłe. Musiałam naprawdę przysiąc fałdów, żeby się tu dostać. Nie mogę uwierzyć, że być może już nigdy jej nie zobaczę. Ostatecznie rezygnuję z tego pomysłu. Za dużo ludzi, za dużo pytań w stylu: „A dlaczego nie ma cię dzisiaj w szkole?”,

na które nie mam ochoty odpowiadać.

Postanawiam zabić czas, idąc pieszo te niecałe pięć kilometrów do kancelarii. Po drodze znajduje się mój ulubiony sklep z płytami. Zakładam słuchawki i puszczam *Temple of the Dog*. Dzisiaj jest dzień na grunge z lat dziewięćdziesiątych: samo cierpienie i głośne gitary. Chris Cornell podnosi głos, a ja pozwalam mu zabrać część moich trosk.



SAMUEL KINGSLEY

Historia żalów, część 1

Samuel Kingsley, ojciec Natashy, przeniósł się do Stanów dwa lata wcześniej niż jego rodzina. Plan był taki, że ma pojechać jako pierwszy i zostać aktorem na Broadwayu, co wydawało się zdecydowanie prostsze bez żony i małego dziecka. Dzięki temu mógł chodzić na castingi w dowolnych chwilach i nawiązywać znajomości w nowojorskim świątku aktorskim. Pierwotnie miał pojechać na rok, ale z jednego zrobiły się dwa. Miały się zrobić trzy, jednakże mama Natashy postanowiła, że nie może i nie będzie dłużej czekać.

Natasha miała wtedy zaledwie sześć lat, ale pamięta rozmowy telefoniczne z Ameryką. Poznawała je, bo mama musiała wybrać mnóstwo dodatkowych cyfr. Na początku wszystko było w porządku. Tata brzmiał jak tata. Wydawał się szczęśliwy.

Mniej więcej po roku jego głos się zmienił. Nabrał nowego akcentu, stał się bardziej melodyjny i nosowy, mniej było w nim słychać *patois*. Nie wydawał się już taki szczęśliwy. Nie słyszała, co mówi, ale wcale nie musiała. „Jak długo jeszcze każesz nam czekać?”, „Ale, Samuel! Ty tam, a my tu, co to za rodzina?”, „Porozmawiaj ze swoją córką”

I wreszcie któregoś dnia wyjechały z mamą z Jamajki. Natasha pożegnała się z koleżankami i resztą rodziny, spodziewając się,

że wkrótce znów się z nimi zobaczy, może na Gwiazdkę. Nie miała pojęcia, czym jest status nielegalnego imigranta, nie wiedziała, że to oznacza, że nigdy nie będzie mogła tu przyjechać. Że dom przestanie być domem, stanie się jednym z tych obcych miejsc, o których się czasami gdzieś czyta. Pamięta, że w dniu wyjazdu siedziała w samolocie i martwiła się, jak przelecą przez chmury, zanim zrozumiała, że to wcale nie są kłębki waty. Była ciekawa, czy tata ją pozna i czy nadal będzie ją kochał. W końcu minęło mnóstwo czasu.

A jednak ją poznał i nadal ją kochał. Na lotnisku przytulił je obie do siebie.

– Ale za wami tęskniłem! – powiedział i przycisnął je jeszcze mocniej. Wyglądał tak samo jak zawsze. W tamtej chwili nawet brzmiał tak samo, w jego głosie słychać było dawny *patois*. Inaczej tylko pachniał, amerykańskim mydłem, amerykańskimi ubraniami i amerykańskim jedzeniem. Ale Natashy to nie przeszkadzało, tak się cieszyła na jego widok. Wiedziała, że do wszystkiego się przyzwyczai.

Przez te dwa lata samotnego pobytu w Stanach Samuel mieszkał u starej przyjaciółki swojej matki. Nie potrzebował pracy, niewielkie wydatki pokrywał dzięki oszczędnościom.

Ale kiedy żona i córka do niego przyleciały, to się musiało zmienić. Zatrudnił się jako ochroniarz w jednym z budynków przy Wall Street i wynajął kawalerkę w dzielnicy Flatbush na Brooklynie.

– Dam radę ze wszystkim – obiecał Patricii, swojej żonie. Specjalnie wybierał nocne zmiany, żeby w ciągu dnia mieć czas na castingi.

Tyle że w ciągu dnia czuł się zmęczony.

A poza tym nie było dla niego ról, nieważne, jak bardzo się starał, nie potrafił zgubić akcentu. Zresztą nie pomagało mu wcale to, że Patricia i Natasha mówiły do niego jamajskim dialektem, chociaż próbował nauczyć je „właściwej” amerykańskiej wymowy.

Niełatwo znosił odmowy. Aktorzy powinni mieć grubą skórę, a tego

mu brakowało. Odmowy działały na niego jak papier ścierny, zdzierając mu kolejne warstwy skóry. Po pewnym czasie nie był pewien, co przetrwa dłużej: on sam czy jego marzenia.



DANIEL

Zrezygnowany miejscowy chłopak wsiada do pociągu linii 7 jadącej na zachód, do stacji Koniec Dzieciństwa

Wiem, że bywam niekiedy trochę melodramatyczny, ale tak się właśnie czuję. Siedzę w Pieprzonym Magicznym Pociągu, który wiezie mnie od dzieciństwa (radość, spontaniczność, dobra zabawa) w dorosłość (rozpacz, przewidywalność i absolutnie żadnej zabawy dla nikogo). Gdy wysiądę, będę miał plan oraz gustownie przycięte (czytaj: krótkie) włosy. Nie będę już czytał (ani pisał) poezji – jedynie biografie VIP-ów. Będę posiadał Punkt Widzenia w rozmaitych poważnych kwestiach, jak imigracja, rola Kościoła katolickiego w coraz bardziej zeświecczonym społeczeństwie oraz dupowatość zawodowych drużyn piłkarskich.

Pociąg się zatrzymuje, połowa ludzi wysypuje się na peron. Zajmuję moje ulubione miejsce: dwuosobowe siedzisko w rogu, obok kabiny maszynisty. Rozsiadam się i zajmuję oba siedzenia.

Wiem, że to okropne. Ale mam konkretny powód takiego zachowania: wspomnienie całkowicie pustego pociągu kiedyś o drugiej w nocy (długo po godzinie, o której miałem wrócić do domu) i faceta z olbrzymim węzłem na szyi, który usiadł tuż obok mnie, chociaż w pociągu było tysiąc (plus minus) wolnych miejsc.

Wyjmuję notes z wewnętrznej kieszeni marynarki.

Droga do Trzydziestej Czwartej ulicy na Manhattanie, gdzie mieści się mój ulubiony zakład fryzjerski, zajmuje około godziny, a ten wiersz sam się nie napisze. Pięćdziesiąt minut (i trzy bardzo kiepskie wersy) później zostają dwie stacje do mojej docelowej. Zamykają się drzwi Pieprzonego Magicznego Pociągu, wjeżdżamy jakieś sześć metrów w głąb tunelu i nagle się zatrzymujemy. Światła gasną, bo dlaczego by nie. Siedzimy tak przez pięć minut, aż w końcu maszynista dochodzi do wniosku, że warto się do nas odezwać. Spodziewam się, że powie coś o tym, że niedługo ruszymy, ale on mówi coś zupełnie innego.

– PAnie i PAnowie. DO wczoraj byłem taki jak wy. JEchałem pociągiem DOnikąd, tak samo jak wy.

Ja pierniczę. Wariaci zwykle jadą pociągiem, ale nie prowadzą pociągu. Pozostali pasażerowie prostują się na swoich siedzeniach. „O co, kurde, chodzi?” – widzę dymki nad naszymi głowami.

– JEdnak coś mi się PRZYtrafiło. Doznałem Religijnego OByawienia.

Nie wiem, skąd on jest (Wariatkowo, liczba mieszkańców: 1), ale przesadnie akcentuje początki słów i brzmi tak, jakby się przez cały czas uśmiechał.

– SAM Bóg zszedł z NIEbios i mnie ocalił.

Widzę ręce uderzające się w czoło i przewracanie oczami.

– WAS także ocali, ale musicie PRZYjąć go do swojego serca. PRZYJmijcie go teraz, zanim dotrzecie do ostatecznego CElu waszej podróży.

Teraz i ja jęczę, bo gry słów to najgorsze, co może być. Jakiś facet w garniturze krzyczy, żeby maszynista zamknął się do kurwy nędzy i jechał dalej. Matka zakrywa uszy swojej małej córeczce i strofuje gościa, by nie używał takich słów. Za chwilę wszyscy zrobimy sobie *Władcę much* w pociągu linii numer siedem.

Nasz motorniczy/ewangelista milknie i jeszcze przez minutę siedzimy w ciemności. W końcu ruszamy i wjeżdżamy na stację Times Square,

jednak drzwi się nie otwierają. Głośnik zaczyna trzeszczeć.

– PAnie i PAnowie. Ten pociąg się ZEpsuł. Zróbcie coś dla SIEbie.
WYnoście się stąd. Znajdziecie BOga, jeśli go tylko poszukacie.

Wysiadamy wszyscy, czując mieszaną ulgi i gniewu.

Każdy z nas dokądś zmierza. Szukanie Boga nie znajduje się
w harmonogramie naszego dnia.



NATASHA

Istoty ludzkie to nie są rozsądne stworzenia. Zamiast kierować się logiką, kierujemy się emocjami. Świat byłby znacznie przyjemniejszym miejscem, gdyby było odwrotnie. Oto przykład: na podstawie jednej rozmowy telefonicznej zaczęłam liczyć na cud.

A przecież nawet nie wierzę w Boga.



MASZYNISTA

Historia nawrócenia

Rozwód nie był łatwy dla maszynisty. Któregoś dnia żona oznajmiła, że po prostu przestała go kochać. Nie potrafiła tego wyjaśnić. Nie miała romansu, nie było żadnego innego mężczyzny. Jednak miłość się skończyła.

Można powiedzieć, że w ciągu czterech lat od rozvodu maszynista stał się kimś w rodzaju ateisty. Pamięta przysięgę składaną w obliczu Boga i ludzi. Skoro osoba, która powinna cię kochać aż do śmierci, przestaje, człowiek nie ma już w co wierzyć.

Owładnięty niepewnością i pozbawiony gruntu pod nogami, przenosi się z miasta do miasta, z mieszkania do mieszkania, z pracy do pracy, nie czując niemal żadnych związków łączących go z tym światem. Ma problemy z zasypianiem, pomaga mu jedynie oglądanie telewizji do późna w nocy z wyłączonym dźwiękiem. Niekończąca się kaskada obrazów wycisza jego umysł i kołysze go do snu.

Którejś nocy powtarza ten sam rytuał, gdy nagle jakiś nowy program zwraca jego uwagę. Mężczyzna stoi przy pulpicie przed ogromną widownią. Za nim, na olbrzymim ekranie, wyświetlana jest jego twarz. Płacze do kamery, a obiektywy kierują się na urzeczoną widownię. Niektórzy słuchacze też płaczą, ale maszynista wie, że to nie ze smutku.

Tej nocy w ogóle nie zasypia. Włącza dźwięk i do rana ogląda program.

Następnego dnia zaczyna szperać i dowiaduje się o istnieniu chrześcijaństwa ewangelikalnego, a tym samym wyrusza w duchową podróż, która – z czego nie zdawał sobie sprawy – była mu potrzebna. Przekonuje się, że przejście na chrześcijaństwo ewangelikańskie składa się z czterech etapów. Najpierw trzeba się odrodzić. Maszyniście bardzo się podoba idea ponownych narodzin, bycia wolnym od grzechu, a więc wartym miłości i zbawienia. W drugim i trzecim etapie musi uwierzyć bezgranicznie w Biblię i to, że Chrystus umarł za nasze winy. Ostatni krok to szerzenie ewangelii, dzielenie się przesłaniem z innymi.

To właśnie dlatego maszynista przemówił przez głośniki w pociągu. Bo jakże miał się nie podzielić z bliźnimi świeżo odkrytą radością? To rzeczywiście jest radość, czysta radość płynąca z wiary. Pewność, że życie ma jednak cel i sens, i chociaż egzystencja na ziemi może być trudna, w przyszłości czeka na ciebie lepsze miejsce, a Bóg ma plan, by cię tam doprowadzić.

Że wszystko, co mu się przytrafiło – nawet to, co złe – zdarzyło się nie bez powodu.



DANIEL

Ponieważ w ten Ostatni Dzień Dzieciństwa pozwalam, by Wszechświat dyrygował moim życiem, nie zamierzam czekać na następny pociąg, który zawiezie mnie na ulicę Trzydziestą Czwartą. Maszynista kazał nam szukać Boga. Może On (albo Ona – nie, komu ja tu próbuję wciskać kit? Bóg to na sto procent facet; bo jak wytłumaczyć wojny, zarazy i poranną erekcję?) jest właśnie tutaj, przy Times Square, i tylko czeka na odnalezienie. Ledwo wydostaję się na powierzchnię, przypominam sobie, że Times Square to w zasadzie piekło (ogniste płomienie neonów reklamujących wszystkie siedem grzechów głównych). Bóg w życiu by się tu nie kręcił.

Idę Siódmą Aleją w stronę fryzjera i rozglądam się w poszukiwaniu Znaku. Na Trzydziestej Siódmej dostrzegam kościół. Wchodzę po schodach i chwytam za klamkę, ale drzwi są zamknięte na klucz. Może Bóg odsypia zarwaną noc. Patrzą na prawo i na lewo, jednak nadal nie widzę Znaku. Szukam czegoś subtelnego, czegoś w rodzaju długowłosego faceta zamieniającego wodę w wino, trzymającego transparent głoszący, że jest Jezusem Chrystusem, Naszym Panem i Zbawcą.

Chrzanię garnitur, siadam na stopniach. Po drugiej stronie ulicy ludzie wymijają dziewczynę, która lekko się kołysze. Ma ciemną skórę, potężną burzę afro-loków i niemal tak samo wielkie różowe słuchawki

z gatunku tych, które blokują całkowicie zewnętrzne dźwięki (i wyciszają resztę świata). Ma zamknięte oczy i położyła sobie rękę na sercu. Totalnie odpłynęła.

Wszystko to trwa może pięć sekund, po czym dziewczyna otwiera oczy. Rozgląda się, zwiesza ramiona, jakby się zawstydziła, i rusza przed siebie. To, czego słucha, musi być naprawdę niesamowite, skoro tak się w tym zatraciła na środku chodnika w centrum Nowego Jorku. Jedyne, z czym mogę to porównać, to moje pisanie poezji, ale daleko mi do niej.

Dałbym wiele, żeby chcieć życia, którego pragną dla mnie rodzice. Byłoby mi znacznie łatwiej, gdybym marzył o zostaniu lekarzem. W końcu zawód lekarza to jedna z tych rzeczy, które powinny być pasją. Ratowanie życia i tak dalej. Ja jednak czuję wyłącznie zniechęcenie.

Przyglądam się, jak dziewczyna odchodzi, przenosi plecak na jedno ramię, a wtedy zauważam napis DEUS EX MACHINA, wydrukowany wielkimi białymi literami z tyłu jej skórzanej kurtki. „Bóg z maszyny”. Słyszę w głowie głos maszynisty i zastanawiam się, czy to właśnie jest Znak.

Zwykle nikogo nie śledzę, i teraz też właściwie tego nie robię. Po prostu utrzymuję między nami w miarę rozsądny dystans długości kilku budynków.

Dziewczyna wchodzi do sklepu z płytami o nazwie Second Coming Records. Drugie Nadejście. Nie żartuję. Teraz już wiem: to na sto procent Ten Znak, a ja mam dzisiaj zamiar płynąć z wiatrem. Chcę wiedzieć, dokąd mnie zaprowadzi.



NATASHA

Wpadam do sklepu z płytami. Mam nadzieję, że w ten sposób uniknę spojrzeń tych wszystkich, którzy przyłapali mnie na dziwnym zachowaniu na ulicy. Dałam się ponieść muzyce. Chris Cornell śpiewający *Hunger Strike* zawsze tak na mnie działa. Refren brzmi tak, jakby Chris był ciągle głodny.

Wewnątrz Second Coming światło jest przygaszone, czuć zapach kurzu i cytrynowego odświeżacza powietrza, jak zwykle. Od ostatniej mojej wizyty zmienili układ, wcześniej płyty były posegregowane według dekad, teraz – według stylu muzycznego. Nad każdym wisi plakat będący podsumowaniem gatunku. *Nevermind* Nirwany nad grunge'em, *Blue Lines* Massive Attack przy trip-hopie, *Straight Outta Compton* grupy N.W.A. przy rapie.

Mogłabym tu spędzić cały dzień i gdyby nie to, że dzisiaj jest Dzisiaj, tak bym właśnie zrobiła. Niestety, nie mam ani czasu, ani pieniędzy.

Zmierzam właśnie do półek z trip-hopem, kiedy zauważam całującą się parę w odległym kącie, w sekcji gwiazd popu. Przykleili się do siebie pod plakatem *Like a Virgin* Madonny, więc niezbyt dobrze widzę ich twarze, ale profil tego chłopaka wszędzie rozpoznam. To mój były, Rob. Całuje się z Kelly, z którą mnie zdradził.

Akurat dzisiaj musiałam wpaść akurat na niego. Dlaczego nie siedzi w szkole? Przecież wie, że to moje miejsce. Przecież on nawet nie lubi

muzyki. W myślach słyszę głos mamy: „Wszystko dzieje się z jakiegoś powodu, Tasha.” Nie wierzę w takie bzdury, ale te wszystkie straszne rzeczy, które się dzisiaj dzieją, muszą przecież mieć jakieś logiczne wytłumaczenie. Żałuję, że nie ma przy mnie Bev. Gdyby była ze mną, w ogóle nie weszłabym do tego sklepu. „Stary i nudny”, zawsze powtarza. Pewnie siedziałybyśmy na Times Square, przyglądając się turystom, próbując odgadnąć na podstawie ich ubrań, skąd przyjechali. Niemcy noszą krótkie spodenki bez względu na pogodę.

Jakby mało mi było przyglądania się, jak się miziają, widzę, że Kelly wyciąga rękę, chwytą płytę i wsuwa ją pomiędzy swoje ciało i Roba, po czym chowa w czeluściach bardzo obszernej kurtki, wprost idealnej dla złodzieja.

Nie. Nie. I jeszcze raz nie.

Wolałabym wypalić sobie oczy, niż się na nich gapić, ale i tak to robię. Po prostu nie wierzę w to, co widzę. Pożerają się żywcem przez kolejne kilka sekund, a wtedy jej ręka znów wysuwa się w stronę płyt.

– O Jezu. Czy oni muszą być tacy obleśni? – wymyka mi się, zanim zdołam się powstrzymać. Tak jak moja mama, mam tendencję do wypowiedziania na głos myśli.

– Ona tak po prostu to ukradnie? – Słyszę za sobą czyjś podobnie niedowierzający głos. Odwracam się szybko. To chłopak. Azjata w szarym garniturze i idiotycznie krwistoczerwonym krawacie.

Wracam do obserwowania Roba i Kelly.

– Czy tu nie ma obsługi? Nie widzą, co się dzieje? – pytam, bardziej siebie niż chłopaka.

– Może powinniśmy coś powiedzieć?

– Im? – Wskazuję na złodziejską parę.

– Raczej pracownikom.

Kręcę głową, nie patrząc na niego.

– Znam ich – odpowiadam.

– Ta kleptomanka to twoja koleżanka? – W głosie pojawia się oskarżycielski ton.

– To dziewczyna mojego chłopaka.

Czerwony Krawat odwraca głowę od sceny zbrodni i skupia się na mnie.

– A jak to się konkretnie sprawdza w rzeczywistości?

– Chciałam powiedzieć: byłego chłopaka – prostuję. – Zdradził mnie z nią – dodaję. Widok Roba wstrząsnął mną bardziej, niż się spodziewałam. To jedyne wytłumaczenie tego, że sama z siebie podzieliłam się taką informacją z zupełnie obcą osobą.

Czerwony Krawat znów spogląda na drobnych przestępców.

– Świetna para – mówi. – Zdrajca i złodziejka.

Niemal wybucham śmiechem.

– Powinniśmy komuś powiedzieć.

Kręcę głową.

– Nie ma mowy. Ty to zrób.

– Im nas więcej, tym lepiej – odpowiada.

– Jeżeli cokolwiek powiem, wyjdzie na to, że jestem zazdrosna i próbuję się zemścić.

– A jesteś?

Spoglądam na chłopaka, na jego twarzy maluje się współczucie.

– To dość osobiste pytanie, nie sądzisz, Czerwony Krawacie?

Wzrusza ramionami.

– Połączyły nas emocje.

– Nie – odpowiadam i odwracam się w stronę pary. Rob zauważa mnie, zanim zdołam odwrócić wzrok.

– O ja cię kręcę – rzucam pod nosem.

Rob obdarza mnie swoim opatentowanym głupim uśmiechem i macha do mnie. Muszę się powstrzymać, żeby mu nie pokazać środkowego palca. Jakim cudem chodziłam z nim przez osiem miesięcy

i cztery dni? Jak mogłam pozwolić, żeby ten współprzestępca trzymał mnie za rękę i całował?

Odwracam się do Czerwonego Krawata.

– Czy on tu idzie? – pytam.

– Taaa.

– Może powinniśmy zacząć się całować, no wiesz, jak szpiedzy w filmach – proponuję.

Czerwony Krawat oblewa się rumieńcem.

– Żartowałam – mówię z uśmiechem.

Nic nie odpowiada, ale jeszcze mocniej się czerwieni. Patrząc, jak rumieniec ogrzewa mu twarz.

Zanim chłopak zdoła się ogarnąć i cokolwiek powiedzieć, przed nami staje Rob.

– Cześć – mówi. Jego głos to głęboki, kojący baryton. To jedna z rzeczy, które w nim lubiłam. Poza tym wygląda jak młody Bob Marley, tyle że biały i bez dredów.

– Dlaczego ty i twoja dziewczyna kradniecie płyty? – rzuca Czerwony Krawat, zanim się odezwę.

Rob unosi ręce i robi krok do tyłu.

– Ej, koleś. Ciszej trochę. – Na jego głupiej twarzy zakwita głupi półuśmiech.

Czerwony Krawat podnosi głos.

– To niezależny sklep z płytami, czyli jest to rodzinny biznes. Okradacie prawdziwych ludzi. Macie pojęcie, jak trudno jest przetrwać niewielkim firmom, kiedy tacy jak wy wykradają im towar?

Chłopak ma rację. Rob wygląda, jakby się nawet odrobinę przejął.

– Nie patrz za siebie, bo wygląda na to, że twoja dziewczyna została złapana – mówię. Dwóch pracowników szepce coś z wściekłością do Kelly i dotyka jej kurtki.

Z twarzy Roba znika wreszcie ten idiotyczny uśmiech. Ale zamiast

lecieć na pomoc Kelly, on wkłada ręce do kieszeni i idzie, prawie biegnąc, do drzwi. Kelly woła go po imieniu, jednak on się nie zatrzymuje, tylko wypada na zewnątrz. Jeden z pracowników grozi wezwaniem policji. Kelly błaga, żeby tego nie robił, i wyciąga spod kurtki dwie płyty. Ma dobry gust, zauważam Massive Attack i Portishead.

Pracownik wyrywa jej płyty z ręki.

– Jeszcze raz się tu pojawisz, a wezwiemy gliny – ostrzega.

Kelly wylatuje ze sklepu, wołając Roba.

– Zabawne przedstawienie – mówi Czerwony Krawat po jej wyjściu. Uśmiecha się szeroko i patrzy na mnie szczęśliwym wzrokiem. Nagle ogarnia mnie poczucie *déjà vu*. Już tu kiedyś byłam. Widziałam te oczy i ten uśmiech. Prowadziłam nawet tę rozmowę.

Wrażenie szybko mija.

Chłopak wyciąga rękę.

– Daniel – przedstawia się.

Jego dłoń jest duża, ciepła, miękka i trzyma moją odrobinę za długo.

– Miło cię poznać – odpowiadam i cofam rękę. Ma naprawdę miły uśmiech, ale ja nie dysponuję czasem dla chłopaków w garniturze, z miłym uśmiechem. Zakładam z powrotem słuchawki i widzę, że on cały czas czeka, aż się przedstawię.

– Miłego życia, Danielu – mówię i wychodzę.



DANIEL

*N*iedoszły Casanova ściska dłoń pięknej dziewczyny i proponuje jej kredyt hipoteczny o rozsądnej stopie procentowej

Ściskam jej dłoń. Mam na sobie garnitur i krawat, i ściskam jej dłoń.

Kim ja jestem? Bankierem?

Kto spotyka śliczną dziewczynę i wita się z nią uściskiem dłoni?

Charlie na pewno rzuciłby coś uroczego i za chwilę siedzieliby we dwoje w jakimś ciemnym, romantycznym miejscu. A ona już zaczynałaby marzyć o półkoreańskich, półafroamerykańskich niemowlętach.



NATASHA

Ulice są bardziej zatłoczone niż wcześniej. Tłum stanowi mieszankę turystów, którzy zapuścili się za daleko z Times Square oraz pracujących nowojorczyków, marzących o tym, żeby turyści wrócili wreszcie na Times Square. Kawałek dalej zauważam Roba i Kelly. Stoję i gapię się na nich przez chwilę. Ona płacze, on zapewne próbuje jej wytłumaczyć, że wcale nie jest niewiernym, nielojalnym kutasem. Podejrzewam, że mu się to uda. Bywa bardzo przekonujący, a ona chce się dać przekonać.

W zeszłym roku siedzieliśmy razem na zajęciach z rozszerzonej fizyki. Zwróciłam na niego uwagę tylko dlatego, że poprosił mnie o pomoc przy izotopach i okresie połowicznego rozpadu. Jestem dobra z fizyki. W następnym tygodniu zaliczył test i zaprosił mnie do kina.

Chodzenie było dla mnie nowością, ale nawet mi się podobało. Podobało mi się, że spotykamy się na przerwach przy jego szafce i zawsze mamy plany na weekend. Podobało mi się, że jestem częścią pary i że możemy chodzić na podwójne randki z Bev i Derrickiem. I chociaż teraz przyznaję to bardzo niechętnie, on mi się podobał. A potem zaczął się spotykać z inną. Doskonale pamiętam to uczucie zranienia, zdrady i – co dziwne – wstydu. Jakby to była moja wina. Do dzisiaj nie mam pojęcia, dlaczego udawał. Dlaczego nie mógł ze mną zerwać i dopiero wtedy umawiać się z Kelly?

Na szczęście szybko doszłam do siebie, co właściwie mnie niepokoi. Gdzie się podziały te wszystkie uczucia? Ludzie tracą całe życie na szukanie miłości, powstają niezliczone poematy, piosenki i powieści na ten temat. Jak można zaufać czemuś, co kończy się tak samo szybko, jak się zaczęło?



OKRES POŁOWICZNEGO ROZPADU

Historia rozkładu

Okres połowicznego rozkładu danej substancji to czas, jaki jest potrzebny tej substancji na utratę połowy pierwotnej wartości.

W fizyce jądrowej to czas, w którym nietrwałe atomy tracą energię na skutek promieniowania. W biologii dotyczy zwykle czasu potrzebnego na usunięcie połowy ilości substancji (wody, alkoholu, środków farmakologicznych) z organizmu. W chemii to czas potrzebny na to, by połowa substratu (np. wodoru albo tlenu) przerodziła się w produkt końcowy (wodę).

W miłości to czas, w którym kochankowie zaczynają czuć połowę tego, co wcześniej czuli.

Kiedy Natasha myśli o miłości, myśli tak: nic nie trwa wiecznie. Tak samo jak wódór-7, lit-5 czy bor-7, tak i miłość ma bardzo krótki okres połowicznego rozpadu, po którym przeradza się w nicość. A kiedy znika, jest tak, jakby nigdy jej nie było.



DANIEL

Bezimienna dziewczyna staje na chodniku przede mną. Przysięgam, że jej nie śledzę. Po prostu ona idzie tam, gdzie ja. Znow ma na głowie megaróżowe słuchawki i kołysze się w rytm swojej muzyki. Nie widzę jej twarzy, ale domyślam się, że przymknęła oczy. Nie udaje jej się zdążyć na zielone światło, a wtedy ją doganiam. Gdyby się teraz odwróciła, pomyślałaby, że jestem stalkerem. Światło zmienia się na zielone, a ona automatycznie rusza naprzód.

Nie zwraca uwagi na to, co się dzieje dookoła, nie zdaje więc sobie sprawy, że gość w białym bmw przejedzie za chwilę na czerwonym. Na szczęście stoję blisko.

Szarpię ją mocno do tyłu za rękę. Nasze stopy potykają się o siebie nawzajem, tracimy równowagę i przewracamy się na chodnik. Dziewczyna ląduje na mnie. Jej telefon nie ma tyle szczęścia, uderza z hukiem o bruk.

Parę osób pyta, czy nic nam się nie stało, ale większość po prostu nas wymija, jakbyśmy byli kolejną przeszkodą w wielkim wyścigu z przeszkodami, jakim jest Nowy Jork.

Bezimienna dziewczyna zsuwa się ze mnie i spogląda na telefon. Na wyświetlaczu widać pajęczynę pęknięć.

- Co. Jest. Do. Cholery - mówi. To nie jest pytanie, raczej protest.
- Nic ci nie jest?

– Ten facet prawie mnie zabił. – Podnoszę wzrok i widzę, że bmw zaparkowało po drugiej stronie ulicy. Mam ochotę iść nakrzyczeć na kierowcę, ale nie chcę zostawiać jej samej.

– Nic ci nie jest? – pytam ponownie.

– Wiesz, jak długo to miałam? – Sądzę, że mówi o telefonie, ale w dłoniach trzyma słuchawki. Jakimś cudem zostały uszkodzone podczas upadku. Jeden z nauszników zwisa na drutach, plastik pękł na pół.

Dziewczyna wygląda, jakby miała się rozpłakać.

– Kupię ci nowe. – Zdesperowany, za wszelką cenę pragnę zapobiec jej łzom, ale nie dlatego, że jestem jakoś specjalnie szlachetny. Zaráżam się płaczem. Wiecie, jak to jest, kiedy jedna osoba zaczyna ziewać, a wtedy wszyscy dookoła też ziewają? Albo gdy ktoś wymiotuje i od samego zapachu też ci się zbiera na wymioty? No więc ja tak mam, ale z płaczem, a absolutnie nie zamierzam rozryczeć się w obecności ślicznej dziewczyny, której właśnie zepsułem słuchawki.

Widzę, że może i chciałaby skorzystać z mojej oferty, ale wiem też, że z niej nie skorzysta. Zaciska usta i kręci głową.

– Tylko tyle mogę zrobić – mówię.

Wreszcie na mnie spogląda.

– Już uratowałeś mi życie.

– Nie zginęłabyś. Najwyżej zostałabyś nieco poturbowana.

Chcę ją rozśmieszyć, ale mi się nie udaje. Jej oczy wypełniają się łzami.

– Mam dzisiaj najgorszy dzień w życiu – wyznaje.

Odwracam głowę, żeby nie widziała moich łez.



DONALD CHRISTIANSEN

Historia pieniędzy

Donald Christiansen zna cenę tego, co bezcenne. Ma w głowie tabelki z wycenami ubezpieczeniowymi. Zna koszt ludzkiego życia utraconego w katastrofie samolotowej, wypadku drogowym, tąpnięcia w kopalni. Zna to wszystko, ponieważ kiedyś pracował w branży ubezpieczeniowej i jego rolą było wycenianie tego, co niechciane i niespodziewane.

Koszt przypadkowego przejechania siedemnastolatki, która nie zachowała ostrożności na ulicy, jest znacznie niższy niż cena śmierci własnej córki, zabitej przez kierowcę piszącego SMS-a. Właściwie to pierwszą rzeczą, o jakiej pomyślał, kiedy dowiedział się o śmierci córki, była kwota ubezpieczenia, jaką przyjdzie zapłacić towarzystwu ubezpieczeniowemu kierowcy.

Teraz zjeżdża na pobocze, włącza muzykę i opiera głowę o kierownicę. Dotyka palcami trzymanej w wewnętrznej kieszeni piersiówki. Czy po czymś takim można dojść do siebie? Wydaje mu się, że nie.

Minęły już dwa lata, ale żałoba jeszcze go nie opuściła i nic nie wskazuje na to, żeby miała go opuścić, zanim mu wszystko zabierze. Stracił małżeństwo, uśmiech, umiejętność najadania się, wysypiania i czucia.

Stracił umiejętność życia w trzeźwości.

I dlatego o mały włos nie przejechał przed chwilą Natashy.

Donald nie ma pojęcia, co Wszechświat próbował mu przekazać, zabierając jedyną córkę, ale nauczył się jednego: nie da się wycenić utraty wszystkiego. I jeszcze jednego: wszystkie przyszłe historie mogą legnąć w gruzach w ułamku sekundy.



NATASHA

Czerwony Krawat odwraca wzrok, wydaje mi się, że jest na granicy łez, co nie ma kompletnie sensu. Proponuje, że kupi mi nowe słuchawki. Nawet gdybym mu na to pozwoliła, nic nie zastąpi starych.

Mam je od samego początku pobytu w Stanach. Gdy tata mi je kupował, jeszcze miał nadzieję, że tyle tu osiągnie. Nadal próbował przekonać mamę, że wyprowadzka z dala od ojczyzny, przyjaciół i rodziny będzie w końcu tego warta. Miał zejść naprawdę wysoko. Zrealizować amerykański sen, o którym śnią nawet sami Amerykanie.

Wykorzystał mnie, żeby przekonać mamę. Na powitanie kupił mi na raty prezenty, na które i tak nie było nas stać. Uznał, że jeśli ja będę szczęśliwa w Stanach, to może cała ta przeprowadzka okaże się jednak właściwym posunięciem.

Nie obchodziły mnie powody, dla których dostałam te prezenty, ale zdecydowanie za drogie słuchawki od razu stały się moim numer jeden. Interesowało mnie tylko to, że są w moim ukochanym kolorze i zapewniają wybitną jakość dźwięku. Były moją pierwszą miłością. Znają wszystkie moje sekrety, wiedzą, jak bardzo kiedyś wielbiłam tatę.

Wiedzą, że teraz nienawidzę się za to, że już go wcale nie wielbię.

Mam wrażenie, że minęło tyle czasu, odkąd był dla mnie całym światem. Stanowił egzotyczną planetę, a ja pełniłam rolę jego ulubionej satelity. Teraz nie jest już planetą, ale ostatnim błyskiem gasnącego

światła już dawno umarłej gwiazdy.

A ja nie jestem satelitą. Jestem kosmicznym śmieciem sunącym jak najdalej od niego.



DANIEL

Wydaje mi się, że nikogo nigdy nie zauważałem w taki sposób, w jaki widzę ją. Promienie słońca przesączają się przez jej włosy, tworząc promienistą aureolę wokół jej głowy. Przez jej twarz przemyka tysiąc emocji. Ma czarne, szerokie oczy, okolone długimi rzęsami. Wyobrażam sobie, jak się w nie wpatruję bez końca. W tej chwili wydają się matowe, ale wiem, jak wyglądałyby radosne i roziskrzone. Ciekawe, czy umiałbym ją rozśmieszyć. Ma ciepłą skórę, błyszczącą, brązową. Jej wargi są pełne i różowe, podejrzewam, że już za długo na nie patrzę. Na szczęście ona jest zbyt przepełniona smutkiem, by zauważyć, jaki ze mnie płytki (i napalony) idiota.

Podnosi wzrok znad zniszczonych słuchawek, a kiedy nasze oczy się spotykają, ogarnia mnie poczucie *déjà vu*. Jednak zamiast czuć się, jakby coś z przeszłości powtarzało się po raz kolejny, ja mam wrażenie, że doświadczam czegoś, co dopiero zdarzy się w mojej przyszłości. Widzę nas starych, chociaż nie dostrzegam naszych twarzy. Nie wiem, gdzie ani nawet kiedy jesteśmy. Ale mam dziwne i radosne przecucie, którego nie potrafię dobrze opisać. To tak, jakby się znało cały tekst piosenki, ale i tak stwierdzało, że jest piękny i zaskakujący.



NATASHA

Wstaję i się otrzepuję. Ten dzień nie mógłby już być gorszy. Niech już się skończy.

– Śledziłeś mnie? – pytam. Jestem bardziej drażliwa i podejrzliwa, niż powinnam być wobec kogoś, kto właśnie uratował mi życie.

– Matko, wiedziałem, że tak pomyślisz.

– Po prostu znalazłeś się za moimi plecami? – Próbuję naprawić słuchawki, przymocować nausznic, ale bezskutecznie.

– Może los chciał, żebym uratował ci dzisiaj życie – odpowiada.

Ignoruję te słowa.

– Okej, dzięki za pomoc – mówię, przygotowując się do odejścia.

– Chociaż powiedz mi, jak masz na imię – wyrzuca z siebie chłopak.

– Czerwony Krawacie...

– Jestem Daniel.

– Okej, Daniel. Dzięki za ocalenie.

– To długie imię. – Nie spuszcza ze mnie wzroku. Nie zamierza zrezygnować, dopóki mu się nie przedstawię.

– Natasha.

Już sądzę, że znów uściśnie mi rękę, ale on wsuwa dłoń do kieszeni.

– Ładne imię.

– Bardzo się cieszę, że je akceptujesz – odpowiadam najbardziej sarkastycznym tonem, na jaki potrafię się zdobyć.

Nic już nie mówi, patrzy tylko na mnie, lekko marszcząc czoło, jak gdyby próbował rozgryźć jakiś problem.

Po pewnym czasie mam tego dość.

– Dlaczego tak się na mnie gapisz? – pytam.

Znow się rumieni i teraz ja się na niego gapię. Widzę, że mogłabym specjalnie go podpuszczać, żeby się oblewał rumieńcem. Przyglądam się zarysowi ostrych kości policzkowych. Ma klasyczną urodę, wytworną, powiedziałabym nawet. Gdy tak na niego patrzę, ubranego w garnitur, z łatwością wyobrażam go sobie jako bohatera czarno-białej hollywoodzkiej komedii romantycznej, gdy toczy błyskotliwą rozmowę z główną bohaterką. Oczy ma brązowe, głęboko osadzone. Nie wiedzieć czemu, domyślam się, że się często uśmiecha. Ciemne gęste włosy związał z tyłu w kitkę.

Bezsprzeczny fakt: kitka przenosi go z poziomu „przystojny” na poziom „seksowny”

– Teraz to ty się na mnie gapisz – odzywa się. Moja kolej na rumieniec.

Odchrząkuję.

– Dlaczego masz na sobie garnitur?

– Mam później spotkanie. Pójdziemy coś zjeść?

– Dlaczego?

– Yale. Rozmowa z absolwentem w sprawie przyjęcia na studia.

Złożyłem papiery w pierwszym terminie.

Kręcę głową.

– Nie. Pytałam, dlaczego mi to proponujesz.

– Jestem głodny? – Mówi tak, jakby nie był tego pewien.

– Hm. A ja nie.

– To może kawa? Albo herbata, cola, woda mineralna?

– A właściwie dlaczego? – pytam, bo zdaję sobie sprawę, że on nie odpuści.

Wzrusza ramionami, ale jego oczy pozostają nieruchome.

– A dlaczego nie? Poza tym uważam, że jesteś mi winna swoje życie, skoro je ocaliłem.

– Uwierz mi – mówię. – Wcale nie chcesz mojego życia.



DANIEL

Kierując się w stronę Dziewiątej Alei, mijamy dwie przecznice i aż trzy kawiarnie. Dwie należą do tej samej ogólnokrajowej sieci, wybieram więc trzecią, niezależną – my z małych rodzinnych firm musimy trzymać się razem.

Wnętrze to mahoń i meble z ciemnego drewna, pachnie tu tak, jak powinno. Chociaż jest urządzone trochę przesadnie. Przez „trochę” rozumiem kilka obrazów olejnych przedstawiających jedno ziarnko kawy. Kto by pomyślał, że w modzie są kawowe portrety? Kto by pomyślał, że mogą wyglądać tak żałośnie?

W środku nie ma prawie nikogo, a trzech bariści za ladą sprawiają wrażenie znudzonych. Próbuję ubarwić im życie i zamawiam wybitnie skomplikowany napój, obejmujący różne kawy, mleko o różnym stężeniu tłuszczu, karmel oraz syrop waniliowy.

Nadal wyglądają na znudzonych.

Natasha zamawia czarną kawę bez cukru. Łatwo wyczytać jej charakter z tego zamówienia. Już prawie to komentuję, ale gryzę się w język, ponieważ dociera do mnie, że mogłaby wziąć to za rasistowski żart, co byłoby bardzo kiepskim (w skali od kiepskiego do niezwykle kiepskiego: dość kiepski, umiarkowanie kiepski, kiepski, bardzo kiepski i niezwykle kiepski) sposobem rozpoczynania znajomości.

Natasha upiera się, że za nas zapłaci, że chociaż tyle może zrobić. Moja

kawa kosztuje 6,38 dolara, mówię jej, że koszt uratowania życia to co najmniej dwa takie wyszukane napoje, ale nawet się nie uśmiecha.

Wybieram stolik jak najdalej kawiarnianego nicniedziania się. Ledwo siadamy, Natasha wyjmuję komórkę, żeby sprawdzić, która jest godzina. Telefon nadal działa, chociaż wyświetlacz jest popękany. Przesuwa kciukiem po rysach i wzdycha.

– Jesteś gdzieś umówiona? – pytam.

– Tak – odpowiada i wyłącza telefon.

Czekam, aż powie coś jeszcze, ale najwyraźniej nie ma takiego zamiaru. Jej mina stanowi wyzwanie, ale ja już osiągnąłem maksimum wyzwania jak na jeden dzień (1 = śledzenie ślicznej dziewczyny, 2 = ochrzaniecie byłego chłopaka ślicznej dziewczyny, 3 = uratowanie życia ślicznej dziewczynie, 4 = zaproszenie ślicznej dziewczyny do kawiarni).

Przez trzydzieści sekund siedzimy w niekomfortowej ciszy. Osiągam ten stan, w którym człowiek jest świadomy każdej komórki swojego ciała, a który osiąga się przy spotkaniu zupełnie nowej osoby, kiedy tak bardzo chce się jej spodobać.

Widzę każdy mój ruch w jej oczach. Czy przez ten gest wydałem się jej kretynem? Czy moje brwi się dziwnie wygięły? To, co mam na twarzy, to seksowny półuśmiech, czy raczej sprawiam wrażenie, jakbym właśnie dostał udaru?

Jestem zdenerwowany, więc wszystkie moje ruchy są przesadne. DMUCHAM na kawę, PIJĘ ją oraz MIESZAM, gram rolę prawdziwej nastoletniej istoty ludzkiej płci męskiej pijącej prawdziwy gorący napój zwany kawą.

Dmucharz zbyt mocno, aż zdmuchuję piankę z wierzchu. Już nie mógłbym być seksowniejszy. Na jej miejscu bym się ze sobą umówił (raczej nie). Nie jestem pewien, ale być może się bardzo bardzo delikatnie uśmiechnęła na widok tej pianki.

– Nadal jesteś zadowolony z uratowania mi życia? – pyta.

Upijam zbyt duży łyk i parzę sobie nie tylko język, ale i cały przełyk. Matko święta. Może to znak, że powinienem odpuścić. Najwyraźniej nie jest mi dane zrobić wrażenie na tej dziewczynie.

– A powinienem tego żałować? – pytam.

– Noo, nie jestem dla ciebie zbyt miła.

Jest bezpośrednia, więc i ja taki będę.

– Prawda, ale nie posiadam wehikułu czasu i nie mogę odwrócić tego, co się stało – odpowiadam z kamienną twarzą.

– A zrobiłbyś to?

– Oczywiście, że nie – mówię. Za kogo ona mnie bierze?

Przeprasza i idzie do toalety. Żeby nie zobaczyła, jak siedzę znudzony, kiedy już z niej wyjdzie, wyciągam mój notes i zajmuję się wierszem. Gdy staję przy naszym stoliku, ja nadal piszę.

– O nie – jęczy, zajmując miejsce.

– Co?

Pokazuje na notes.

– Chyba nie jesteś poetą? – W jej oczach widzę uśmiech, ale szybko zamykam zeszyt i chowam go z powrotem do kieszeni. Może to jednak nie był dobry pomysł. Co ja sobie myślałem, biorąc pod uwagę te bzdury z *déjà vu*? W ten sposób tylko odsuwam od siebie przyszłość. Przecież, tak jak sobie tego życzą rodzice, ożenię się z cudowną Amerykanką koreańskiego pochodzenia. W przeciwieństwie do Charlesa nie mam nic przeciwko Koreankom. Mój brat twierdzi, że nie są w jego typie. Ja nie mam żadnego typu. Moim typem są dziewczyny. Wszystkie. Po co mam zawężać pole randkowe?

Będę świetnym lekarzem o fantastycznych umiejętnościach łóżkowych.

Będę absolutnie szczęśliwy.

Jednak coś w Natashy każe mi sądzić, że moje życie mogłoby być niesamowite.

Lepiej niech już będzie wredna i każde z nas pójdzie swoją własną drogą. Nie widzę ani cienia szansy, aby moi rodzice (a zwłaszcza tata) zaaprobowali, że chodzę z ciemnoskórą dziewczyną.

Ale i tak postanawiam podjąć jeszcze jedną próbę.

– Gdybyś jednak miała wehikuł czasu, co byś z nim zrobiła?

Po raz pierwszy, odkąd tu przyszliśmy, nie wydaje się podirytowana ani znudzona. Marszczy brwi i pochyła się do przodu.

– Mogę wybrać się w przeszłość?

– Oczywiście. Przecież to wehikuł czasu.

Obrzuca mnie spojrzeniem, które mówi, jak mało wiem.

– Podróże w czasie to skomplikowana sprawa.

– Powiedzmy, że komplikacje mamy za sobą. Co byś zrobiła?

Natasha odstawia kawę i krzyżuje ręce na piersi. Wzrok jej się ożywił.

– Rozumiem, że ignorujemy paradoks dziadka? – pyta.

– Koniecznie – odpowiadam, chociaż nie mam zielonego pojęcia, o czym ona mówi. Szybko poznaje się na moim oszustwie.

– Nie wiesz, co to jest paradoks dziadka! – W jej głosie słyszę niedowierzanie, jakby umknęła mi podstawowa informacja na temat funkcjonowania tego świata (w rodzaju tego, skąd się biorą dzieci). Czy ona jest maniaczką nauk ścisłych?

– Nieee. Nie mam pojęcia – przyznaję.

– Okej. Załóżmy, że masz paskudnego dziadka.

– Nie żyje. Spotkałem go tylko raz w Korei, wydawał się miły.

– Jesteś Koreańczykiem?

– Amerykaninem koreańskiego pochodzenia. Urodziłem się tutaj.

– Ja pochodzę z Jamajki. Urodziłam się tam.

– Ale nie masz akcentu.

– Mieszkam tu już dość długo. – Zaciska palce na kubku z kawą, a ja wyczuwam, że zmienia jej się nastrój.

– Powiedz mi o tym paradoksie – próbuję odwrócić jej uwagę.

Działa, bo od razu się ożywia.

– Okej. Dobrze. Więc załóżmy, że twój dziadek żyje i jest wredny.

– Żywy i paskudny. – Kiwam głową.

– Jest naprawdę zły, więc wynajdujesz wehikuł czasu i przenosisz się w przeszłość, żeby go zabić. Uznajmy, że zabijasz go, zanim spotka twoją babcię, co oznacza, że jedno z twoich rodziców nigdy się nie urodzi, w związku z czym ty także nie przyjdiesz na świat i nie będziesz mógł cofnąć się w czasie, by go zabić. Ale! Jeśli zabijesz go po tym, jak spotka babcię, urodzisz się jednak, skonstruujesz wehikuł czasu, przeniesiesz się w przeszłość i go zabijesz. Tym samym wpadasz w nieskończoną pętlę.

– Hm. No tak. W takim razie koniecznie musimy zignorować ten paradoks.

– Rozumiem, że zasadę samospójności Nowikowa także?

Pomyśleć, że wcześniej wydawała mi się śliczna – teraz jest jeszcze śliczniejsza. Twarz jej się ożywiła, oczy jej błyszczą. Gestykułuje obiema rękami, mówi o naukowcach z MIT i naginaniu prawdopodobieństwa, żeby zapobiec paradoksom.

– Czyli teoretycznie rzecz biorąc, być może w ogóle nie mógłbyś zabić swojego dziadka, ponieważ broń nie wypaliłaby w tym akurat momencie albo doznałbyś ataku serca...

– Albo śliczna dziewczyna z Jamajki weszłaby do pomieszczenia i powaliła mnie na ziemię...

– Właśnie. Zdarzyłoby się coś dziwnego i nieprawdopodobnego, żeby nie mogło się wydarzyć to, co jest niemożliwe.

– Hm – mruczę.

– To coś więcej niż tylko „hm” – odpowiada z uśmiechem.

Tak, to rzeczywiście coś więcej, tylko że ja nie jestem w stanie wymyślić niczego mądrego ani dowcipnego. Myślenie i jednocześnie patrzenie na nią sprawia mi poważny problem.

Istnieje takie japońskie powiedzenie, które bardzo lubię: *koi no*

yokan. Nie oznacza ono miłości od pierwszego wejrzenia, jest bliższe miłości od drugiego wejrzenia. To uczucie, które ogarnia cię, gdy spotykasz kogoś, w kim się niebawem zakochasz. Być może nie od razu, ale uczucie jest nieuniknione.

Jestem absolutnie pewien, że tego właśnie teraz doświadczam. Jest tylko jeden drobny problem (być może nie do pokonania): jestem także absolutnie pewien, że Natasha nie podziela mojego przekonania.



NATASHA

Nie mówię mu całej prawdy odnośnie do tego, co zrobiłabym z wehikułem czasu, gdybym takowy posiadała. Przeniosłabym się w czasie i sprawiłabym, żeby najlepszy dzień w życiu mojego ojca nigdy się nie wydarzył. To kompletny egoizm z mojej strony, ale w ten sposób moja przyszłość nie zostałaby wymazana.

Zamiast tego wyjaśniam mu kwestie naukowe. Kiedy kończę, patrzy na mnie tak, jakby się we mnie zakochał. Wychodzi na to, że nigdy nie słyszał o paradoksie dziadka i zasadzie samospójności Nowikowa, co mnie zadziwia. Pewnie założyłam, że skoro jest Azjata, musi być dobry z przedmiotów ścisłych. To bez sensu, sama nienawidzę, kiedy ludzie zakładają, że uwielbiam rap i jestem dobra w sporcie. Tak się składa, że tylko jedna z tych rzeczy jest prawdziwa.

Nie licząc faktu, że dzisiaj zostanę deportowana, nie jestem dziewczyną, w której można się zakochać. Chociażby z tego powodu, że nie lubię tymczasowych, niepewnych rzeczy, a romantyczna miłość jest zarówno tymczasowa, jak i niepewna.

Jest jeszcze inny powód, sekret, którego nikomu nie zdradzam: nie wiem, czy w ogóle jestem zdolna do miłości. Nawet tymczasowej. Gdy byłam z Robem, nigdy nie czułam się tak, jak powinnam zdaniem autorów piosenek. Uczucie mnie nie porywało ani nie pochłaniało. Nie potrzebowałam Roba tak, jak się potrzebuje powietrza. Podobał mi się,

naprawdę. Lubiłam na niego patrzeć. Lubiłam go całować. Ale zawsze wiedziałam, że mogłabym żyć bez niego.

– Czerwony Krawacie – odzywam się.

– Danielu – prostuje.

– Nie zakochaj się we mnie, Danielu – mówię.

Pluje kawą, i to dosłownie.

– A kto powiedział, że mam taki zamiar?

– Ten mały czarny notes, w którym pisałeś, oraz twoja twarz. Otwarta, szczerą aż do bólu twarz, która mówi, że taki masz zamiar.

Znów się rumieni, ponieważ rumieniec to jego druga natura.

– A niby dlaczego nie mogę? – pyta.

– Ponieważ ja nie zakocham się w tobie.

– Skąd możesz to wiedzieć?

– Nie wierzę w miłość.

– Miłość to nie religia – odpowiada. – Istnieje bez względu na to, czy w nią wierzysz, czy nie.

– Doprawdy? Potrafisz to udowodnić?

– Piosenki miłosne. Poezja. Instytucja małżeństwa.

– Proszę cię. To tylko słowa na papierze. Jesteś w stanie udowodnić ją naukowo? Zaobserwować, zmierzyć, przebadać i powtórzyć doświadczenie? Nie możesz. A może potrafisz ją przekroić i obejrzeć pod mikroskopem? Też nie. Wyhodować w szalce Petriego albo sporządzić mapę genetyczną?

– No nie – odpowiada, naśladowując mój głos, i się śmieje.

Nie mogę się powstrzymać i także wybucham śmiechem. Niekiedy sama podchodzę do siebie zbyt poważnie.

Wkłada sobie do ust łyżeczkę mlecznej pianki.

– Twierdzisz, że to tylko słowa na papierze, ale musisz przyznać, że tylu ludzi coś jednak czuje.

Kiwam głową.

– Coś przejściowego i niedającego się zmierzyć. Ludzie chcą wierzyć. W przeciwnym razie musieliby przyznać, że życie to seria przypadkowych dobrych i złych rzeczy, które dzieją się naprzemiennie aż do śmierci.

– I wierzysz w to, że życie nie ma żadnego sensu?

– A jaki mam wybór? Takie właśnie jest życie.

Kolejna łyżeczka pianki i kolejny wybuch śmiechu.

– A więc żadnego losu, przeznaczenia, żadnych rzeczy zapisanych w gwiazdach?

– Masz mnie za kretynkę? – pytam. Ta rozmowa podoba mi się bardziej niż powinna.

Poluzowuje krawat i opiera się wygodniej na krześle. Kosmyk włosów wymyka mu się z kucyka, przyglądam się, jak wsuwa go za ucho. Mój nihilizm wcale go nie odpycha, dzięki niemu czuje się swobodniej. Wydaje się niemal rozradowany.

– Chyba jeszcze nigdy nie spotkałem nikogo, kto tkwiłby tak uroczo w złudzeniach – mówi, jakbym była jakąś osobliwością.

– I to cię pociąga?

– To mnie fascynuje.

Rozglądam się po kawiarni. Nawet nie zauważyłam, kiedy wypełniła się ludźmi. Stoją w kolejce przy ladzie, czekają na zamówienie, z głośników sączy się *Yellow Ledbetter* zespołu Pearl Jam – kolejny z moich ulubionych zespołów grunge'owych z lat dziewięćdziesiątych. Zamykam oczy i wsłuchuję się, jak Eddie Vedder mruczy refren.

Gdy znów podnoszę powieki, Daniel się we mnie wpatruje. Przesuwa się do przodu, a tym samym przestaje bujać się na krześle.

– A gdybym ci powiedział, że możesz się we mnie zakochać całkiem naukowo?

– Wyśmiałabym cię – mówię. – I to bardzo.



WIELOŚWIATY

Historia kwantów

Jednym z możliwych rozwiązań paradoksu dziadka jest teoria wielu światów, opracowana pierwotnie przez Hugh Everetta. Teoria ta głosi, że istnieje każda wersja naszej przeszłości i przyszłości, tyle że w rzeczywistości równoległej.

Przy każdym wydarzeniu na poziomie kwantowym bieżący Wszechświat rozdziela się na wiele wszechświatów, co oznacza, że każda podejmowana przez nas decyzja tworzy nieskończoną liczbę światów, w których dokonaliśmy innego wyboru.

Teoria ta rozwiązuje paradoks dziadka, ponieważ według niej istnieją odrębne wszechświaty, osobny dla każdego wyboru, a tym samym unikamy paradoksu.

W ten sposób przeżywamy wiele żyć.

Istnieje na ten przykład Wszechświat, w którym Samuel Kingsley nie niszczy życia swojej córce. Wszechświat, w którym je niszczy, ale Natashy udaje się je naprawić. Wszechświat, w którym je niszczy, a ona nie jest w stanie nic z tym zrobić. Natasha nie jest pewna, w którym wszechświecie przyszło jej żyć.



DANIEL

Miejscowy chłopak wykorzystuje naukę, by zdobyć dziewczynę

Wcale nie żartowałem z tym zakochiwaniem się za pomocą nauki. Nawet „New York Times” opublikował artykuł na ten temat.

Pewien naukowiec umieścił dwoje ludzi w laboratorium i kazał im zadawać sobie nawzajem intymne pytania. Musieli także wpatrywać się sobie w oczy przez cztery minuty bez rozmawiania. Jestem pewien, że nie uda mi się jej zmusić do tego, by się we mnie wpatrywała. Szczerze mówiąc, czytając ten artykuł, nie wierzyłem w to, co w nim napisano. Przecież nie można sprawić, żeby ludzie się w sobie zakochali, prawda? Miłość jest o wiele bardziej skomplikowana. To nie kwestia wyboru dwojga ludzi, podania im zestawu pytań, które mają sobie zadawać, i patrzenia, jak miłość zakwita, aż porusza księżycem i gwiazdami. Jestem pewien, że to nie tak wygląda.

Ale.

Według artykułu w wyniku eksperymentu dwoje badanych ludzi rzeczywiście się w sobie zakochało i nawet wzięło ślub. Nie mam pojęcia, czy małżeństwo przetrwało. (I nawet nie chcę wiedzieć, bo jeśli tak, to miłość nie jest wcale tak zagadkowa, jak mi się wydawało, i faktycznie można ją wyhodować w szalce Petriego. A jeśli nie przetrwało, znaczy to, że miłość jest tak ulotna, jak to opisuje Natasha).

Wyciągam komórkę i sprawdzam, jak wyglądało to badanie.

Trzydzieści sześć pytań. Większość idiotycznych, ale niektóre wydają się rozsądne. Podoba mi się to wpatrywanie się sobie w oczy.

 Nie jestem przeciwny nauce.



NATASHA

Daniel opowiada mi o jakimś badaniu z wykorzystaniem laboratorium, pytań oraz miłości. Jestem do tego nastawiona całkiem sceptycznie, o czym nie omieszkałam mu powiedzieć. Czuję się też odrobinę zaintrygowana, ale tego mu nie zdradzam.

– Jakie są kluczowe elementy niezbędne do zakochania? – pyta mnie.

– Przecież nie wierzę w miłość, czyżbyś już zapomniał? – Chwytam łyżeczkę i zaczynam mieszać w kubku kawy, chociaż nie ma tam już czego mieszać.

– To o czym są wszystkie piosenki miłosne?

– To proste. O żądzy.

– A małżeństwo?

– No cóż, żądza przygasa, zostają dzieci, które trzeba wychować, i rachunki do zapłacenia. W którymś momencie przekształca się w przyjaźń z obopólnymi korzyściami dla dobra społeczeństwa i następnego pokolenia. – Piosenka dobiega końca, gdy kończę mówić. Przez chwilę słychać brzęk szklanek i dźwięk spieniacza do mleka.

– Hm – mruczy Daniel.

– Często to powtarzasz – stwierdzam.

– Absolutnie się z tobą nie zgadzam – mówi i poprawia kucyk, ale tak, że ani na moment nie pozwala włosom opaść wokół twarzy.

Bezsprzeczny fakt: chciałabym zobaczyć go w rozpuszczonych

włosach.

Im dłużej z nim rozmawiam, tym wydaje mi się słodszy. Podoba mi się nawet jego gorliwość, chociaż zwykle nienawidzę gorliwości. Być może ten jego seksowny kucyk wpływa na funkcjonowanie mojego mózgu. „To tylko włosy”, tłumaczę sama sobie. Ich rolą jest zapewnianie głowie ciepła i chronienie przed promieniowaniem ultrafioletowym. Nie ma w tym nic seksownego.

– To o czym rozmawiamy? – pyta.

Mówię: „o nauce” w tej samej chwili, w której on odpowiada: „o miłości”, i oboje wybuchamy śmiechem.

– Jakie są składniki? – zadaje kolejne pytanie.

– Wspólne cele oraz kompatybilność społeczno-ekonomiczna.

– Czy ty w ogóle masz duszę?

– Dusza nie istnieje – odpowiadam.

Śmieje się, jakbym powiedziała żart.

– Moje składniki to przyjaźń, zażyłość, podobna moralność, pociąg fizyczny oraz czynnik X.

– Czym jest czynnik X?

– Nie przejmuj się. Mamy go.

– Dobrze wiedzieć – mówię ze śmiechem. – Ale i tak nie zamierzam się w tobie zakochać.

– Daj mi jeden dzień. – Nagle poważnieje.

– To nie jest zadanie, Daniel.

Wpatruje się we mnie tymi swoimi brązowymi oczami i czeka na odpowiedź.

– Mogę dać ci godzinę.

– Godzinę? – Marszczy czoło. – A co potem? Zamienisz się w dynię?

– Mam spotkanie, a później muszę wracać do domu.

– Co to za spotkanie?

Nie odpowiadam, tylko rozglądam się po kafejce. Barista wykrzykuje

listę zamówień. Ktoś się śmieje. Ktoś się jąka. Znow niepotrzebnie mieszam kawę.

– Nie powiem ci.

– Okej – odpowiada. Zupełnie się nie przejął.

Już zdecydował, czego pragnie, a pragnie mnie. Mam przecucie, że potrafi być zdeterminowany i cierpliwy. Prawie go za to podziwiam. Ale on nie wie tego, co ja wiem: jutro będę obywatelką innego kraju. Już mnie tu nie będzie.



DANIEL

Pokazuję jej mój telefon i dyskutujemy, które pytania wybrać. Nie mamy czasu na wszystkie trzydzieści sześć. Natasha chce zrezygnować z czterech minut głębokiego wpatrywania się sobie w oczy, ale nie ma mowy. Patrzenie mi w oczy to podstawa. Wszystkim moim byłym dziewczynom bardzo się podobały moje oczy (no dobra – jednej z moich byłych dziewczyn, no dobra – miałem tylko jedną dziewczynę, która jest teraz moją byłą dziewczyną). Grace (wspomniana wcześniej moja jedyna eks) twierdziła, że wyglądają jak kamienie szlachetne, a konkretnie jak kwarc dymny (jej hobby to wyrób biżuterii). Całowaliśmy się w jej pokoju, kiedy powiedziała to po raz pierwszy i w połowie przerwała, żeby przynieść odpowiedni kamień i mi pokazać.

Tak więc moje oczy są jak kwarc (z gatunku dymnych) i dziewczyny (co najmniej jedna) je uwielbiają.

Pytania zostały podzielone na trzy kategorie, każde następne jest bardziej osobiste od poprzedniego. Natasha chce wybrać najmniej osobiste z kategorii pierwszej, ale stawiam weto.

Z pierwszej grupy (najmniej intymne pytania) wybieramy więc:

#1. Gdybyś mógł/mogła wybrać dowolną osobę na świecie, kogo zaprosiłbyś/zaprosiłabyś na kolację?

#2. Czy chciałbyś/chciałabyś być sławny/sławna? W jakiej dziedzinie?

#7. Czy masz przeczucie, w jaki sposób umrzesz?

Z drugiej grupy (umiarkowana intymność):

#17. Jakie jest twoje najcenniejsze wspomnienie?

#24. Co sądzisz o relacjach, które łączą cię z twoją matką?

I z trzeciej (najbardziej intymne):

#25. Ułóż trzy prawdziwe zdania o was. Na przykład: „Oboje w tej chwili czujemy...”

#29. Podziel się z partnerem/partnerką najbardziej zawstydzającym wydarzeniem z twojego życia.

#34. W twoim domu, w którym znajduje się wszystko, co posiadasz, wybucha pożar. Udaje ci się uratować bliskich i zwierzęta, masz jeszcze czas, by bezpiecznie zabrać z domu jeden przedmiot. Co by to było? Dlaczego?

#35. Czyja śmierć ze wszystkich członków rodziny byłaby dla ciebie najgorsza? Dlaczego?

Ostatecznie wybieramy dziesięć pytań, ponieważ Natasha uważa, że w dwudziestym czwartym powinniśmy omówić nie tylko relacje z matką, ale także z ojcem.

– Dlaczego to matkę zawsze się wini za spieprzenie życia dzieciom? Ojcowie też to robią – stwierdza, jak mam wrażenie, na podstawie własnego doświadczenia.

Znów zerka na telefon.

– Powinam już iść – mówi, odsuwając krzesło. Wstaje za szybko i trąca stolik. Kawa rozlewa się na blat.

– Cholera. Cholera – klnie. To przesadna reakcja. Chciałbym ją zapytać o ojca i spotkanie, na które idzie, ale wiem, że to nieodpowiedni moment.

Podnoszę się, wyjmuję serwetki i wycieram kawę.

Obdarza mnie spojrzeniem oscylującym między wdzięcznością a desperacją.

– Chodźmy stąd – proponuję.

– Okej. Dobrze. Dzięki.

Przyglądam się, jak meandruje między spragnionymi kawą ludźmi i wychodzi na zewnątrz. Chyba nie powinienem gapić się na jej nogi, ale są boskie (trzecie pod względem boskości, jakie kiedykolwiek widziałem). Mam ochotę ich dotknąć, to niemal tak samo silne pragnienie jak chęć rozmowy z nią (może odrobinę silniejsze), ale nie ma opcji, żeby mi na to pozwoliła.

Albo chce mnie zgubić, albo uczestniczymy w wyścigu, o którym nie mam pojęcia. W każdym razie przemyka między wlokącymi się pieszymi i obchodzi ich szerokim łukiem, żeby nie musieć zwalniać kroku.

Może powinienem dać za wygraną. Nie mam pojęcia, dlaczego jeszcze tego nie zrobiłem. Wszechświat ewidentnie próbuje mnie uratować przed samym sobą. Podejrzewam, że gdybym się rozejrzył w poszukiwaniu znaków mówiących o rozstaniu, coś bym znalazł.

– Dokąd idziemy? – pytam ją, gdy stajemy na przejściu dla pieszych. Fryzjer, do którego miałem się udać, będzie musiał jeszcze poczekać. Jestem pewien, że uczelnie przyjmują studentów o długich włosach.

– Ja idę na spotkanie, a ty się za mną snujesz.

– Owszem – odpowiadam, ignorując jej niezbyt subtelne podkreślenie zaimków.

Przechodzimy na drugą stronę ulicy i idziemy przez kilka minut w milczeniu. Dzień się już zaczął na dobre. Niektóre sklepy mają szeroko otwarte drzwi. Jest za zimno na klimatyzację, ale za ciepło na zamykanie pomieszczeń. Jestem pewien, że mój ojciec zrobił to samo w naszym sklepie.

Mijamy niezwykle dobrze oświetloną i bardzo zagraconą wystawę sklepu z elektroniką. Każdy towar w oknie ma nalepkę „WYPRZEDAŻ!”. W mieście są setki takich sklepów, nie potrafię zrozumieć, jak się

utrzymują.

– Kto tu w ogóle kupuje? – zastanawiam się na głos.

– Ludzie, którzy łapią okazje – odpowiada Natasha.

Sto metrów dalej mijamy identyczny sklep i oboje wybuchamy śmiechem.

Wyjmuję telefon.

– To jak? Gotowa na pytania?

– Jesteś uparty – mówi, nie patrząc na mnie.

– Raczej wytrwały – poprawiam ją.

Zwalnia i na mnie spogląda.

– Naprawdę uważasz, że gdy zaczniesz zadawać mi głębokie, filozoficzne pytania, to się w sobie zakochamy? – Przy słowach „głębokie”, „filozoficzne” oraz „zakochamy” robi w powietrzu znak cudzysłowu (och, jak ja tego nie lubię).

– Potraktuj to jako eksperyment. Przypomnij, co mówiłaś mi wcześniej o metodach naukowych? – Obdarza mnie bladym uśmiechem.

– Naukowcy nie powinni eksperymentować na sobie – oponuje.

– Nawet w imię wyższego celu? – pytam. – Dla pogłębienia wiedzy ludzkości na temat samej siebie? – Teraz reaguje śmiechem.



NATASHA

Wykorzystanie argumentu naukowego przeciwko mnie to bardzo mądre posunięcie.

Cztery bezsprzeczne fakty: Daniel jest idealnym wariatem. I optymistą. Zbyt gorliwym. I potrafi mnie rozśmieszyć.

– Pierwsze pytanie jest za trudne – mówi. – Zacznijmy od drugiego: Czy chciałbyś/chciałabyś być sławny/a? W jaki sposób?

– Ty zaczynaj.

– Byłbym słynnym naczelnym poetą.

Oczywiście, że tak. Bezsprzeczny fakt: jest beznadziejnym romantykiem.

– Byłbyś biedny.

– Biedny, jeśli chodzi o pieniądze, ale bogaty w słowa – argumentuje natychmiast.

– Zaraz zwymiotuję na chodnik. – Wypowiadam to za głośno i jakaś kobieta w garsonce omija nas szerokim łukiem.

– Potrzymam ci głowę – odpowiada.

Jest zbyt szczery, żeby miało mu to wyjść na dobre.

– A co w zasadzie robi naczelnny poeta? – pytam.

– Oferuje mądre, poetyckie rady. Byłbym osobą, do której zwracają się najwięksi światowi przywódcy dręczeni paskudnymi problemami natury filozoficznej.

– I ty byś je rozwiązywał, pisząc wiersze? – Trudno nie dostrzec sceptycyzmu w moim głosie.

– Albo czytając – odpowiada z niewzruszoną otwartością. Udaję, że mi niedobrze.

Trąca mnie lekko w ramię i przytrzymuje, kładąc rękę na plecach. Podoba mi się uczucie tej jego dłoni na moim ciele – tak bardzo, że przyspieszam kroku, by go uniknąć.

– Możesz być cyniczna jak tylko zechcesz, ale niejedno życie można uratować dzięki poezji – mówi.

Przypatruję się jego twarzy, by wyczuć, czy żartuje, ale nie – naprawdę w to wierzy. To słodkie. Oraz idiotyczne. Ale głównie słodkie.

– A ty? – pyta. – Jakiej sławy pragniesz?

To akurat łatwe.

– Będę dobroduszną dyktatorką.

Śmieje się.

– Jakiegoś konkretnego kraju?

– Całego świata – odpowiadam, na co on znów wybucha śmiechem.

– Wszyscy dyktatorzy sądzą, że są dobrotliwi. Nawet ci z maczetą w dłoni.

– Jestem pewna, że akurat ci dobrze wiedzą, że są zachłannymi, zbrodniczymi draniami.

– Ty jednak nie byłabyś taka?

– Nie. Tylko czysta dobrotliwość. Decydowałabym, co jest dla ludzi dobre, i to właśnie bym robiła.

– A jeśli to, co jest dobre dla jednej osoby, nie jest dobre dla innej?

Wzruszam ramionami.

– Wszystkich nie zadowolę. Jako mój naczelny poeta będziesz pocieszał przegranych dobrym wierszem.

– Punkt dla ciebie – mówi z uśmiechem. Znów wyciąga komórkę i przesuwa kciukiem listę pytań. Szybko zerkam na mój własny telefon.

Przez sekundę czuję zaskoczenie na widok popękanego ekranu, ale zaraz przypominam sobie wcześniejszy upadek. Co za dzień. Rozmyślam o wieloświatach i zastanawiam się, czy istnieją takie, w których mój telefon i słuchawki są nadal w dobrym stanie.

Istnieje również Wszechświat, w którym zostałam w domu, by się pakować, tak jak chciała mama. Słuchawki i telefon ocalały, ale ja nie spotkałam Daniela.

A także taki, w którym poszłam do szkoły i teraz siedzę bezpiecznie na angielskim, zamiast prawie zostać rozjechaną przez samochód. W tym też nie ma Daniela.

W kolejnym, pozbawionym Daniela, świecie poszłam do urzędu imigracyjnego, ale nie spotkałam go w sklepie z płytami, więc nie zatrzymała mnie nasza rozmowa. Stałam na przejściu, zanim nadjechało tamto bmw, więc nie było żadnego prawie-wypadku. Mam nienaruszony telefon i niezniszczone słuchawki.

Oczywiście istnieje nieskończona liczba takich wszechświatów, łącznie z tym, w którym spotykam Daniela, ale on nie jest w stanie mnie uratować na pasach, w związku z czym nie tylko słuchawki i komórka na tym cierpią.

Wzdycham i sprawdzam odległość do kancelarii pana Fitzgeralda. Jeszcze dwanaście przecznic. Zastanawiam się, jaki będzie koszt naprawy ekranu. Ale może wcale nie muszę go naprawiać? Na Jamajce będzie mi pewnie potrzebny nowy telefon.

Daniel przerywa moje rozmyślenia, za co jestem mu właściwie wdzięczna. Wolę nie myśleć o niczym, co wiąże się z wyjazdem.

– No dobrze – mówi. – Przejdźmy do pytania numer siedem. Masz przecucie, jak umrzesz?

– Statystycznie rzecz biorąc, czarnoskóra kobieta mieszkająca w Stanach Zjednoczonych z dużym prawdopodobieństwem umrze w wieku siedemdziesięciu ośmiu lat na serce.

Dochodzimy do przejścia i Daniel odciąga mnie od krawędzi chodnika. Ten gest i moja reakcja wydają mi się takie znajome, jakbyśmy robili to wcześniej dziesiątki razy. Chwyta rękaw mojej kurtki w łokciu i delikatnie ciągnie do tyłu. Cofam się i napawam jego opiekuńczością.

– Czyli serce przyniesie ci zgubę? – pyta, a ja zapominam na moment, że rozmawiamy o śmierci.

– Najprawdopodobniej. A jak z tobą?

– Morderstwo. Na stacji benzynowej albo w sklepie alkoholowym, coś w tym stylu. Będzie napad z bronią w ręku. Spróbuję zabawić się w bohatera, ale zrobię coś głupiego, na przykład strącę puszkę i runie cała piramida napojów, co wystraszy bandytę, i to, co miało być zwykłą kradzieżą, przerodzi się w krwawą jatkę. Będę w głównych wiadomościach.

Śmieję się z niego.

– Czyli zginiesz jako niekompetentny bohater?

– Zginę, próbując być bohaterem – odpowiada i oboje wybuchamy śmiechem.

Przechodzimy przez ulicę.

– Tędy – mówię, bo zamiast skręcić w prawo, idzie prosto. – Musimy dojść do Ósmej Alei.

Okręca się na pięcie i uśmiecha szeroko, jakbyśmy właśnie wyruszyli w epicką podróż.

– Moment – mówi i ściąga marynarkę. Robi się dziwnie intymnie, gdy przyglądam się, jak ją zdejmuje, dlatego odwracam się i patrzę na dwóch bardzo starych i bardzo zbzikowanych dziadków, którzy kłócą się o taksówkę kilka metrów od nas. A przecież w najbliższej okolicy znajdują się co najmniej trzy wolne taksówki.

Bezsprzeczny fakt: ludzie nie zachowują się logicznie.

– Zmieści się do twojego plecaka? – pyta, wyciągając rękę

z marynarką. Wiem, że nie prosi, bym ją włożyła, jakbym była jego dziewczyną czy coś w tym stylu. Ale niesienie jego marynarki jest jeszcze bardziej osobiste niż obserwowanie, jak ją zdejmuje.

– Jesteś pewien? Pogniecie się.

– Nic nie szkodzi. – Prowadzi mnie na bok, żebyśmy nie blokowali przejścia, i nagle stoimy bardzo blisko siebie. Nie przypominam sobie, żebym wcześniej zwróciła uwagę na jego ramiona. Czy jeszcze przed chwilą też były takie barczyste? Odwracam wzrok od jego klatki piersiowej i spoglądam na jego twarz, ale to wcale nie pomaga mi odzyskać równowagi. W świetle słonecznym jego oczy wydają się jeszcze bardziej przejrzyste i jeszcze bardziej brązowe. Są urzekające.

Zsuwam plecak z ramienia i przytrzymuję go między nami, więc musi się trochę odsunąć.

Składa równo marynarkę i pakuje do środka.

Ma śnieżnobiałą koszulę, bez marynarki czerwony krawat jeszcze bardziej się odznacza. Zastanawiam się, jak wygląda w normalnych ciuchach i czym są dla niego normalne ciuchy. Zapewne džinsy i T-shirt – typowy strój wszystkich amerykańskich chłopców.

Czy chłopcy na Jamajce też tak się ubierają?

Na samą myśl posepnieję. Nie chcę zaczynać od nowa. Wystarczy, jak było mi ciężko po przeprowadzce do Stanów. Nie mam ochoty znów uczyć się zasad i zwyczajów panujących w nowej szkole. Nowi przyjaciele. Nowe grupki. Nowy styl ubierania się. Nowe miejsca.

Wymijam Daniela i ruszam przed siebie.

– Mężczyźni pochodzenia azjatyckiego mieszkający w Ameryce najczęściej umierają na raka.

Marszczy czoło i przyspiesza, żeby mnie dogonić.

– Naprawdę? Nie podoba mi się to. Raka czego?

– Nie pamiętam.

– Powinniśmy sprawdzić.

Mówi „my”, jak gdyby czekała nas wspólna przyszłość, w której ważne byłoby to, na co każde z nas umrze.

– Naprawdę sądzisz, że umrzesz na serce? – pyta. – Nic bardziej spektakularnego?

– A komu potrzebna spektakularność? Śmierć to śmierć.

Daniel wpatruje się we mnie, czekając, aż coś powiem.

– Okej – mówię. – Nie wierzę, że ci to powiem. Tak naprawdę skrycie wierzę, że utonę.

– W otwartym morzu, ratując komuś życie?

– W najgłębszym miejscu hotelowego basenu.

Zatrzymuje się i znów odciąga mnie na bok. Nie znam bardziej przeczernego pieszego niż on.

– Moment. Nie umiesz pływać?

Chowam głowę pod kurtką.

– Nie.

Przygląda się badawczo mojej twarzy i zaczyna się ze mnie śmiać. Naprawdę się ze mnie śmieje.

– Przecież urodziłaś się na Jamajce. Dorastałaś otoczona wodą.

– Pomimo wyspiarskiego pochodzenia – nie potrafię pływać.

Widzę, że chciałby ze mnie zakpić, ale się powstrzymuje.

– Nauczę cię – obiecuje.

– Kiedy?

– Kiedyś. Niedługo. A pływałaś w dzieciństwie, na Jamajce?

– Tak, ale kiedy tu przyjechaliśmy, okazało się, że zamiast oceanu są baseny. Nie lubię chloru.

– Zdajesz sobie sprawę, że istnieją także baseny ze słoną wodą?

– Zaprzepaściłam szansę. Mój statek odpłynął.

Tym razem pozwala sobie na drwinę.

– A jak nazywa się twój statek? „Dziewczyna, która dorastała na wyspie, czyli łódzie otoczonym z każdej strony wodą, nie umie

pływać”? To właściwa nazwa.

Śmieję się i uderzam go w ramię. Chwyta mnie za rękę i przytrzymuje za palce. Próbuję nie myśleć o tym, jak bardzo chciałabym, żeby mógł spełnić swoją obietnicę i nauczyć mnie pływać.



DANIEL

Jestem naukowcem zbierającym dane do książki o Natashy. Oto, czego się jak dotąd dowiedziałem: to maniaczka nauk ścisłych. Zapewne jest inteligentniejsza ode mnie. Ma palce odrobinę dłuższe od moich i tak miło ich dotykać. Lubi muzykę gniewnych. Coś ją dręczy i ma to związek z jej tajemniczym spotkaniem.

– Wyjaśnij mi jeszcze raz, dlaczego masz na sobie garnitur – prosi.

Wydaję z siebie jęk, długi, głośny, pełen emocji.

– Lepiej porozmawiajmy o Bogu.

– Ja też mogę zadawać pytania – mówi.

Idziemy gęsiego wąskim przejściem pod rusztowaniem. (W dowolnym momencie około 99 – plus minus – procent Manhattanu znajduje się w budowie).

– Złożyłem podanie na Yale. Mam rozmowę z absolwentem.

– Stresujesz się? – pyta, gdy znów możemy iść obok siebie.

– Stresowałbym się, gdybym się tym bardzo przejmował.

– A przejmujesz się nie za bardzo?

– Prawie w ogóle. – Uśmiecham się.

– Czy to znaczy, że rodzice ci każą?

Naszą uwagę zwraca nagły krzyk na ulicy, ale to tylko jeden taksówkarz wrzeszczy na drugiego.

– Moi rodzice są pierwszym pokoleniem imigrantów z Korei –

wyjaśniam.

Natasha zwalnia i patrzy na mnie.

– Nie mam pojęcia, co to znaczy – mówi.

Wzruszam ramionami.

– To znaczy, że nieważne, czego chcę. Idę na Yale. Będę lekarzem.

– A ty tego nie chcesz.

– Nie wiem, czego chcę.

Sądząc po jej minie, powiedziałem najgorsze, co mogłem. Odwraca się ode mnie i przyspiesza.

– W takim razie równie dobrze możesz zostać lekarzem.

– A co ty byś zrobiła na moim miejscu? – pytam, zrównując się z Natashą.

Macha ręką.

– To twoje życie.

Czuję się, jakbym za chwilę miał zawalić test.

– Co zamierzasz robić w dorosłym życiu?

– Będę tak zwanym *data scientist* – odpowiada bez wahania.

Otwieram usta, by powiedzieć „WTF”, ale ona od razu prezentuje mi przeciwiczone przemówienie. Najwidoczniej nie jestem pierwszą osobą, która chciała WTF-ować jej wybór ścieżki życiowej.

– *Data scientist* analizuje dane, oddziela szum od sygnału, rozpoznaje reguły i wzorce, wyciąga wnioski i rekomenduje działania na podstawie uzyskanych wyników.

– Czy to obejmuje pracę z komputerem?

– Oczywiście. Na świecie jest mnóstwo danych.

– To takie praktyczne. Zawsze wiedziałaś, kim chcesz zostać? – Trudno mi pozbyć się nuty zazdrości z mojego głosu.

Natasha przystaje. W takim tempie nigdy nie dojdzie do celu.

– To nie przeznaczenie. To ja wybrałam sobie przyszły zawód, a nie on wybrał mnie. To nie tak, że jest mi pisane bycie *data scientist*.

W naszej szkolnej bibliotece znajduje się osobny dział zawodowy. Przeprowadziłam analizę najbardziej przyszłościowych nauk ścisłych i tak dalej. Żadnego losu czy przeznaczenia, tylko badanie.

– A więc to nie jest twoja pasja?

Wzrusza ramionami i idzie dalej.

– To pasuje do mojego charakteru.

– Nie chciałabyś robić tego, co kochasz?

– Po co? – pyta, jakby faktycznie nie rozumiała, czym jest pasja.

– Życie jest za długie, żeby spędzać je na robieniu czegoś, co się uważa za przeciętnie interesujące. – Wymijamy wózek z preclami, hot dogami, do którego już ustawiła się kolejka. Pachnie kapustą kiszoną i musztardą (czyli bosko).

Natasha marszczy nos.

– Wydaje się jeszcze dłuższe, kiedy człowiek traci czas na gonienie marzeń, które nigdy przenigdy się nie spełnią.

– Moment. – Kładę jej rękę na ramieniu, żeby trochę zwolniła. – Kto powiedział, że się nie spełnią?

Spogląda na mnie spode łba.

– Proszę cię. Wiesz, ile osób chce zostać aktorem, pisarzem albo gwiazdą rocka? Mnóstwo. Dziewięćdziesięciu dziewięciu procentom to się nie uda. Zero przecinek dziewięć procent pozostałych ledwo zarobi w ten sposób na życie. Zostaje jedna setna procentu tych, którym się naprawdę powiedzie. Wszyscy pozostali marnują życie.

– Jesteś moim ojcem w przebraniu? – pytam.

– Brzmie jak pięćdziesięcioletni Koreańczyk?

– Tylko bez akcentu.

– No wiesz, on się o ciebie troszczy. Kiedy będziesz szczęśliwym lekarzem zarabiającym kupę pieniędzy, jeszcze mu podziękujesz, że nie zostałeś głodującym artystą, nienawidzącym swojej pracy i marzącym bez celu o osiągnięciu sukcesu.

Zastanawiam się, czy ona wie, jak bardzo żarliwie podchodzi do tego, żeby nie wykazywać żadnej żarliwości.

Odwraca się i patrzy na mnie przez zmrużone oczy.

– Powiedz mi, proszę, że nie mówiłeś poważnie o tej poezji.

– Broń Boże! – mówię z udawanym oburzeniem.

Mijamy człowieka trzymającego kartkę z napisem: POMÓŻ, PROSZĘ. OPUŚCIŁO MNIE SZCZĘŚCIE. Jakiś nawiedzony taksówkarz trąbi długo i głośno na innego, równie nawiedzonego.

– Naprawdę powinniśmy wiedzieć, co chcemy robić w życiu w dojrzałym wieku siedemnastu lat?

– A nie chcesz tego wiedzieć? – pyta. Widzę, że nie jest fanką niepewności.

– Czy ja wiem? Chciałbym móc prowadzić jednocześnie dziesięć egzystencji.

Znów zbywa mnie machnięciem ręki.

– Eee. Po prostu nie chcesz czuć konieczności dokonywania wyborów.

– Nieprawda, nie chciałbym tylko robić czegoś, co nic dla mnie nie znaczy. Ta droga, na którą teraz wkraczam, wydaje się nie mieć końca. Yale. Studia medyczne. Staż. Małżeństwo. Dzieci. Emerytura. Dom opieki. Dom pogrzebowy. Cmentarz.

Może to dlatego, że dzisiejszy dzień jest taki ważny, może dlatego, że ją spotkałem, ale w tym momencie czuję, że muszę powiedzieć dokładnie to, co mi chodzi po głowie.

– Mamy pojemne, wspaniałe umysły. Tworzymy rzeczy, które latają. Latają. Piszemy poezję. Ty pewnie nienawidzisz wierszy, ale trudno jest nie widzieć czystego piękna w słowach takich jak te: „Do czego cię przyrównać? Do dnia w pełni lata? Jesteś od niego bardziej świeża, i stała”^[4]. Jesteśmy zdolni do wielkiego życia. Wielkiej historii. Dlaczego się ustatkowywać? Dlaczego wybierać to, co praktyczne, nudne? Jesteśmy stworzeni, by marzyć i realizować nasze marzenia.

To wszystko wychodzi o wiele bardziej żarliwie, niż zamierzałem, ale mówię szczerze.

Nasz wzrok się spotyka. Coś przeskakuje między nami, coś, czego nie było jeszcze przed chwilą.

Czekam, aż Natasha zbagatelizuje moje słowa, ale ona tego nie robi.

Wszechświat się zatrzymuje i czeka na nas.

Otwiera dłoń i zaraz chwyci mnie za rękę. Musi chwycić mnie za rękę, tak właśnie ma być. Mamy przejść razem przez ten świat, widzę to w jej oczach. Jest nam pisane bycie razem. Jestem pewien tego bardziej niż czegokolwiek innego.

Ale ona nie chwytą mnie za rękę. Idzie dalej.



NATASHA

Pojawia się między nami coś, czego wcale nie chcę. Kiedy ludzie mówią, że serce czegoś chce, mają na myśli serce poetyckie – to z piosenek o miłości i monologów; to, które może pęknąć jak świeżo uformowane szkło.

Nie chodzi im wcale o prawdziwe serce, to, któremu potrzebne jest jedynie zdrowe odżywianie i ćwiczenia aerobowe.

Tyle że temu poetyckiemu sercu nie można ufać. Jest nieprzewidywalne i może wyprowadzić cię na manowce. Wmówi ci, że potrzebujesz jedynie miłości i marzeń. Nie wspomni nawet o pożywieniu, wodzie, dachu nad głową i pieniądzech. Powie ci, że chłopak, który stoi przed tobą, a na którego nie wiesz czemu zwróciłaś uwagę, to Ten Jedyńy. I taki właśnie będzie. Przynajmniej do czasu, kiedy jego serce wybierze kogoś innego.

Temu poetyckiemu sercu nie można powierzyć dalekosiężnych decyzji.

Wiem o tym wszystkim. Wiem to tak samo, jak wiem, że Gwiazda Polarna nie jest wcale najjaśniejsza na niebie, ale dopiero piąta w kolejności.

A jednak stoję tu z Danielem na środku chodnika w dniu, który niemal na pewno jest moim ostatnim dniem w Stanach Zjednoczonych. Moje nieprzewidywalne, niezważające na przyszłość, absurdalne serce

pragnie Daniela. Nie obchodzi go, że Daniel jest zbyt zapalczywy, że nie wie, czego chce, że marzy o zostaniu poetą, a to zawód prowadzący do zawodów miłosnych i biedy.

Wiem, że nie istnieje coś takiego jak przeznaczenie, ale w tej chwili zastanawiam się, czy przypadkiem się nie mylę.

Zamykam dłoń, która tak bardzo pragnie go dotknąć, i idę dalej.



MIŁOŚĆ

Historia chemiczna

Jak twierdzą naukowcy, istnieją trzy etapy miłości: namiętność, zainteresowanie i przywiązanie. Jak się okazuje, każdy z tych etapów jest regulowany przez związki chemiczne w mózgu – tak zwane neuroprzekaźniki.

Jak można się spodziewać, etapem pierwszym rządzą testosteron i estrogen.

Drugi – zainteresowanie – jest regulowany dopaminą i serotoniną. Kiedy na przykład ludzie twierdzą, że w swojej obecności czują się niewiarygodnie szczęśliwi, to odczuwają skutki działania dopaminy, hormonu przyjemności.

Zażywanie kokainy wprowadza w podobny stan euforii. Co więcej, naukowcy, którzy badają umysły świeżych kochanków i osób uzależnionych od kokainy, nie potrafią ich rozróżnić.

Drugim związkiem na tym etapie miłości jest serotonina. Kiedy zakochani zdradzają, że nie mogą przestać myśleć o swojej drugiej połowie, to dlatego, że spadł poziom serotoniny w ich organizmie. U zakochanych obserwuje się tak samo niski poziom serotoniny, jak u pacjentów cierpiących na zaburzenia obsesyjno-kompulsywne. Ci ludzie nie mogą przestać o sobie myśleć, ponieważ mają – dosłownie –

obsesję na swoim punkcie.

Oksytocyna i wazopresyna regulują trzeci etap: przywiązanie. Oksytocyna jest uwalniana w czasie orgazmu i sprawia, że czujemy się bardziej związani z osobą, z którą właśnie uprawialiśmy seks. Ten sam hormon uwalnia się w czasie porodu, dzięki czemu matka nawiązuje więź z dzieckiem. Wazopresyna jest produkowana po stosunku.

Natasha zna nagie fakty. Ta wiedza pomogła jej się uporać z niewiernością Roba. Wie, że miłość to związki chemiczne oraz zbieg okoliczności.

Dlaczego więc Daniel czuje, jakby to było coś więcej?



DANIEL

Rozmowa o studiach znajduje się na samym dole listy rzeczy, na które mam teraz ochotę. A jednak. Dochodzi jedenasta, jeśli mam ją odbyć, musiałbym już iść.

Od czasu tamtej Chwili idziemy z Natashą w milczeniu. Chciałbym móc powiedzieć, że to komfortowa cisza, ale tak nie jest. Chciałbym z nią o tym – o tej Chwili – porozmawiać, jednak kto wie, czy ona w ogóle ją odczuła. Natasha nie wierzy w takie rzeczy.

Centrum Manhattanu różni się od miejsca, w którym się spotkaliśmy. Więcej tu wieżowców, a mniej sklepów z pamiątkami. Ludzie też się zachowują inaczej, to nie turyści na spacerze czy zakupach. Nie ma tu ekscytacji, uśmiechów, gapienia się. Ci ludzie pracują w okolicznych drapaczach chmur. Jestem pewien, że to gdzieś tutaj mam umówione spotkanie.

Idziemy w milczeniu, aż docieramy do szklano-betonowego monstrum. Nie przestaje mnie zdumiewać, że ludzie spędzają całe dni w takich budynkach, robiąc rzeczy, których nie lubią, dla ludzi, których nie cierpią. Wydaje się, że praca lekarza wypada na tym tle trochę lepiej.

– To tutaj – mówi Natasha.

– Mogę tu na ciebie poczekać – odpowiadam, jakbym wcale nie miał wkrótce zaplanowanego spotkania, które zaważy na mojej przyszłości.

– Danielu. – Natasha używa srogiego tonu, który – jestem pewien –

będzie stosowała wobec naszych przyszłych dzieci (bo na sto procent będzie je krótko trzymała). – Ty masz rozmowę, a ja... też coś mam. W tym miejscu musimy się pożegnać.

Ma rację. Być może wcale nie chcę przyszłości, którą zaplanowali dla mnie rodzice, ale nie mam żadnego lepszego pomysłu. Jeśli tu zostanę, mój pociąg się wykolei.

Uświadamiam sobie nagle, że może tego właśnie chcę. Może to, co czuję do Natashy, to tylko wymówki, żeby zjechać z toru. Moi rodzice i tak by jej nie zaakceptowali. Nie dość, że nie jest Koreanką, to jeszcze ma czarną skórę. Żadnej przyszłości.

To, a także fakt, że moje uwielbienie wobec jej osoby jest ewidentnie nieodwzajemnione. A miłość nieodwzajemniona nie jest miłością, prawda?

Powinienem iść.

Pójdę.

Już idę.

– Masz rację – mówię.

Jest zaskoczona, może nawet odrobinę zawiedziona, ale co za różnica? Ona musi chcieć, a najwidoczniej nie chce.



NATASHA

Nie spodziewałam się, że to powie, nie spodziewałam się także, że poczuję się zawiedziona. A jednak. Dlaczego rozmyślałam o romansowaniu z chłopakiem, którego już nigdy nie zobaczę? Moja przyszłość rozstrzygnie się za pięć minut.

Stoimy na tyle blisko przesuwanych drzwi wejściowych, że za każdym razem, gdy ktoś wchodzi do budynku albo z niego wychodzi, omiata mnie fala zimnego, klimatyzowanego powietrza.

Daniel wyciąga rękę do uścisku, ale zaraz ją zabiera.

– Sorry – mówi i się rumieni. Krzyżuje ręce na piersi.

– To ja idę – oznajmiam.

– Idziesz – mówi Daniel i żadne z nas się nie rusza.

Stoimy przez kilka chwil, nic nie mówiąc, aż w końcu przypominam sobie, że przecież mam w plecaku jego marynarkę. Wyciągam ją i patrzę, jak ją wkłada.

– W tym garniturze wyglądasz jak ktoś, kto powinien pracować w tym budynku. – To miał być komplement, ale on inaczej rozumie moje słowa.

Poprawia krawat i się krzywi.

– Może kiedyś będę – odpowiada.

– Cóż – odzywam się po dłuższej chwili ciszy i gapienia się. – Robi się niezręcznie.

– Może powinniśmy się przytulić?

– Myślałam, że wy, w garniakach, preferujecie uścisk dłoni. – Chciałam, żeby zabrzmiało to lekko, ale głos mi dziwnie ochrypl.

Daniel się uśmiecha i nawet nie próbuje powstrzymać wypełzającego mu na twarz smutku. Jakim cudem nie przeszkadza mu, że ma serce na wierzchu?

Muszę odwrócić wzrok. Nie chcę, żeby działo się to, co się dzieje między nami, ale wiem, że równie dobrze mogłabym próbować powstrzymać pogodę.

Drzwi się otwierają i moją skórę znów owiewa chłodne powietrze. Jest mi jednocześnie gorąco i zimno. Rozkładam ręce do uścisku i on robi to samo. Próbujemy się przytulić z tej samej strony i w efekcie zderzamy się klatkami piersiowymi. Śmiejemy się z zakłopotaniem i nieruchomiejemy.

– Ja na prawo – mówi Daniel. – Ty na lewo.

– Okej – odpowiadam i przesuвам się w jego lewo. Obejmuje mnie, a ponieważ jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu, muskam twarzą jego policzek – miękki, gładki i ciepły. Opieram głowę o jego ramię, a moje ciało rozluźnia się w jego objęciach, przez chwilę pozwalam sobie poczuć własne zmęczenie. Tak ciężko jest trzymać się miejsca, które cię nie chce. Ale Daniel mnie chce. Wyczuwam to w sposobie, w jaki mnie przytula.

Wysuwam się z jego objęć i nie patrzę mu w oczy.

On postanawia nie powiedzieć tego, co chciał powiedzieć.

Wyjmuję telefon i sprawdzam godzinę.

– Czas iść – mówi, zanim ja to powiem.

Odwracam się i wchodzę do zimnego budynku.

Myślę o nim, gdy wpisuję się w rejestrze gości u strażnika. Myślę o nim, przechodząc przez hol. I jadąc windą. A także idąc długim korytarzem i w każdej chwili, aż następuje moment, w którym muszę

przestać o nim myśleć, ponieważ wchodzę do gabinetu prawnika.

Dźwięki budowy, które słyszałam w czasie rozmowy telefonicznej, rzeczywiście pochodzą z budowy, ponieważ kancelaria jest tylko w połowie gotowa. Ściany są częściowo pomalowane, z sufitu zwisają gołe żarówki. Na wyłożonej folią podłodze widać trociny i plamy od farby. Za biurkiem siedzi kobieta i trzyma obie dłonie na telefonie komórkowym, jakby zaklinała go, żeby zadzwonił. Mimo krwistoczerwonej szminki i pokrytych różem policzków jest blada. Ma włosy w kolorze głębokiej czerni, idealnie ułożone. Coś w jej wyglądzie sprawia nierealne wrażenie. Wydaje się, jakby grała tu rolę – statystki ze starej bajki Disneya albo sekretarki z filmu z lat pięćdziesiątych. Ma uporządkowane biurko, dokumenty są oznaczone kolorami. Na blacie stoi kubek z napisem „Asystent prawnika robi to taniej”

Uśmiecha się smutnym, drżącym uśmiechem, gdy podchodzę.

– Nie wiem, czy dobrze trafiłam – mówię głośno. Kobieta patrzy na mnie w milczeniu. – Czy to kancelaria pana Fitzgeralda?

– Jesteś Natasha – odzywa się kobieta. Widocznie to z nią rozmawiałam przez telefon. Podchodzę do biurka.

– Mam złe wieści – zaczyna, a ja czuję ucisk w żołądku. Nie jestem gotowa usłyszeć to, co ma mi do powiedzenia. Czy mój los już został przypieczętowany? Naprawdę zostanę dzisiaj deportowana?

Do pomieszczenia wchodzi facet w spryskanym farbą kombinezonie i zaczyna wiercić. Ktoś, kogo nie widzę, rozpoczyna walenie młotkiem. Kobieta wcale nie mówi głośniejsze, żeby przekrzyczeć hałas. Przysuwam się bliżej biurka.

– Jeremy... pan Fitzgerald... godzinę temu miał wypadek samochodowy. Jest w szpitalu. Jego żona twierdzi, że nic mu się nie stało, zaledwie parę siniaków. Ale będzie w kancelarii dopiero po południu.

Jej głos brzmi normalnie, tylko oczy zdradzają prawdę. Przysuwa

komórkę nieco bliżej i to na nią patrzy, nie na mnie.

– Ale przecież mamy teraz umówione spotkanie. – Mój jęk wypada bezdusznie, ale nie jestem w stanie go powstrzymać. – Naprawdę potrzebuję jego pomocy.

Teraz dopiero spogląda mi w oczy, ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

– Nie słyszałaś, co powiedziałam? Został potrącony przez samochód. Nie może teraz się z tobą spotkać. – Kobieta podtyka mi stos formularzy i już więcej na mnie nie spogląda.

Wypełnienie wszystkich papierów zabiera mi co najmniej piętnaście minut. W pierwszym formularzu odpowiadam na rozmaite pytania sprawdzające, czy jestem komunistką, przestępcą albo terrorystką i czy wstąpiłabym do wojska, żeby bronić Stanów Zjednoczonych. Nie wstąpiłabym, ale i tak zaznaczam, że tak.

Kolejny formularz domaga się szczegółów mojego dotychczasowego procesu deportacji.

W ostatnim kwestionariuszu ma się znaleźć opis mojej całej historii pobytu w USA. Nie wiem, co napisać. Nie mam pojęcia, czego pan Fitzgerald oczekuje. Czy chce się dowiedzieć, jak się dostaliśmy do Ameryki? Jak się tu ukryliśmy? Jak się czuję za każdym razem, kiedy w szkolnych dokumentach muszę wpisywać fałszywy numer ubezpieczenia społecznego? I jak za każdym razem, gdy go wpisuję, oczami wyobraźni widzę mamę wsiadającą do autobusu zmierzającego na Florydę?

Czy on chce wiedzieć, jak to jest, kiedy człowiek ma świadomość swojego nielegalnego statusu? Albo jak czeka, aż ktoś wreszcie odkryje, że to nie jest jego miejsce?

Zapewne nie. Interesują go fakty, a nie rozważania filozoficzne, dlatego to fakty zapisuję. Przyjechaliśmy do Ameryki, korzystając z wizy turystycznej. Kiedy minął termin jej ważności, zostaliśmy w Stanach.

Od tamtego czasu nie wyjeżdżaliśmy z kraju. Nie dopuściliśmy się żadnego przestępstwa, nie licząc tego jednego wykroczenia mojego ojca.

Oddaję kobiecie dokumenty, a ona od razu przygląda się ostatniemu.

– To za mało – mówi. – Musisz coś jeszcze dopisać.

– Co na przykład?

– Czym jest dla ciebie Ameryka? Dlaczego chcesz zostać? Jak przyczynisz się do wzrostu jej potęgi?

– Czy to naprawdę...

– Cokolwiek, co Jeremy będzie mógł obrócić na twoją korzyść.

Gdyby ludzie, którzy urodzili się w Stanach, musieli udowodniać, że zasługują na życie w Ameryce, populacja tego kraju znacznie by się zmniejszyła.

Kobieta przegląda moje pozostałe kwestionariusze, a ja piszę o tym, jaką to byłabym pracownicą, optymistyczną i patriotycznie zorientowaną obywatelką. Piszę, że w sercu czuję, iż Ameryka to moja ojczyzna, a obywatelstwo tylko zalegalizuje moje odczucia. To moje miejsce. Innymi słowy, jestem bardziej szczerą niż kiedykolwiek. Daniel byłby ze mnie dumny.

Daniel.

Pewnie jedzie właśnie na swoje spotkanie. Czy zrobi to, co trzeba, i ostatecznie zostanie lekarzem? Czy w przyszłości pomyśli o mnie i przypomni sobie dziewczynę, z którą pewnego dnia spędził dwie godziny w Nowym Jorku? Może zacznie szukać mnie w Google, ale ponieważ zna tylko moje imię, daleko nie zajdzie. Ale przypuszczam, że najprawdopodobniej wieczorem już nie będzie o mnie pamiętał. W każdym razie ja do tego czasu o nim zapomnę.

Dzwoni telefon, kobieta chwytą go, zanim rozlegnie się ponowny dźwięk.

– O mój Boże, Jeremy. Jak się czujesz? – Zamyka oczy, trzyma komórkę w obu dłoniach i przyciska ją sobie do twarzy. – Chciałam

przyjechać, ale twoja żona powiedziała, że mam zostać na stanowisku. – Powieki jej się podnoszą przy słowie „żona” – Na pewno nic ci nie jest? – Im dłużej słucha, tym staje się pogodniejsza. Na twarzy zakwita jej rumieniec, oczy błyszczą od łez szczęścia.

To takie oczywiste, że jest w nim zakochana, prawie spodziewam się zobaczyć serduszka unoszące się nad biurkiem. Czy mają ze sobą romans?

– Chciałam przyjechać – szepcze ponownie. Po serii wymruczanych „okej” odkłada telefon. – Nic mu nie jest – rozpromienia się. Cała się aż świeci z poczucia ulgi.

– To świetnie – mówię.

Wyjmuje mi formularz z ręki. Czekam, aż go przekartkuje.

– Chcesz usłyszeć dobre wieści? – pyta.

Oczywiście, że tak! Kiwam powoli głową.

– Widziałam mnóstwo przypadków takich jak twój i myślę, że wszystko będzie dobrze.

Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie takich słów.

– Naprawdę sądzi pani, że on mi pomoże? – Wyraźnie słyszę nadzieję i sceptycyzm we własnym głosie.

– Jeremy nigdy nie przegrywa – oznajmia kobieta z taką dumą, jakby mówiła o samej sobie.

Tylko że to nie może być prawda. Każdy czasem w czymś przegrywa. Powinnam poprosić ją, by była bardziej precyzyjna, podała mi dokładny stosunek wygranych i przegranych spraw, a wtedy wiedziałabym, jak się poczuć.

– Jest nadzieja – mówi kobieta.

I chociaż nie cierpię poezji, od razu przychodzi mi do głowy wiersz, który czytaliśmy na angielskim. *Nadzieja jest tym upierzonym*^[5]. Teraz dopiero rozumiem, co to znaczy. Coś w mojej klatce piersiowej pragnie się wyrwać na zewnątrz, pragnie śpiewać, śmiać się i tańczyć

z poczucia ulgi.

Dziękuję jej i szybko wychodzę z gabinetu, zanim zadam pytanie, które odbierze mi tę radość. Zwykle wybieram prawdę, nawet jeśli jest niewygodna. To nie jest najłatwiejszy sposób, niekiedy prawda boli bardziej, niż można się spodziewać.

Kilka tygodni temu moi rodzice kłócili się w sypialni przy zamkniętych drzwiach. To była jedna z tych rzadkich okazji, kiedy moja mama naprawdę wściekła się na tatę. Peter przyłapał mnie na podsłuchiwanie pod drzwiami. Kiedy skończyli, zapytałam go, czy chce wiedzieć, czego się dowiedziałam, ale odmówił. Powiedział, że widzi po mojej minie, że musiało to być coś złego, a on nie chce niczego złego w swoim życiu. Wtedy byłam na niego wkurzona, ale potem pomyślałam, że może miał rację. Żałowałam, że nie mogę odsłuszyć tego, co usłyszałam.

Wychodzę na korytarz, opieram się czołem o ścianę i zastanawiam się, co dalej. Rozważam powrót i przyciśnięcie kobiety, żeby zdradziła mi więcej szczegółów, ale ostatecznie rezygnuję. Co mi to da? Równie dobrze mogę poczekać na oficjalną decyzję prawnika. Zresztą, jestem już zmęczona zamartwianiem się, wiem, że jej słowa nie dają mi żadnej gwarancji. Ale muszę przez chwilę poczuć cokolwiek innego niż zrezygnowaną rozpacz. A nadzieja wydaje się dobrą alternatywą.

Zastanawiam się, czy nie zadzwonić do rodziców i nie zrelacjonować im, czego się dowiedziałam, ale i z tego rezygnuję. Nie mam im nic nowego do powiedzenia. Co miałabym przekazać? Że facet, którego nie znam, wysłał mnie do innego obcego faceta? A asystentka, która nie jest prawniczką i której też nie znam, twierdzi, że wszystko będzie dobrze? Jaki jest sens wzbudzania niepotrzebnej nadziei w całej rodzinie?

Jedyną osobą, z którą chciałabym porozmawiać, jest Daniel, ale on już dawno poszedł na swoje spotkanie.

Żałuję, że nie byłam dla niego miłsza.

Żałuję, że nie wzięłam od niego numeru telefonu.

A jeśli ten problem imigracyjny sam się rozwiąże? Jak go odnajdę, jeśli jednak zostanę? Bo chociażbym nie wiem, jak temu zaprzeczała, rzeczywiście coś między nami zaskoczyło. Coś dużego.



HANNAH WINTER

Historia à la baśń, część pierwsza

Hannah zawsze uważała się za osobę żyjącą w świecie baśni, ale nieodgrywającą w niej głównej roli. Nie była ani księżniczką, ani dobrą wróżką. Ani złą wiedźmą, ani jej pomocnicą. Grała epizodyczną rolę, po raz pierwszy pojawiała się na stronie dwunastej albo trzynastej. Może kucharka, rządząca w świecie podpłomyków i cukierków. Albo służąca, dobrodusznia, trzymająca się na uboczu.

Dopiero kiedy spotkała radcę prawnego Jeremy'ego Fitzgeralda i zaczęła dla niego pracować, wyobraziła sobie po raz pierwszy, że mogłaby być gwiazdą. To właśnie w nim ujrzała tego jednego jedyne. Jej „i żyli długo i szczęśliwie”. Mimo że jest żonaty. Mimo że ma dwoje małych dzieci.

Hannah nigdy nie wierzyła, że on odwzajemni jej miłość – aż do dnia, kiedy to zrobił.

Ten dzień nastąpił właśnie dzisiaj.



RADCA PRAWNY JEREMY FITZGERALD

Historia à la baśń, część pierwsza

Jeremy Fitzgerald przechodził przez ulicę, kiedy pijany, załamany człowiek – pracownik towarzystwa ubezpieczeniowego – w białym bmw uderzył w niego z prędkością trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę. Uderzenie było za słabe, by go zabić, ale wystarczyło, by radca pomyślał o potencjalnej śmierci i swoim dotychczasowym życiu. Wystarczyło, by przyznał przed samym sobą, że jest zakochany w swojej asystentce, Hannah Winter, i to już od dłuższego czasu.

Później tego samego dnia, gdy wróci do kancelarii, bez słowa chwyci Hannah w ramiona. I kiedy tak będzie ją tulił do siebie, przez myśl mu przemknie pytanie, jaką cenę przyjdzie zapłacić za tę miłość.



DANIEL

Miejscowy nastolatek dokonuje kiepskiego wyboru

Moja mama, absolutna pacyfistka, zabiłaby mnie na śmierć, gdyby się dowiedziała, co właśnie zrobiłem. Przełożyłem spotkanie. Ze względu na dziewczynę. I to nawet nie Koreankę, ale czarnoskórą dziewczynę, której tak naprawdę nie znam. Czarnoskórą dziewczynę, której tak naprawdę nie znam, a która być może wcale mnie nie lubi.

Kobieta, która odebrała telefon, powiedziała, że idealnie się wstrzeliłem. Miała do mnie dzwonić w tej samej sprawie. Jedynym wolnym terminem była godzina osiemnasta, tak więc stoję w holu budynku, do którego weszła Natasha, i jej wypatruję. Większość biur zajmują prawnicy (J.D., Esq.) i księgowi (CPA, CFA). W życiu nie widziałem tylu skrótów przy nazwiskach. Daniel Jae Ho Bae, GCh (Głupi Chłopak), SNP (Skazany Na Porażkę).

Z kim mogła się tu umówić? Albo jest dziedziczką fortuny, którą chce w coś zainwestować, albo wpadła w kłopoty i potrzebny jej prawnik.

Nagle otwierają się drzwi windy po drugiej stronie holu i moim oczom ukazuje się Natasha.

Kiedy przekładałem spotkanie, zastanawiałem się przez chwilę, czy nie zachowuję się absurdalnie. W końcu nie powinienem pozwolić na to, by ledwo poznana dziewczyna zagroziła mojej przyszłości. Jednak łatwiej mi było o tym myśleć, gdy na nią nie patrzyłem, teraz nie mam

pojęcia, dlaczego w ogóle się wahałem.

Oczywiście, że jest tego warta. I zaraz mogę to wyjaśnić.

Tak, jest ładna. Połączenie bujnych, gęstych włosów, czarnych oczu i pełnych, różowych warg stanowi uroczą mieszankę. Poza tym ma najpiękniejsze nogi na tym świecie (po wnikliwej obserwacji przesunąłem je z trzeciego miejsca na pierwsze – i jestem w tej kwestii bardzo obiektywny). Więc owszem, pociąga mnie, ale jest coś jeszcze, i wcale nie mówię tego dlatego, że ma najpiękniejsze nogi na tym świecie. Obiektywnie rzecz biorąc.

Przyglądam się, jak przechodzi przez hol. Rozgląda się, próbuje znaleźć coś lub kogoś. Nie znajduje i widzę wyraźnie, jak zwiesza ramiona. To mnie szuka, prawda? Chyba że w ciągu tych ostatnich trzydziestu minut, odkąd się rozdzieliliśmy, spotkała miłość swojego życia.

Wychodzi na zewnątrz, obraca się powoli o 360 stopni w jedną stronę, potem to samo w drugą, jeszcze wolniej. Kogokolwiek szuka, nie ma go tutaj.



NATASHA

Nie ma go ani w holu, ani przed budynkiem. Muszę przyznać, że nie ma go, a ja chciałabym, żeby był. Czuję pustkę w żołądku, jakbym była głodna, chociaż to nie jedzenia pragnę.

Zrobiło się cieplej. Zdejmuję kurtkę, przerzucam sobie przez ramię i stoję, próbując zdecydować, co dalej. Nie mam ochoty stąd odchodzić, nie mam też ochoty przyznać przed sobą, że nie mam na to ochoty. I nie, żebym uważała, że jesteśmy sobie pisani czy coś równie idiotycznego. Ale miło byłoby spędzić z nim następnych parę godzin. Może nawet iść na randkę. Chętnie bym się przekonała, czy podczas całowania też się rumieni.

To ostatnie miejsce, w którym się widzieliśmy. Jeśli stąd odejdę, już go nigdy nie zobaczę. Zastanawiam się, jak mu idzie na rozmowie. Czy mówi to, co trzeba, czy pozwala, by jego egzystencjalne wątpliwości przebiły się na światło dzienne. Temu chłopakowi potrzebny jest doradca życiowy.

Już mam sobie stąd iść, ale coś mi każe jeszcze raz się obejrzeć. Wiem, że nie można tak po prostu wyczuć czyjejs obecności. Już prędzej to moja podświadomość zauważyła go, gdy przechodziłam przez hol. Ludzie używają poetyckiego języka, by opisać to, czego nie potrafią zrozumieć. Zwykle istnieje wyjaśnienie naukowe, trzeba tylko poszukać.

Tak czy inaczej, on tu jest. Jest tutaj.



DANIEL

Ona idzie w moją stronę. Parę godzin temu powiedziałbym, że jej twarz jest pozbawiona wyrazu, ale powoli staję się ekspertem, jeśli chodzi o Natashę, więc widzę, że tylko próbuje pozbawić się wszelkiego wyrazu. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jest uszczęśliwiona moim widokiem.

– I co z twoją rozmową? – pyta, ledwo się do mnie zbliża.

Żadnych uścisków, żadnego „cieszę się na twój widok”. Może jednak nie jestem wcale takim ekspertem w kwestii Natashy.

Czy mam trzymać się faktów, czy prawdy (co intrygujące, jedno nie zawsze równa się drugiemu)? Fakty wyglądają następująco: przełożyłem spotkanie. Prawda brzmi: przełożyłem spotkanie, żeby móc spędzić z nią więcej czasu. Wybieram prawdę:

– Przełożyłem spotkanie, żeby móc spędzić z tobą więcej czasu.

– Oszalałeś? Przecież chodzi o twoje życie!

– Przecież nie spaliłem budynku, Tash. Ja tylko przesunąłem spotkanie na później.

– Kim jest Tash? – pyta, ale kąci jej ust unoszą się w cieniu uśmiechu.

– Jak ci poszło? – Wskazuję brodą w stronę wind. Uśmiech znika jej z twarzy. Zapamiętuję: już nigdy nie należy poruszać tego tematu.

– Dobrze. Mam tu wrócić o wpół do czwartej.

Spoglądam na telefon, jest 11:35.

– Wygląda na to, że mamy jeszcze trochę czasu dla siebie – mówię. Spodziewam się, że przewróci oczami, a jednak tego nie robi. Uznaję to za drobne zwycięstwo.

Natasha drży i pociera sobie przedramiona. Widzę u niej gęsią skórkę. To kolejna rzecz, której się o niej dowiedziałem: łatwo marznie. Biorę jej kurtkę i pomagam jej ją włożyć. Wsuwa jedną rękę, potem drugą, a potem porusza ramionami, żeby poprawić ułożenie. Układam jej kołnierz. Kładę dłoń na jej karku, a ona pochyla się odrobinę w moją stronę. Jej włosy łaskoczą mnie w nos. To drobny gest, ale czuję się, jakbyśmy wykonywali go już od dawna.

Natasha się odwraca, muszę zabrać ręce, żeby nie dotykać jej zbyt intymnie. Jeszcze nie dotarliśmy do tego etapu.

– Jesteś pewien, że nie ryzykujesz... – zaczyna.

– Nie obchodzi mnie to.

– A powinno. – Natasha milknie i patrzy na mnie niespokojnie. – Zrobiłeś to z uwagi na mnie?

– Tak.

– Skąd wiesz, że jestem tego warta?

– Intuicja – odpowiadam. Nie wiem dlaczego, ale przy niej robię się odważny i mówię prawdę.

Otwiera szeroko oczy i drży.

– Jesteś niemożliwy – mówi.

– Możliwe – stwierdzam.

Śmieje się, a w jej czarnych oczach pojawia się błysk.

– Co teraz robimy? – pyta.

Muszę obciąć włosy i zanieść ojcu dowody wpłaty. Nie mam ochoty ani na jedno, ani na drugie. Mam ochotę znaleźć jakieś przytulne miejsce i z nią usiąść. Ale dowody muszą zostać dostarczone. Pytam, czy jest gotowa na wycieczkę do Harlemu, a ona się zgadza. To ostatnia

rzecz, jaką powinienem teraz robić. Nie wiem, czy mógłbym wpaść na gorszy pomysł. Mój tata ją na pewno wystraszy. Spotka go, przekona się, jak będę wyglądał za pięćdziesiąt lat, i zwieje, gdzie pieprz rośnie, bo sam bym to zrobił na jej miejscu.

Mój tata to dziwny człowiek. Powiedziałem „dziwny”, ale w rzeczywistości to cholerny dziwoląg. Po pierwsze, właściwie z nikim nie rozmawia, nie licząc klientów – ze mną i z Charliem też nie. Chyba że do rozmowy zaliczymy krytykę. Jeśli tak, można uznać, że minionego lata więcej powiedział do Charliego niż przez ostatnie dziewiętnaście lat. Być może przesadzam, ale nieznacznie.

Nie wiem, jak mam jemu i Charliemu wyjaśnić Natashę. To znaczy, Charliego mam w nosie, ale ojciec na pewno zwróci na nią uwagę. Domyśli się, że coś jest na rzeczy, tak samo jak zawsze wie, który klient chce coś ukraść, komu można sprzedać coś na kreskę, a komu nie.

Wieczorem przy kolacji powie coś do mamy po koreańsku i użyje tonu, który zawsze stosuje, gdy narzeka na Amerykanów. Nie chcę, żeby rodzice się w to mieszała. Nie jesteśmy gotowi na taką presję.

Natasha stwierdza, że wszystkie rodziny są dziwne, i ma rację. Muszę ją później wypytać o jej własną. Na razie schodzimy do metra.

– Przygotuj się psychicznie – mówię.



NATASHA

Harlem znajduje się zaledwie dwadzieścia pięć minut jazdy pociągiem od miejsca, w którym się znajdowaliśmy, ale mam wrażenie, że wyjechaliśmy do zupełnie innego kraju. Zamiast drapaczy chmur stoją tu nieduże, ściśnięte sklepiki z jaskrawymi markizami, powietrze pachnie świeżo, mniej śródmiejsko, bardziej przedmieściowo. Prawie wszyscy przechodnie mają czarną skórę.

Daniel milczy, gdy idziemy Martin Luther King Boulevard w stronę sklepu jego rodziców. Zwalnia, gdy mijamy pustą wystawę z wielkim napisem „DO WYNAJĘCIA” oraz lombard z zieloną markizą. Przystajemy przed sklepem z artykułami pielęgnacyjnymi do ciemnych, kręconych włosów.

Sklep nazywa się Black Hair Care, nie raz byłam w podobnym. „Idź do salonu i kup mi płyn do prostowania włosów”, mawia moja mama średnio co dwa miesiące.

Wszyscy wiedzą, że każdy sklep z produktami do pielęgnacji włosów osób czarnoskórych znajduje się w rękach Koreańczyków i że to jawna niesprawiedliwość. Nie wiem, dlaczego o tym nie pomyślałam, gdy Daniel mówił mi, że jego rodzina prowadzi sklep.

Nie mogę zająrzeć do środka, ponieważ szyby wystawowe są oklejone starymi, wyblakłymi od słońca plakatami przedstawiającymi uśmiechnięte czarnoskóre kobiety w garsonkach, z których każda ma

wyprostowane włosy. Najwyraźniej – a przynajmniej taki wniosek można wyciągnąć z plakatów – żeby móc wziąć udział w zebraniu zarządu, wymagana jest konkretna fryzura. Nawet moja mama dała się przekonać reklamom. Nie była zbyt szczęśliwa, gdy zdecydowałam się na afro, stwierdziła, że to nie wygląda profesjonalnie. A jednak ja lubię moją wielką fryzurę, chociaż podobałam się sobie także w dłuższych, rozprostowanych włosach. Dobrze, że mogę dokonywać wyborów. Mam do tego prawo.

Daniel jest tak zdenerwowany, że aż czuję płynące od niego wibracje. Zastanawiam się, czy to dlatego, że mam poznać jego tatę, czy ze względu na to, że jego rodzice prowadzą taki a nie inny sklep. Odwraca się do mnie i zaczyna ciągnąć za krawat, jakby go cisnął.

– Wiesz, mój tata jest... – zaczyna, po czym przerywa. – A z kolei mój brat to naprawdę... – próbuje ponownie.

Patrzy wszędzie, tylko nie na mnie. Głos ma spięty, zapewne dlatego, że próbuje mówić, nie oddychając.

– Może po prostu mogłabyś tu zaczekać? – wydusza z siebie w końcu. Udało mu się wypowiedzieć całe zdanie.

Początkowo nie biorę tego do siebie. Chyba każdy wstydzi się swojej rodziny – ja na pewno. A przynajmniej ojca. Na miejscu Daniela zrobiłabym to samo. Mój zdradziecki ekschłopak, Rob, nigdy nie poznał mojego ojca. Tak było prościej. Nie musiał słuchać jego udawanego, sztucznego akcentu amerykańskiego, nie musiał przyglądać się, jak ojciec próbuje wtrącić się do rozmowy, by opowiedzieć o sobie, swoich planach na przyszłość i o tym, jaki będzie kiedyś sławny.

Stoimy pod witryną, kiedy nagle ze sklepu wychodzą dwie roześmiane czarnoskóre nastolatki. Do środka wchodzi jakaś kobieta, także o czarnej karnacji.

Nagle przychodzi mi do głowy, że może on wcale nie wstydzi się rodziny. Może wstydzi się mnie. Albo boi się, że jego rodzice będą się

mnie wstydzić. Nie wiem, czemu wcześniej o tym nie pomyślałam.

Ameryka nie jest tak naprawdę wielokulturowym tygłem. Bardziej przypomina talerz z osobnymi przegródkami na ziemniaki, mięso i warzywa. Patrzę na Daniela, ale on nie patrzy na mnie. Między nami pojawiło się coś, czego się nie spodziewałam.



WŁOSY

Historia afroamerykańska

W piętnastowiecznych cywilizacjach afrykańskich fryzura była znakiem tożsamości i mogła świadczyć praktycznie o wszystkim, od przynależności plemiennej i rodzinnej, przez religię, aż po status społeczny. Wyszukane fryzury były znakiem władzy i bogactwa. Poskromiona towarzyszyła często żałobie. Co więcej, włosy miawały także znaczenie duchowe. Ponieważ porastają głowę – część ciała, która znajduje się najwyżej i najbliżej nieba – wielu Afrykańczyków uważało je za przejście dla duchów i sposób interakcji z Bogiem.

To wszystko zniknęło jednak wraz z nastaniem ery niewolnictwa. Schwytani Afrykańczycy byli przymusowo goleni na statkach w głębokim akcie odczłowieczania, co skutecznie niwelowało związek między fryzurą a tożsamością kulturową.

Po zniesieniu niewolnictwa włosy Afroamerykanów zyskały zupełnie nowe znaczenie. „Dobra” fryzura łudzaco zbliżyła się do europejskich kanonów urody: włosy miały być proste i gładkie. Charakterystyczne dla wielu Afroamerykanów loki były postrzegane jako coś złego i brzydkiego, piękne były włosy proste. Na początku dwudziestego wieku czarnoskóra Madam C.J. Walker została milionerką, albowiem wynalazła i rozreklamowała produkty do pielęgnacji włosów

czarnoskórych kobiet. Najbardziej była jednak znana z tak zwanego „gorącego grzebienia”, urządzenia do prostowania włosów. W latach sześćdziesiątych George E. Johnson reklamował płyn do prostowania afroamerykańskich loków. Według niektórych danych szacunkowych przemysł oparty na produkcji preparatów do włosów osób czarnoskórych jest wart ponad miliard dolarów rocznie.

W czasach między zniesieniem niewolnictwa a współczesnością wśród społeczności Afroamerykanów rozszalały się gorące dyskusje. Czym różni się naturalna fryzura i wyprostowane włosy? Czy prostowanie fryzury to wynik nieakceptacji własnej osoby? Czy ten, kto prostuje, uważa, że naturalne włosy są brzydkie? Czy wybór naturalnych loków jest polityczną deklaracją, domaganiem się władzy czarnoskórych? Fryzura Afroamerykanek to często coś więcej niż tylko wynik próżności. To coś więcej niż indywidualne wyobrażenie własnej urody.

Gdy Natasha decyduje się na fryzurę afro, to wcale nie dlatego, że jest świadoma całej tej historii fryzury. Robi to mimo uwag swojej matki, że w takich włosach kobiety wyglądają wojowniczo i nieprofesjonalnie. Te uwagi wynikają ze strachu – Patricia Kingsley boi się, że jej córkę skrzywdzi społeczeństwo jakże często obawiające się czerni. Patricia nie wypowiada jeszcze jednego swojego zastrzeżenia: nowa fryzura Natashy jest dla niej jak odrzucenie. Ona sama przez całe życie prostuje włosy. Od dziesiątego roku życia córki prostowała włosy także i jej, a teraz, kiedy na nią patrzy, nie widzi w niej siebie – jak wcześniej – i to ją boli. Ale oczywiście nastolatki tak właśnie postępują. Wszystkie dzieci w tym wieku odseparowują się od rodziców. Dorastanie polega na oddalaniu się od rodziców.

Trzy lata trwa odrastanie włosów Natashy. Ale nie zapuszcza ich w ramach politycznej deklaracji, tak naprawdę podobają jej się proste włosy. W przyszłości może znów je wyprostuje. Dlatego, że lubi

próbować nowości.

Dlatego, że to wygląda ślicznie.



DANIEL

Miejscowy chłopak jest takim samym dupkiem jak jego brat

– Może po prostu mogłabyś tu zaczekać? – pytam, jakbym się jej wstydził, jakbym chciał trzymać ją w ukryciu. Od razu tego żałuję. Żadnego czekania kilku minut, by zrozumieć, co tak naprawdę powiedziałem. Nie, o nie. Natychmiastowy, wszechpotężny żal.

A kiedy słowa już się wydostaną na zewnątrz, nie mogę uwierzyć, że je powiedziałem.

Jestem jeszcze większym dupkiem niż Charlie.

Nie daję rady nawet na nią spojrzeć. Wbiła we mnie wzrok, a ja nie daję rady na nią spojrzeć. Przydałby mi się teraz wehikuł czasu. Cofnąłbym ostatnią minutę.

Spieprzyłem sprawę.

Jeśli Daniel i Natasha mają stać się rzeczywistością, uporanie się z rasizmem mojego ojca to zaledwie początek. Tyle że stawiamy dopiero pierwsze kroki razem, a ja nie chcę, żeby w tym momencie musiała się z nim zmierzyć. Chcę tego, co łatwe, a nie tego, co właściwe. Chcę się zakochać.

Żadnych przeszkód po drodze, bardzo proszę. Nikt nie powinien odnosić obrażeń podczas zakochiwania się. Ja też nie chcę.



NATASHA

Zaczekam tutaj, nie ma sprawy, rozumiem. Ale jakaś część mnie, ta, która nie wierzy w Boga ani w prawdziwą miłość, chce, by Daniel udowodnił mi, że się mylę. Chciałabym, żeby mnie wybrał. Chociaż to jeszcze za wczesny etap naszych relacji. Chociaż sama bym tego nie zrobiła. Wolałabym, żeby był taki szlachetny i szarmancki, jakim wydał mi się na początku, ale oczywiście taki nie jest. Nikt taki nie jest. Więc go uspokajam.

– Nie przejmuj się tak bardzo – mówię. – Zaczekam.

Nie ma sprawy.



DANIEL

Kiedy człowiek przychodzi na świat, Bóg, małe aniołki czy ktokolwiek tam jest, powinien go wyposażyć w zestaw darmowych przepustek. „Zrób to jeszcze raz”, „Przełoż na później”, „Cofnij swoje słowa” oraz „Karta wyjścia z więzienia”. Najchętniej wykorzystałbym teraz kartę „Zrób to jeszcze raz”.

Podnoszę wzrok i zdaję sobie sprawę, że Natasha dobrze wie, przez co właśnie przechodzę. Zrozumie, jeśli wejdę sam do środka, przekażę kwity i wyjdę. A potem pójdziemy dalej i nie będę musiał później odbywać żadnej rozmowy w rodzaju „kim była ta dziewczyna?”. Żadnych rasistowskich aluzji ze strony Charliego. Ta drobna upierdliwość będzie jedynie nieznaczną przeszkodą na naszej drodze ku świetności. Ku wspaniałemu związkowi.

A jednak nie mogę. Nie mogę jej tu zostawić. Po części dlatego, że tak należy postąpić. Ale głównie, ponieważ to wcale nie jest początek nas.

– Mogę spróbować od nowa? – pytam, wykorzystując kartę „Zrób to jeszcze raz”.

Uśmiecha się tak szeroko, że cokolwiek się za chwilę wydarzy, będzie warto.



NATASHA

Dzwonek obwieszcza nasze wejście. To taki sam sklep z produktami do pielęgnacji jak każdy inny. Nieduży, szczelnie wypełniony rzędami metalowych regałów, których półki uginają się pod ciężarem plastikowych butelek zapewniających, że tajna receptura to najlepsze rozwiązanie dla twoich włosów albo skóry.

Kasa znajduje się na wprost wejścia, więc natychmiast dostrzegam jego tatę. Od razu wiem, po kim Daniel odziedziczył urodę. Jego ojciec jest starszy i już łysieje, ale ma tak samo wydatne kości policzkowe i idealnie symetryczną twarz – cechy, dzięki którym Daniel wydaje się taki atrakcyjny. Kasuje właśnie klienta, więc nie zwraca uwagi na Daniela, choć jestem pewna, iż zauważył nas oboje. Klientem jest chłopak mniej więcej w moim wieku, ciemnoskóry, o krótkich fioletowych włosach. Ma trzy kolczyki w ustach, jeden w nosie, jeden w brwi i tak wiele w uszach, że nie jestem w stanie zliczyć. Chciałabym zobaczyć, co kupuje, ale produkty są już zapakowane.

Daniel wyjmuje z kieszeni marynarki woreczek, jego tata rzuca mu przelotne spojrzenie. Nie mam pojęcia, co w ten sposób chciał mu przekazać, ale Daniel nieruchomieje i wzdycha.

– Chcesz wejść do łazienki? – pyta. – Mamy na tyłach.

Kręcę głową. Daniel zaciska palce na woreczku.

– No właśnie. To nasz sklep – mówi.

– Masz ochotę mnie oprowadzić? – pytam, żeby odwrócić jego uwagę.

– Nie ma tu za wiele do oglądania. Pierwsze dwa rzędy to produkty do pielęgnacji włosów. Szampony, odżywki, przedłużenia, farby, mnóstwo chemikaliów, których funkcji nie ogarniam. Trzeci rząd to kosmetyki do makijażu. Czwarty to rozmaite urządzenia.

Zerka na ojca, ale ten nadal jest zajęty.

– Masz na coś ochotę? – pyta.

Dotykam włosów.

– Nie, ja...

– Nie miałem na myśli towarów. Na zapleczu stoi lodówka z napojami i tak dalej.

– A to tak – odpowiadam. Podoba mi się pomysł zajrzenia za kulisy.

Idziemy wzdłuż regału z farbami do włosów. Na każdym pudełku widnieje szeroko uśmiechnięta kobieta o idealnie ułożonych i pofarbowanych włosach. W tych opakowaniach nie sprzedaje się barwników, ale szczęście.

Przystaję przed jaskrawymi farbami i biorę do ręki różową. Jakaś ukryta, bardzo mała, niepraktyczna część mnie zawsze chciała mieć różowe włosy.

Do Daniela dopiero po chwili dociera, że się zatrzymałam.

– Różowa? – pyta na widok pudełka, które trzymam w dłoni.

Macham mu opakowaniem przed nosem.

– A dlaczego by nie?

– Bo to chyba nie w twoim stylu.

Oczywiście, ma całkowitą rację, ale nie podoba mi się, że tak pomyślał. Czyżbym była zbyt przewidywalna i nudna? Wracam myślami do chłopaka, którego zobaczyłam po wejściu do sklepu. On pewnie jest jedną wielką zagadką dla swoich znajomych.

– To tylko pokazuje, jak mało o mnie wiesz – odpowiadam i przyklepuję sobie włosy. Robię się skrepowana, mam nadzieję, że nie

będzie chciał dotykać moich włosów ani nie zada żadnych idiotycznych pytań na ich temat. Nie, żebym nie chciała, by ich dotykał – chciałabym, ale nie kierowany niezdrową ciekawością.

– Myślę, że wyglądałabyś przepięknie z gigantycznym różowym afro – stwierdza.

Szczerota jest seksowna, moje cyniczne serce od razu to zauważa.

– Wszystko nie byłoby przecież różowe. Może same końcówki.

Daniel wyciąga rękę po pudełko, teraz oboje je trzymamy i stoimy naprzeciwko siebie w przejściu, w którym może się zmieścić najwyżej jedna osoba.

– Wyglądałyby jak lukier truskawkowy – mówi. Drugą ręką przeczesuje między palcami kilka moich kosmyków, a ja nie mam nic przeciwko temu, zupełnie nic.

– No. Proszę. Jest. Tu. Mój. Braciszek – rozlega się czyjś głos z drugiej strony półek. Daniel szybko zabiera rękę z moich włosów. Jednocześnie puszczamy opakowanie z farbą, kartonik spada z hałasem na podłogę. Daniel schyla się, by go podnieść, a ja się odwracam, by się przekonać, kto nam przeszkodził.

Chłopak jest wyższy i szerszy niż Daniel. Na jego twarzy odziedziczone po ojcu kości policzkowe wydają się jeszcze wydatniejsze. Opiera o regał szczotkę, którą trzymał w ręku, i rusza w naszą stronę. Jego szerokie, ciemne oczy wypełniają się zaintrygowaniem oraz złośliwym błyskiem.

Chyba go nie lubię.

Daniel prostuje się i oddaje mi farbę.

– O co chodzi, Charlie? – pyta.

– O. To. Chodzi. Że. Się. Rozchodzi. Braciszku – odpowiada Charlie. Mam wrażenie, że stosuje to określenie od dziecka.

Mówiąc to, patrzy na mnie, a na jego twarzy widnieje nie tyle uśmiech, ile pogardliwy uśmieszek.

– Kto. To? – pyta, nadal patrząc wyłącznie na mnie.

Daniel bierze głęboki wdech i już ma coś powiedzieć, ale ja się wtrącam.

– Jestem Natasha. – Gapi się na mnie, jak gdyby czekał na więcej. – Koleżanka twojego brata.

– Ooo, a już sądziłem, że przyłapał klientkę na kradzieży. – Jego twarz to uosobienie niewinności. – Często to nam się przytrafia ze względu na rodzaj sklepu. – Wzrok ma teraz jawnie rozbawiony. – Jestem pewien, że to rozumiesz.

Nie, zdecydowanie go nie lubię.

– Jezus Maria, Charlie – odzywa się Daniel. Robi krok w stronę brata, ale chwytam go za rękę. Zatrzymuje się, splata palce z moimi i ściska moją dłoń.

Charlie robi wielkie przedstawienie: spogląda ostentacyjnie na nasze złączone ręce, a potem na twarze.

– Czy to jest to, o czym myślę? Braciszek się zakooooooochał? – Klaszcze głośno i podskakuje z radością.

– To. Cudowne. Tak. Wiesz, co to oznacza? Że całe ciśnienie zostanie ze mnie zdjęte. Kiedy starzy się o tym dowiedzą, znów będę cudownym dzieckiem. Pieprzyć zawieszenie na studiach.

Teraz śmieje się w głoś i zaciera dłonie, jak złoczyńca przedstawiający swój plan zdobycia świata.

– Łał. Jesteś dupkiem. – Nie zdołałam się powstrzymać.

Uśmiecha się, jakby usłyszał komplement. Ale uśmiech nie trwa zbyt długo.

Znów spogląda na nasze ręce, a potem na Daniela.

– Ale gówniarz z ciebie – mówi. – Co zamierzasz tym osiągnąć?

Mocniej ściskam rękę Daniela i przyciągam do siebie. Chcę udowodnić Charliemu, że się myli.

– Zrób, co masz do zrobienia, i znikajmy stąd – mówię.

Kiwa głową, odwracamy się – i wchodzimy prosto na jego ojca. Puszczam jego dłoń w tej samej chwili, w której on puszcza moją, ale jest już za późno. Jego ojciec zdążył nas zobaczyć.



DANIEL

Wielki kutas przebiera się za dziewiętnastolatka, ale kogo on próbuje oszukać?

Charlie to wielki kutas i chętnie bym mu przyłożył. Mam ochotę walnąć go w tę jego pyszałkowatą buźkę. To nie jest nowe uczucie, mam na to ochotę mniej więcej od dziesiątego roku życia, ale tym razem naprawdę przesadziłem. Rozmyślam o tym, jak dobrze byłoby złamać sobie rękę na jego gębie, ale jednocześnie nie mogę przestać myśleć o tym, że trzymam w dłoni dłoń Natashy.

– Co ty robisz? – pyta mój ojciec po koreańsku.

Postanawiam zignorować pytanie i wyciągam rękę z dowodami wpłat.

– Mama kazała ci przynieść – mówię po angielsku, żeby Natasha nie sądziła, że rozmawiamy o niej.

Charlie staje obok mnie.

– Chcesz, żebym tłumaczył dla twojej koleżanki? – Specjalnie podkreśla słowo „koleżanki”, bo bycie kutasem to jego główny cel w życiu.

Tata spogląda na niego ostro.

– Myślałem, że nie rozumiesz koreańskiego.

Mój brat wzrusza ramionami.

– Jakoś sobie radzę. – Nawet niechęć ojca nie powstrzyma go przed

dobrą zabawą moim kosztem.

– Dlatego właśnie wyleciałeś z Harvardu? Ponieważ tylko „jakoś sobie radzisz”? – To pytanie pada po koreańsku, ojciec nie zamierza prac brudów na oczach *miguk saram*. Amerykanki.

Charlie ma to w nosie i jednak postanawia przetłumaczyć jego słowa Natashy. Tym razem jednak już się tak szeroko nie uśmiecha.

– Nie martw się – zwraca się do dziewczyny. – To nie o tobie. Jeszcze nie. Na razie nazwał mnie idiotą.

Twarz taty jest teraz kompletnie pozbawiona emocji, po czym poznaję, jak bardzo jest wściekły. Charlie złapał go w sidła. Wie, że cokolwiek powie, jego starszy syn to przetłumaczy, a w swoim własnym poczuciu przyzwoitości nie może na to pozwolić. Przeradza się więc w Bezstronnego Właściciela Sklepu, co widywałem już milion razy.

– Chciałabyś może coś sobie wybrać, zanim wyjdiesz? – pyta Natashę. Składa dłonie, robi ukłon i uśmiecha się swoim najlepszym uśmiechem sprzedawcy.

– Nie, dziękuję, panie... – Natasha przerywa, ponieważ nie zna mojego nazwiska.

Mój ojciec nie odpowiada.

– Tak. Tak. Jesteś koleżanką Daniela. Bierz, co chcesz. – To już proszenie się o katastrofę, ale nie wiem, jak jej zapobiec. Ojciec klepie się po kieszeniach, znajduje okulary i spogląda na stojące na regale buteleczki.

– Nie ten rząd – mruczy do siebie. – Chodźcie za mną.

Może jeśli się podporządkujemy, szybciej będziemy mieli to za sobą. Idziemy z Natashą za moim ojcem, dość bezradni, a Charlie się z nas śmieje.

Tata znajduje to, czego szukał, na sąsiednim regale.

– Proszę. Do prostowania włosów. – Podaje Natashy dużą czarno-białą tubkę.

– Do prostowania – powtarza. – Fryzura nie będzie wielka.

Jakim cudem przyszedłem na świat w tej rodzinie i jak mogę się od niej uwolnić? Charlie śmieje się, długo i głośno. Już zaczynam mówić, że Natasha niczego nie potrzebuje, ale ona mi przerywa.

– Dziękuję, panie...

– Bae – mówię, ponieważ powinna poznać moje nazwisko.

– Panie Bae. Niepotrzebne mi...

– Duża fryzura – powtarza mój ojciec jak zdarta płyta.

– Lubię duże.

– W takim razie musisz poszukać sobie innego chłopaka – stwierdza Charlie i porusza brwiami, żebyśmy na pewno zrozumieli aluzję. Jestem zaskoczony, że nie pokazał jeszcze ręką, by mieć absolutną pewność, że do nas dotarło. Moje zaskoczenie nie trwa jednak zbyt długo. Charlie pokazuje kciukiem i palcem wskazującym odległość około dwóch-trzech centymetrów.

– Świetny żart, Charlie – odzywam się. – Tak, mój penis ma tylko dwa centymetry. – Nie patrzę na ojca. Natasha odwraca się w moją stronę i widzę, że dosłownie opada jej szczęka. Jestem pewien, że poważnie analizuje swoje ostatnie decyzje. Praktycznie ciskam ojcu woreczek z kwitami. Chwytam ją za rękę, chociaż przecież stoi tu mój ojciec. Łaskawie pozwala mi się trzymać.

– Dziękujemy, koniecznie wróćcie – grzmi Charlie, gdy zbliżamy się do drzwi. On jest jak świnia w gównie. A nawet samo gówno, bez świni.

Ignoruję go, nie zwracam także uwagi na wielką dezaprobatę ojca. Na nią przyjdzie czas później.



NATASHA

Wybucham śmiechem, choć wiem, że nie powinnam. To było autentycznie straszne. Biedny Daniel.

Bezsprzeczny fakt: rodzina to coś najgorszego na świecie.

Już prawie docieramy do stacji metra, kiedy Daniel wreszcie przestaje mnie ciągnąć. Kładzie sobie rękę na karku i zwiesza głowę.

– Przepraszam – mówi tak cicho, że bardziej czytam to z ruchu jego warg, niż słyszę.

Próbuję powstrzymać śmiech, bo Daniel wygląda, jakby ktoś mu umarł, ale naprawdę kiepsko mi idzie. Widzę przed oczami jego tatę próbującego wcisnąć mi tubkę ze środkiem rozprostowującym włosy i znów wzbiera we mnie śmiech. Kiedy mu się poddam, nie mogę przestać. Chwytam się za brzuch i zwijam się, chichocząc. Daniel tylko na mnie patrzy. Zmarszczył czoło tak bardzo, że ta bruzda zostanie mu chyba na zawsze.

– To było okropne – mówię, gdy się wreszcie uspokajam. – Gorzej już nie mogło być. Rasistowski tata. Rasistowski oraz seksistowski starszy brat.

Daniel pociera sobie kark i jeszcze bardziej marszczy czoło.

– No i sam sklep! Te staroświeckie plakaty, twój tato krytykujący moje włosy i twój brat i jego głupi żart o penisie.

Ledwo skończę wymieniać wszystko, co było okropne, a znów

wybucham śmiechem. Mija kilka sekund, ale w końcu Daniel się uśmiecha. To dobrze.

– Cieszę się, że cię to bawi – mówi.

– No weź. Tragedie są zabawne.

– A bierzemy udział w tragedii? – pyta, uśmiechając się szeroko.

– Oczywiście. Bo czym innym jest życie? Na końcu wszyscy umierają.

– No tak – kwituje. Podchodzi bliżej, chwyta moją rękę i kładzie sobie na piersi.

Przyglądam się swoim paznokciom. Analizuję wygląd skórek. Wszystko, byle tylko nie spojrzeć w te jego brązowe oczy. Pod palcami czuję, jak łomocze jego serce.

W końcu jednak podnoszę wzrok, a on zakrywa swoją dłońią moje palce.

– Przepraszam – mówi. – Przepraszam za moją rodzinę.

Kiwam głową, bo bicie jego serca robi jakieś dziwne rzeczy z moimi strunami głosowymi.

– Przepraszam za wszystko, za całą historię świata, cały rasizm i niesprawiedliwość.

– Co ty wygadujesz? To nie twoja wina. Nie możesz przeproszać za rasizm.

– Mogę i będę.

– Jezu. Chroń mnie przed miłymi, szczerymi chłopakami o wielkich emocjach.

Nadal uważam, że to, co się stało, było śmieszne w swojej absolutnej okropności, ale rozumiem też jego wstyd. Trudno wywodzić się z miejsca, z którego nie jest się szczególnie dumnym.

– Nie jesteś swoim ojcem – mówię, ale on mi nie wierzy. Rozumiem ten lęk. Bo czymże jesteśmy, jeśli nie produktem naszych rodziców i ich historii?



WŁOSY

Historia koreańsko-amerykańska

Rodzina Daniela wcale nieprzypadkowo weszła w sprzedaż produktów dla czarnoskórych nowojorczyków. Gdy Dae Hyun i Min Soo się tu przeprowadzili, czekała już na nich cała społeczność południowokoreańska gotowa nieść pomoc. Kuzyn Dae Hyuna udzielił im pożyczki i poradził, by otworzyli sklep z artykułami do pielęgnacji włosów. Jego kuzyn miał podobny sklep – tak samo zresztą jak inni imigranci. Biznes kwitł.

Ale zdominowanie rynku produktów do pielęgnacji włosów czarnoskórych Amerykanów też nie było przypadkowe. Wszystko zaczęło się w latach sześćdziesiątych, kiedy to peruki wykonane z włosów Koreańczyków zyskały znaczną popularność wśród społeczności afroamerykańskiej. Stały się tak chodliwym towarem, że rząd Korei Południowej zakazał eksportu włosów i wprowadził przepis, że peruki z nich wykonane mogą być wytwarzane wyłącznie na terenie kraju. Jednocześnie rząd amerykański zabronił sprowadzania peruk z chińskich włosów. Te dwa postanowienia umocniły panowanie Korei Południowej na rynku perukarskim i wkrótce dominacja rozszerzyła się na cały rynek artykułów związanych z włosami czarnoskórych.

Szacuje się, że Koreańczycy kontrolują między sześćdziesiąt a osiemdziesiąt procent tego rynku, włączając dystrybucję, sprzedaż detaliczną, a coraz częściej także wytwórstwo. Czy to z przyczyn kulturowych, czy rasowych, żadna inna grupa społeczna nie jest w stanie zahaczyć się w tej branży. Dystrybutorzy południowokoreańscy współpracują wyłącznie z południowokoreańskimi sprzedawcami, a tym samym skutecznie blokują dostęp innym nacjom.

Dae Hyun nie zna tej historii, wie tylko, że Ameryka to kraj pełen możliwości. Jego synowie będą mieli więcej niż on w ich wieku.



DANIEL

Chciałbym jej podziękować za to, że mnie nie znenawidziła. Kto mógłby ją za to winić po tym, co przeżyła w sklepie moich rodziców? Nie musiała reagować tak spokojnie, zrozumiałbym, gdyby nawrzeszczała na mojego tatę i brata. To cud (z gatunku przemiany wody w wino), że nadal jest skłonna ze mną przebywać; jestem jej za to ogromnie wdzięczny.

Nie mówię jednak tego wszystkiego, pytam ją natomiast, czy ma ochotę coś zjeść. Wróciliśmy do stacji metra, chcę znaleźć się jak najdalej naszego sklepu. Gdyby linia D jechała na księżyc, natychmiast kupiłbym bilet.

– Umieram z głodu – wyjaśniam.

Natasha przewraca oczami.

– Umierasz, doprawdy? Masz skłonności do przesady.

– To po to, żeby zrównoważyć twoją precyzję.

– Masz jakieś konkretne miejsce na myśli? – pyta.

Proponuję moją ulubioną restaurację w dzielnicy koreańskiej, a ona się zgadza. Wsiadamy do pociągu i znajdujemy miejsca obok siebie. Powrót do centrum zajmie nam czterdzieści minut.

Wyjmuję telefon i uruchamiam stronę z pytaniami.

– Gotowa na dalsze maglowanie? – pytam.

Przysuwa się tak blisko, że stykamy się ramionami, i nachyla nad

moją komórką. Jej włosy drapią mnie w nos. Wdycham ich zapach, byłem pewien, że dyskretnie, ale jak się okazuje – nie bardzo.

Natasha odrywa się ode mnie, przerażona. Oczy ma szeroko otwarte ze zdumienia.

– Czy ty mnie właśnie powąchałeś? – pyta i dotyka włosów w tym miejscu, w którym przed chwilą znajdował się mój nos.

Nie wiem, co powiedzieć. Jeśli się przyznam, uzna, że jestem dziwny i zboczony, jeżeli zaprzeczę, wyjdę na kłamcę oraz dziwnego zbrojeńca. Natasha przysuwa sobie kosmyk pod nos i wącha. Muszę ją przekonać, że jej włosy wcale źle nie pachną, bo pewnie tak to zrozumiała.

– Nie. To znaczy tak. Powąchałem.

Milknę, ponieważ jej oczy rozszerzają się jak spodki.

– I?

Dopiero po chwili dociera do mnie, o co ona mnie pyta.

– Piękny zapach. Wiesz, jak to jest czasami wiosną, kiedy deszcz pada przez kilka minut, a potem zaraz wychodzi słońce, woda paruje, a powietrze nadal pozostaje wilgotne? To właśnie taki zapach. Piękny.

Zamykam usta, chociaż one chcą mówić dalej. Opuszczam wzrok na komórkę, mam nadzieję, że ona znów się do mnie przysunie.



NATASHA

On uważa, że moje włosy pachną jak wiosenny deszcz. Naprawdę próbuję zachować stoicyzm i bezstronność. Napominam siebie, że przecież nie lubię poetyckiego języka. Nie lubię nawet ludzi, którzy lubią poezję.

Ale przecież nie jestem martwa w środku.



DANIEL

Przysuwa się do mnie, a ja od razu podrywam się do działania, bo taki właśnie jestem w obecności tej dziewczyny. Może zakochiwanie się w drugiej osobie oznacza także zakochiwanie się w samym sobie? Lubię siebie, gdy jestem z nią. Podoba mi się, że mówię to, co myślę. Że aż palę się do działania, chociaż ona stawia na mojej drodze przeszkody. W normalnych okolicznościach pewnie dałbym za wygraną, ale nie dzisiaj.

Podnoszę głos, żeby przekrzyczeć turkot pociągu.

– No dobrze. Przechodzimy do części drugiej. – Spoglądam na nią znad ekranu. – Jesteś gotowa? Podnosimy poziom intymności pytań.

Marszczy czoło, ale się zgadza. Czytam głośno pytania, a ona wybiera numer dwadzieścia cztery. „Co sądzisz o relacjach, które łączą cię z twoją matką (i ojcem)?”

– Ty pierwszy – mówi Natasha.

– No cóż, mojego tatę już poznałaś. – Nie wiem nawet, od czego zacząć. Oczywiście, że go kocham, ale przecież można kogoś kochać, a i tak nie być z tą osobą w zbyt dobrych stosunkach. Zastanawiam się, ile w naszym nie-związku jest typowego zachowania ojciec kontra nastoletni syn (najpóźniej w domu o 22.00, poważnie?), a ile wynika z kwestii kultury (Koreańczyk koreańskiego pochodzenia kontra Amerykanin koreańskiego pochodzenia). Nie wiem nawet, czy to można

rozważać w osobnych kategoriach. Czasami mam wrażenie, że stoimy obaj po dwóch stronach dźwiękoszczelnej szyby. Widzimy się, ale się nie słyszymy.

– Czyli nie za bardzo? – podpytuje Natasha.

Śmieję się, bo to takie proste i zwarte zdanie, a opisuje coś tak złożonego. Pociąg nagle hamuje i ciska nami o siedzenie tak, że łądujemy bliżej siebie. Natasha się nie odsuwa.

– A jak jest z mamą? – pyta.

– Całkiem dobrze – odpowiadam i zdaję sobie sprawę, że tak właśnie jest. – Jest chyba trochę taka jak ja. Maluje. Ma artystyczną duszę. – To dziwne, ale nigdy wcześniej tak o nas nie myślałem. – Teraz twoja kolej.

Natasha spogląda na mnie.

– Przypomnij, dlaczego się na to zgodziłam?

– Chcesz przestać? – pytam, choć wiem, że zaprzeczy. To typ człowieka, który lubi dokończyć to, co zaczął. – W takim razie ułatwię ci zadanie. Przesuń kciuk do góry albo na dół, okej?

Kiwa głową.

– Mama? – pytam.

Kciuk do góry.

– Jeszcze wyżej?

– Nie przesadzajmy. Mam siedemnaście lat, a rozmawiamy o mojej mamie.

– Tata?

Kciuk w dół.

– Jeszcze niżej?

– Bardzo bardzo bardzo nisko.



NATASHA

Trudno jest kochać kogoś, kto nie odwzajemnia tej miłości – mówię mu. Otwiera usta i zaraz je zamyka. Chce mi powiedzieć, że na pewno mój ojciec mnie kocha – wszyscy rodzice kochają swoje dzieci. To nieprawda. Nie istnieje jedna uniwersalna reguła obowiązująca wszystkich. Większość rodziców kocha swoje dzieci. Moja mama mnie kocha. A oto inna prawda: jestem tym, czego mój ojciec żałuje najbardziej w życiu.

Skąd to wiem? Sam mi powiedział.



SAMUEL KINGSLEY

Historia żalów, część druga

Samuel Kingsley był pewien, że jest mu pisana sława. Przecież Bóg nie obdarzyłby go takim talentem, gdyby nie zapewnił mu możliwości jego realizacji.

A potem pojawiła się Patricia. Przecież Bóg nie obdarowałby go piękną żoną i dziećmi, gdyby nie zamierzał zapewnić im bytu.

Samuel doskonale pamięta chwilę, w której spotkał ją po raz pierwszy. Nadal mieszkał na Jamajce, w Montego Bay. Na zewnątrz lało, trwała jedna z tych tropikalnych burz, które kończą się tak samo nagle, jak się zaczęły. Samuel schował się w sklepie z ubraniami, ponieważ wybierał się na casting i nie chciał zmoknąć.

Ona była kierowniczką sklepu. Gdy ją zobaczył po raz pierwszy, nosiła plakietkę z imieniem i wyglądała bardzo formalnie. Włosy miała krótkie, kręcone, a oczy – największe, najpiękniejsze i najbardziej nieśmiałe, jakie kiedykolwiek widział. Nigdy nie mógł oprzeć się nieśmiałej dziewczynie – ach, ta cała ostrożność i tajemniczość!

Zacytował Boba Marleya oraz Roberta Frosta. Zaśpiewał. Patricia nie miała szansy wobec siły jego uroku osobistego. Nadszedł czas castingu, a potem minął, ale Samuel się tym nie przejął. Nie miał dosyć tych oczu, które rozszerzały się tak gwałtownie przy najmniejszym nawet

flircie.

Jakiś wewnętrzny głos kazał mu się trzymać z daleka. Jakaś prorocza część jego świadomości widziała rozwidlenie dróg. Może gdyby wybrał tę drugą ścieżkę, gdyby wyszedł ze sklepu, zamiast w nim zostać, wszystko potoczyłoby się inaczej.



DANIEL

Potrawy koreańskie? Najlepsze. Zdrowe. Dobre dla nas – mówię do Natashy, naśladując moją mamę. Powtarza to za każdym razem, gdy wychodzimy coś zjeść do miasta. Charlie zwykle proponuje jakąś amerykańską knajpę, ale rodzice zabierają nas do koreańskiej, chociaż w domujemy przecież codziennie koreańskie potrawy. Ja akurat nie mam nic przeciwko temu, bo tak się składa, że zgadzam się z mamą. Potrawy koreańskie? Są najlepsze.

Nie zostało nam zbyt wiele czasu do spotkania, na które musi iść Natasha, zaczynam wątpić, czy uda mi się ją w sobie rozkochać w ciągu dwóch najbliższych godzin. Ale przynajmniej zrobię wszystko, żeby jutro też zechciała się ze mną zobaczyć.

Wchodzimy do mojego ulubionego *soon dubu*, już od progu wita nas chóralne „*Annyeonghaseyo*” ze strony personelu. Uwielbiam to miejsce, a ich owoce morza i duszone wodorosty są niemal tak samo dobre, jak te, które przyrządza moja mama. Wewnątrz nie ma żadnych luksusów, małe, drewniane stoliki na środku, otoczone ustronnymi kącikami. Nie ma jeszcze tłumów, udaje nam się zająć miejsce na uboczu.

Natasha prosi, żebym zamówił w jej imieniu.

– Zjem wszystko, co dla mnie zamówisz – stwierdza.

Naciskam palcem dzwonek przymocowany do stołu i niemal

natychmiast pojawia się kelnerka. Zamawiam dwie porcje *soon dubu*, *kalbi* oraz *pa jun*.

– Dzwonek? – dziwi się Natasha, gdy kelnerka odchodzi.

– Super, prawda? Jesteśmy praktycznym narodem – mówię i nie do końca żartuję. – Odbiera usługom gastronomicznym całą tę tajemniczą otoczkę. Kiedy przyjdzie kelner? Kiedy dostanę rachunek?

– Czy restauratorzy amerykańscy zdają sobie z tego sprawę? Trzeba ich poinformować. Dzwonki powinny być obowiązkowe.

Śmieję się i potakuję, ale wtedy ona zmienia zdanie.

– Nie, jednak nie. Wyobrażasz sobie, jak jakiś idiota opiera się na nim łokciem, tylko po to, by domagać się keczupu?

Niemal od razu na naszym stole ląduje *panchan*, bezpłatna przystawka. Przygotowuję się, by jej wyjaśnić, co je. Kiedyś znajomy znajomego zaczął żartować: „A co to jest? To mięso z psa?”. Czułem się paskudnie, ale i tak się śmiałem. To jedna z takich chwil, kiedy człowiekowi przydałaby się karta „Zrób to jeszcze raz”

Jednak Natasha nie zadaje pytań.

– Och, mogę prosić o widelec? – mówi tylko, gdy kelnerka wręcza nam pałeczki. Kobieta patrzy na nią z dezaprobatą, po czym zwraca się do mnie:

– Naucz swoją dziewczynę używać pałeczek – stwierdza i odchodzi.

Natasha patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

– Czy to oznacza, że nie dostanę widelca?

Śmieję się i kręcę głową.

– W takim razie chyba musisz mnie nauczyć tym jeść – decyduje.

– Nie przejmuj się kelnerką. Niektórzy będą wiecznie niezadowoleni, dopóki wszystko nie będzie wyglądało tak, jak oni tego chcą.

Natasha wzrusza ramionami.

– Każda kultura tak ma. Amerykanie. Francuzi. Jamajczycy. Koreańczycy. Każdy uważa, że jego sposób jest najlepszy.

– Ale my, Koreańczycy, mamy akurat rację – odpowiadam z uśmiechem.

Wraca kelnerka i stawia przed nami zupę oraz dwa surowe jajka. Na środek stołu rzuca łyżki.

– Jak to się nazywa? – pyta Natasha, gdy kelnerka nie może jej już słyszeć.

– *Soon dubu* – odpowiadam.

Przygląda się, jak wbijam jajko do zupy i wpycham je pod kostki parującego tofu, krewetek i małą, żeby się ugotowało. Naśladuje moje gesty, ale niczego nie komentuje, nie kwestionuje, nie pyta, czy danie będzie bezpieczne.

– Pyszne – mówi, upijając zawartość łyżki. Widać, że rzeczywiście jej smakuje.

– Dlaczego właściwie uważasz się za Koreańczyka? – pyta po kilku kolejnych łykach. – Nie urodziłeś się w Stanach?

– To nie ma znaczenia. Ludzie zawsze pytają, skąd jestem. Kiedyś odpowiadałem, że stąd, ale wtedy pytali: „A tak naprawdę?” Czasami odpowiadam, że z Korei Północnej, że uciekłem wraz z rodzicami z lochów pełnych piranii, gdzie Kim Dzong Un nas uwięził.

Nie uśmiecha się, jak się tego spodziewałem. Pyta, po co to robię.

– Ponieważ nie ma znaczenia, co powiem. Wystarczy jedno spojrzenie na mnie i ludzie wierzą w to, w co chcą wierzyć.

– To beznadziejne – odpowiada Natasha, nabiera *kimchi* i wkłada sobie do ust. Mógłbym przyglądać się cały dzień, jak je.

– Przyzwyczailem się. Moi rodzice uważają, że za mało we mnie Koreańczyka. Wszyscy inni sądzą, że jestem za mało amerykański.

– To rzeczywiście kompletna beznadzieja – mówi, przerzucając się na brukselkę. – Ale, moim zdaniem, nie powinieneś twierdzić, że jesteś z Korei.

– Dlaczego?

– Bo to nieprawda. Jesteś stąd.

Podoba mi się, że dla niej to takie proste. Podoba mi się, że jej rozwiązaniem wszystkich problemów jest mówienie prawdy. Zmagam się ze swoją tożsamością, a ona mi po prostu każe mówić prawdę.

– Nie możesz pomagać ludziom przyklejać ci etykiety.

– A tak właśnie postępują z tobą?

– Taaa. Tylko że w rzeczywistości ja nie jestem stąd. Przeprowadziliśmy się do Stanów, gdy miałam osiem lat. Mówiłam z akcentem, a kiedy po raz pierwszy w życiu zobaczyłam śnieg, siedziałam wtedy w świetlicy i byłam taka zauroczona, że aż wstałam z miejsca.

– O nie.

– O tak.

– A inne dzieciaki...

– Nie było to miłe. – Udaje, że się trzęsie na samo wspomnienie. – Chcesz usłyszeć coś jeszcze lepszego? Na pierwszym dyktandzie nauczycielka zaznaczyła mi błąd w słowie „favorite”, bo napisałam je z „u”

– Bo to był błąd.

– Skądże. – Grozi mi łyżką. – Prawidłowa pisownia brytyjska to „favourite” z „u”. Tak twierdzi królowa, sprawdź to sobie, amerykański chłopczyku. Byłam tak zafiksowana, że poszłam do domu, przyniosłam słownik do szkoły i zmusiłam nauczycielkę, żeby mi to zaliczyła.

– Nie zrobiłaś tego.

– Zrobiłam. – Uśmiecha się.

– Widocznie naprawdę musiało ci zależeć na tych punktach.

– Należały mi się – odpowiada i zaczyna chichotać. Nie sądziłem, że jest do tego zdolna, ale z drugiej strony znam ją zaledwie od paru godzin, więc rzecz jasna jeszcze nie wiem wszystkiego na jej temat. Bardzo lubię moment poznawania drugiego człowieka. Każda nowa

informacja, każda nieznana dotąd mina, to wszystko wydaje się takie magiczne. Nie wyobrażam sobie, żeby mogło mi się to znudzić i spowszednieć. Nie wyobrażam sobie, że mógłbym nie chcieć słuchać, co ona ma do powiedzenia.

– Przestań.

– Ale co?

– Tak się na mnie gapić.

– Okej. – Wygrzebuję moje jajko i przekonuję się, że jest ugotowane idealnie na miękko. – Zjedzmy je razem – proponuję. – Tak jest najfajniej.

Wydobywa swoje i teraz oboje siedzimy z jajkiem na łyżce, z łyżką w dłoni.

– Na trzy. Raz, dwa, trzy.

Wkładamy sobie jajka do ust. Patrę, jak otwiera szeroko oczy, wiem dokładnie, w której chwili żółtko pęka jej w buzi. Zamyka oczy, jakby to był największy przysmak na świecie. Zabroniła mi się gapić, ale i tak to robię. Podoba mi się, że ona czuje wszystko całym ciałem. Zastanawiam się, dlaczego dziewczyna tak pełna emocji tak się przed nimi broni.



KELNERKA

Historia miłości

Naucz się używać pałeczek.

Naucz tego swoją dziewczynę.

Mój syn – to samo. On się umawia z białą dziewczyną. Mój mąż? Mówi „nie”. Najpierw się z nim zgadzam. Nie rozmawiamy z synem przez rok. Myślę: nie rozmawiamy, to on się opanuje.

Nie rozmawiamy, a ja tęsknię. Tęsknię za moim synkiem, jego amerykańskimi żartami i tym, jak mnie szczypie w policzek i mówi, że jestem najśliczniejsza ze wszystkich *ommas*. On się nigdy mnie nie wstydzi, chociaż inni chłopcy są tacy amerykańscy.

Nie rozmawiamy przez rok. I nagle dzwoni, a ja sobie myślę: nareszcie. Nareszcie rozumie. Biała dziewczyna nigdy nas nie zrozumie, nie będzie Koreanką. Ale on dzwoni, by powiedzieć, że się żeni. Chce, żebyśmy przyjechali na wesele. Słyszę w jego głosie, jak bardzo ją kocha. Słyszę, że kocha ją bardziej niż mnie. Słyszę, że jeśli nie pojedę na ślub, stracę mojego jedynego syna. Jedynego syna, który mnie kocha.

Ale jego tata mówi „nie”. Syn błaga i błaga, a ja odmawiam. Aż przestaje błagać.

Żeni się. Widziałam zdjęcia na Facebooku.

Rodzi im się syn. Widziałam zdjęcia na Facebooku.

A potem drugie dziecko. Tym razem dziewczynka.

Moje wnuki, które znam tylko z komputera.

Teraz, kiedy przychodzą tu chłopcy z dziewczynami, które nie wyglądają jak ich *ommas*, robię się zła. Ten kraj chce ci wszystko odebrać. Język. Potrawy. Własne dzieci.

Nauczcie się używać pałeczek.

Ten kraj nie może mieć wszystkiego.



NATASHA

Zostały już niecałe dwie godziny do mojego spotkania, a Daniel koniecznie chce iść do *norebang* – to koreańskie słowo oznaczające karaoke. Samo „karaoke” to z kolei słowo japońskie i oznacza robienie sobie wstydu w pomieszczeniu pełnym obcych ludzi, którzy przyszli wyłącznie po to, by się z Ciebie śmiać.

– To w niczym nie przypomina wersji amerykańskiej – zapewnia mnie Daniel. – Jest o wiele bardziej cywilizowane.

Przez „cywilizowane” rozumie, że człowiek robi sobie wstyd w małym, osobnym pomieszczeniu przed swoimi przyjaciółmi. Tak się składa, że jego ulubiony *norebang* znajduje się tuż obok restauracji, w której właśnie zjedliśmy obiad. Prowadzą go ci sami ludzie, nie musimy więc nawet wychodzić na ulicę – dostajemy się tam prosto z restauracji.

Daniel wybiera najmniejsze pomieszczenie, które i tak jest całkiem duże. Widać, że ma pomieścić sześć czy osiem osób, a nie tylko dwie. W środku panuje półmrok, pod ścianami stoją miękkie sofy obite czerwoną skórą, a przed nimi duża, kwadratowa ława, na której leży mikrofon, skomplikowany pilot oraz gruba książka z napisem „menu piosenek” w trzech językach. Przy drzwiach znajduje się wielki ekran, na którym wyświetlają się teksty. Z sufitu zwisa lampa stroboskopowa.

Bev zakochałaby się w tym miejscu. Po pierwsze, ma obsesję

na punkcie lamp stroboskopowych. W jej pokoju wiszą aż cztery oraz urządzenie będące skrzyżowaniem takiej lampy i budzika. Po drugie, ma świetny głos i wykorzysta każdą okazję, żeby pośpiewać przed innymi ludźmi. Sprawdzam komórkę, ale nie przysłała mi żadnej wiadomości. Tłumaczę sobie, że jest po prostu zajęta. Na pewno o mnie jeszcze nie zapomniała, cały czas tu jestem.

Daniel zamyka drzwi.

– Nie mogę uwierzyć, że nigdy nie byłeś w *norebang* – mówi.

– Wiem, to szokujące – odpowiadam.

Przy zamkniętych drzwiach pomieszczenie wydaje się małe i kameralne. Intymne wręcz. Daniel spogląda na mnie tak, jakby pomyślał o tym samym.

– Zamówmy deser – mówi i wciska guzik na ścianie. Za chwilę pojawia się ta sama kelnerka, która obsługiwała nas w restauracji. Nawet na mnie nie patrzy. Daniel zamawia nam *patbingsoo*, jak się okazuje, to granita z owocami, niewielkimi waflami ryżowymi i słodką czerwoną fasolą.

– Smakuje ci? – pyta. Widzę, że to dla niego ważne.

Zjadam wszystko sześcioro dużymi kęsami. Co ma mi nie smakować? Jest słodkie, zimne i pyszne.

Daniel się rozpromienia, więc i ja się uśmiecham.

Bezsprzeczny fakt: lubię go uszczęśliwiać.

Bezsprzeczny fakt: nie mam pojęcia, kiedy to się stało.

Daniel zabiera książkę i zaczyna ją kartkować. Podczas gdy on zadrećza się wyborem piosenki, ja oglądam teledyski koreańskiego popu. Wszystko jest słodkie, kolorowe i wpadające w ucho.

– Po prostu coś wybierz – mówię, gdy zaczyna się trzeci teledysk.

– To *norebang* – odpowiada. – Nie można ot tak wybrać sobie piosenki. To piosenka wybiera ciebie.

– Powiedz mi, że żartujesz.

Mruga jednym okiem i poluzowuje sobie krawat.

– Owszem, żartuję, ale daj mi chwilę. Muszę znaleźć coś odpowiedniego, żeby wyrzeć na tobie odpowiednie wrażenie dzięki moim wokalnym umiejętnościom.

Rozpina guzik pod szyją, patrzę na jego ręce, gdy zdejmuje sobie krawat przez głowę. Przecież nie ściąga z siebie ubrania. Przecież nie rozbiera się na moich oczach. A jednak takie właśnie mam wrażenie. Nie widzę niczego nieprzyzwoitego, zaledwie fragment skóry pod szyją. Zdejmuje gumkę z włosów i rzuca ją na stół. Włosy ma na tyle długie, że opadają mu na twarz, z roztargnieniem chowa je za uszami. Nie mogę przestać się na niego gapić. Czuję się tak, jakbym cały dzień tylko na to czekała.

Bezsprzeczny fakt: wygląda bardzo seksownie z rozpuszczonymi włosami.

Bezsprzeczny fakt: ze związanymi też jest bardzo seksowny.

Z trudem odrywam od niego wzrok i zaczynam się wpatrywać w klimatyzator na ścianie. Zastanawiam się, czy nie obniżyć temperatury. Daniel podwija rękawy, co mnie rozśmiesza. Zachowuje się, jakbyśmy mieli się zająć jakąś poważną robotą fizyczną. Staram się nie zwracać uwagi na jego długie, gładkie ręce, ale mój wzrok cały czas wędruje w ich kierunku.

– Dobrze śpiewasz? – pytam.

Spogląda na mnie z udawaną powagą, ale błysk w oczach zdradza prawdę.

– Nie będę kłamał – mówi. – Dobrze. Jak włoski śpiewak operowy. – Podnosi pilota i wybiera upatrzoną piosenkę. – A ty?

Nie odpowiadam. Wkrótce sam się przekona. Co więcej, mój śpiew szybko wyleczy go z ewentualnego zauroczenia moją osobą.

Bezsprzeczny fakt: śpiewam po prostu fatalnie.

Daniel wstaje i wychodzi przed telewizor. Najwyraźniej potrzebuje

miejsca do śpiewu. Staje w rozkroku, opuszcza głowę tak, by włosy zasłaniały mu twarz, i trzyma mikrofon w jednej ręce – klasyczna postawa rockmana. Wybrał *Take a Chance on Me* zespołu ABBA. Rękę kładzie na sercu i nuci pierwszą zwrotkę. Piosenka – adekwatnie do tytułu – opowiada o podejmowaniu ryzyka, a konkretnie o ryzyku bycia w związku.

Przy drugiej zwrotce jest już rozgrzany i rzuca mi tandetne spojrzenia gwiazdy pop, unosząc przy tym brwi, patrząc na mnie wymownie i wydymając wargi. Jak głosi tekst piosenki, możemy zrobić tyle świetnych rzeczy, pod warunkiem że będziemy razem. Te świetne rzeczy obejmują taniec, spacer, rozmowy i słuchanie muzyki. Co dziwne, nie ma nawet wzmianki o całowaniu. Daniel demonstruje całym ciałem każdą czynność niczym szalony mim. Nie mogę opanować śmiechu.

Przy trzeciej zwrotce opada przede mną na kolana. W tekście mowa jest o samotności, którą się czuje, gdy odlecą wszystkie śliczne ptaki. Nie do końca to rozumiem. To ja mam być tym ptakiem? Czy on? Po co w ogóle ptaki?

Resztę śpiewa na stojąco, żarliwie, trzymając oburącz mikrofon. Mój histeryczny śmiech wcale go nie peszy. Nie żartował z tym śpiewem, jest świetny. Robi nawet za swój własny chórek i śpiewa raz za razem „take a chance”

Nie próbuje być seksowny, jest zabawny. Tak zabawny, że staje się seksowny. Nie sądziłam nawet, że to możliwe. Zauważam, jak koszula napręża mu się na klatce piersiowej przy tanecznych ruchach. Dostrzegam, jakie ma długie palce, gdy teatralnym gestem przeczesuje nimi włosy.

Zauważam, jakie ma jędrne pośladki w spodniach od garnituru.

Bezsprzeczny fakt: mam słabość do pośladków.

Dzień jest taki beznadziejny, że to też powinno być katastrofą. Ale zdecydowanie nie jest. Chyba chodzi o jego całkowity brak zahamowań.

Nie obchodzi go, czy się ośmiesza, zależy mu jedynie na tym, by mnie rozśmieszyć.

Piosenka jest długa, a Daniel – zgrzany i spocony. Gdy kończy, czeka pod ekranem, aż pojawi się roztańczony różowy mikrofon z tabliczką: 99 procent. Ekran wypełnia się konfetti.

– Nie mówiłeś, że to będzie oceniane – jęczę.

Uśmiecha się do mnie triumfalnie i opada na siedzenie obok mnie. Nasze ramiona muskają się wzajemnie, oddzielają się od siebie i znów dotykają. Bez sensu, że to zauważyłam, ale jednak.

Przesuwa się, chwytając za mikrofon i podaje mi go, mówiąc:

– Dajesz.



DANIEL

Żałuję, że wcześniej nie wpadłem na *norebang*. Przebywanie z nią sam na sam w pomieszczeniu z przygaszonym światłem to jak znalezienie się w niebie. Natasha przegląda książkę i mruczy, że nie potrafi śpiewać. Gapię się na nią bezceremonialnie, ponieważ jest zbyt zajęta, by mi w tym przeszkodzić.

Nie mogę się zdecydować, co w jej twarzy podoba mi się najbardziej. W tym momencie chyba usta. Przygryza właśnie dolną wargę w akcie rozpaczony związanej ze zbyt wieloma opcjami do wyboru.

Ostatecznie decyduje się na jakąś piosenkę. Zamiast zabrać pilota, pochyła się nad ławą i wpisuje kod. Sukienka jej się przesuwa w górę, a wtedy widzę jej uda. Ma na nich zmarszczki od skórzanej sofy, najchętniej objąłbym je rękoma i wygładzał kciukiem.

Odwraca się, a ja nawet nie mam jak udawać, że wcale się nie gapiłem. Zresztą nie chcę udawać. Pragnę jej i chciałbym, żeby to wiedziała. Natasha nie spuszcza ze mnie wzroku. Rozchyła wargi (to najśliczniejsze wargi na całym świecie) i dotyka językiem dolnej.

Wstanę i zacznę ją całować. Żadna siła mnie przed tym nie powstrzyma. W tej samej chwili zaczyna się jej piosenka i chwila mija, zdławiona melancholijnymi dźwiękami.

Poznaję je. To *Fell on Black Day* Soundgarden. Najpierw wokalista, Chris Cornell, oznajmia, że stało się wszystko to, czego się najbardziej

obawiał. A potem robi się jeszcze mroczniej, aż do refrenu, w którym dowiadujemy się po raz milionowy (plus minus), że ma teraz kiepskie dni. To (całkiem obiektywnie) jedna z najbardziej depresyjnych piosenek, jakie zostały kiedykolwiek napisane.

Jednak Natasha ją uwielbia. Trzyma mikrofon obiema rękami i zamyka oczy. Śpiewa żarliwie, prosto z serca, ale okropnie.

Nie potrafi śpiewać.

W ogóle.

Podaję, że nie ma nawet słuchu. Jeśli trafia w jakiś dźwięk, robi to zupełnie przypadkowo. Kołysze się na obie strony z przymkniętymi powiekami. Nie musi czytać tekstu, zna go na pamięć.

Zanim dociera do ostatniego refrenu, zdążyła już zapomnieć o mojej obecności. Jej zakłopotanie znika, nadal fałszuje, ale położyła sobie rękę na sercu i śpiewa o tym, że nie zna swojego losu, a w jej głosie pobrzmiwają prawdziwe emocje.

Ta piosenka dosłownie wysysa z człowieka szczęście, dobrze więc, że się kończy. Natasha zerka w moją stronę, nigdy wcześniej nie widziałem jej takiej zawstydzonej. Znowu przygryza dolną wargę i marszczy czoło. Jest przeurocza.

- Uwielbiam tę piosenkę – mówi.
- Trochę ponura, nie uważasz? – podpuszczam ją.
- Odrobina lęku i posępności jeszcze nikomu nie zaszkodziła.
- Jesteś najmniej lękliwą i posępną osobą, jaką znam.
- Mylisz się. Po prostu dobrze udaję.

Chyba nie chciała się do tego przyznać przede mną. Myślę, że nie lubi pokazywać swoich czułych punktów. Odwraca się i odkłada mikrofon na stolik.

Nie pozwolę uciec tej chwili. Chwytam ją za rękę i przyciągam do siebie. Nie opiera się, a ja przyciągam ją jeszcze bliżej, aż nasze ciała stykają się od stóp aż po czubek głowy, nie przestaję, dopóki nie

będziemy oddychać tym samym powietrzem.

– To był najgorszy śpiew na świecie – mówię.

Oczy jej błyszczą.

– Mówiłam ci, że nie umiem śpiewać.

– Nie mówiłaś.

– W myślach.

– Jestem obecny w twoich myślach?

Stoi tak blisko, że aż czuję falę ciepła bijącego od jej rumieńca.

Kładę jej rękę w talii, palce drugiej zanurzam w jej włosach. Wszystko się teraz może wydarzyć. Czekam na nią, czekam, aż jej wzrok powie „tak”, a wtedy ją całuję. Usta ma niczym miękkie poduszki. Początkowo całujemy się niewinnie, nasze wargi się stykają, smakują siebie nawzajem, ale wkrótce to dla nas za mało. Rozchyła usta, nasze języki splatają się, rozplatają, znów splatają. Mam wzwód, ale to wszystko jest zbyt piękne, zbyt właściwe, żebym czuł zakłopotanie. Natasha wydaje z siebie ciche jęki, a wtedy chcę całować ją jeszcze dłużej i jeszcze mocniej.

Nieważne, co ona twierdzi o miłości i chemii. To, co nas łączy, nie zniknie. To coś więcej niż chemia. Natasha się odsuwa, jej oczy to błyszczące czarne gwiazdy zagładające mi w duszę.

– Wracaj – mówię i całuję ją tak, jakby jutro miał nastąpić koniec świata.



NATASHA

Nie mogę przestać. Nie chcę przestawać. Moje ciało ma w nosie, co sądzi o tym mój umysł. Jego pocałunki czuję dosłownie wszędzie: w końcówkach włosów, na środku brzucha, pod kolanami. Chcę wciągnąć go do siebie, chcę się z nim stopić.

Przesuwamy się do tyłu, uderzam nogami o sofę. Daniel podtrzymuje mnie i kładzie, a potem pochyla się nade mną, jedną nogę cały czas opiera o podłogę.

Muszę go dalej całować. Moje ciało oszalało. Ciągłe mi go mało. Ciągłe jest za daleko. Wzbiera we mnie coś chaotycznego, natarczywego. Wyginam się w pałąk, by zbliżyć się do niego jeszcze bardziej. Zaciska rękę na mojej talii, przesuwając dłoń wyżej. Muska mi pierś. Obejmuję jego szyję i wplątam palce we włosy. Wreszcie. Przez cały dzień miałam na to ochotę.

Bezsprzeczny fakt: nie wierzę w magię.

Bezsprzeczny fakt: to my jesteśmy magią.



DANIEL

CHOLERA...



NATASHA

...JASNA!



DANIEL

Nie możemy uprawiać seksu w *norebang*.

Nie.

Możemy.

A jednak przyznaję przed samym sobą, że tego właśnie pragnę. Jeśli nie przestanę zaraz jej całować, poproszę ją o to, a nie chcę, żeby myślała o mnie jako o faciecie, który prosi ledwo poznaną dziewczynę o seks w *norebang* po pierwszej (pseudo) randce, chociaż takim właśnie jestem facetem, bo – matko święta – w tej chwili naprawdę pragnę uprawiać z nią seks w *norebang*.



NATASHA

Moje ręce nie mogą się powstrzymać i ciągle go dotykają. Zsuwają się z włosów po poruszających się, twardych mięśniach pleców. Z własnej woli przemieszczają się na jego pośladki.

Tak jak się spodziewałam, są cudowne. Jędrne, okrągłe, idealne. Te pośladki aż się proszą o dotyk. Nie powinien w ogóle nosić spodni.

Obejmuję je dłońmi i ściskam. To jeszcze lepsze wrażenie, niż sądziłam.

Daniel opiera się na rękach, które trzyma po obu stronach mojej głowy i patrzy na mnie z uśmiechem.

- To nie melony, wiesz?
- Podobają mi się – odpowiadam i znów je ściskam.
- Są twoje – mówi.
- Rozważałeś kiedykolwiek noszenie spodni z odkrytymi pośladkami?
- pytam.
- Nigdy w życiu – śmieje się i rumieni.

Uwielbiam, kiedy się rumieni dzięki mnie.

Przybliża się do mnie i znów całuje. Każdą komórką mojego ciała czuję jego pocałunki. Z trudem zabieram ręce z jego pośladków i przesuwam na ramiona, żeby trochę nas powstrzymać. Jeśli dalej tak będę go całować, później będzie mi trudniej.

Więc.

Koniec całowania.



DANIEL

Wyczuwam wahanie w jej wargach i szczerze mówiąc, sam też jestem odrobinę przerażony intensywnością sytuacji. Podnoszę się i pomagam jej usiąść. Obejmuję ją za szyję i opieram czoło o jej głowę. Nasz oddech jest przyspieszony, poszarpany. Wiedziałem, że jest między nami chemia, ale nie spodziewałem się czegoś takiego.

Płonimy pośród błyskawic. Zapalona zapałka i suche drewno. Znaki „uwaga, pożar” i las czekający na pożogę.

Dzisiejszy dzień mógł rozwinąć się na tyle różnych sposobów, ale tego nigdy bym nie przewidział. Teraz jednak jestem pewien, że wszystko, co się wydarzyło, wiodło mnie do niej, do tego momentu i do reszty naszego życia.

Mam wrażenie, że nawet zawieszenie Charliego w prawach studenta było częścią planu zmierzającego do tego, bym spotkał Natashę. Gdyby Charlie nie spieprzył sprawy, mama nie powiedziała by tego, co dzisiaj rano powiedziała.

A gdyby te słowa nie padły, nie wyszedłbym tak wcześnie do fryzjera, do którego nadal nie dotarłem.

Nie wsiadłbym do pociągu linii numer 7 z nawiedzonym maszynistą szukającym Boga.

A gdyby nie on, nie wyszedłbym z metra, nie ruszyłbym pieszo i nie zobaczyłbym, jak Natasha doznaje muzycznego objawienia. Gdyby nie

teksty maszynisty, nie zwróciłbym uwagi na napis na jej kurtce: DEUS EX MACHINA.

Gdyby nie ta kurtka, to nie wszedłbym za nią do sklepu z płytami.

Gdyby nie jej złodziejski ekschłopak, wcale bym do niej nie zagadał.

Nawet ten kierowca-idiota miał w tym swój udział. Gdyby nie przejechał na czerwonym, nie miałbym drugiej szansy na rozmowę z Natashą.

Wszystko, absolutnie wszystko prowadziło do tej chwili.

Kiedy znowu możemy normalnie oddychać, całuję ją w czubek nosa.

– Mówiłem ci – stwierdzam i ponownie całuję ją w nos.

– Ty fetyszysto nosowy – odpowiada. – Co mi mówiłeś?

Każde słowo odpowiedzi podkreślam pocałunkiem w czubek jej nosa.

– Że.

Pocałunek.

– Jesteśmy.

Pocałunek.

– Sobie.

Pocałunek.

– Pisani.

Pocałunek.

Odsuwa się ode mnie. W jej oczach widzę chmury burzowe. Wyplątuje swoje kończyny z moich. Nie chcę jej wypuszczać z objęć, to jak rozdzielanie magnesów. Czy przestraszyłem ją moim tekstem o przeznaczeniu? Natasha przesuwą się na skraj sofy, daleko ode mnie. Nie chcę, żeby ta chwila mijała. Jeszcze kilka sekund temu miałem wrażenie, że będzie trwała wieki.

– Chcesz coś jeszcze zaśpiewać? – pytam. Głos mi się łamie, więc odchrząkuję. Zerkam na telewizor. Wcześniej nie mieliśmy okazji przyrzeć się jej wynikowi. Dostała 89 procent, to okropnie mało. W *norebang* prawie nikt nie otrzymuje mniej niż 90 procent.

Spogląda na ekran, ale się nie odzywa. Nie mam pojęcia, co dzieje się w jej głowie. Dlaczego opiera się temu, co jest między nami? Dotyka swoich włosów, ciągnie za kosmyk, puszcza go, chwytą następny, robi to samo.

– Przepraszam – mówi.

Przysuwam się do niej. Ręce ma złożone na kolanach.

– Za co? – pytam.

– Za to, że popadam z jednej skrajności w drugą.

– Podobała mi się skrajność, w którą przed chwilą popadłaś – mówię. To chyba najgorszy żart (nie licząc gier słów, aluzje erotyczne stanowią najgorszą formę humoru), jaki mogłem powiedzieć w tym momencie. Nawet poruszam brwiami, a potem czekam na jej reakcję. Zdaję sobie sprawę, że może zareagować różnie.

Na jej twarzy zakwita jednak uśmiech. Chmury burzowe nie mają żadnej szansy.

– Nieźle – mówi. Jej głos brzmi ciepło. – Rzeczywiście masz smykałkę do słów.

– Oraz do kobiet – stwierdzam, już zupełnie się pograżając. Ale jestem w stanie zrobić z siebie kompletnego głupca, byle ją rozśmieszyć.

Natasha wybucha śmiechem, a potem opiera się o sofę.

– Jesteś pewien, że masz odpowiednie kwalifikacje, by zostać poetą? To był tragiczny komentarz.

– Spodziewałaś się czegoś...

– Bardziej poetyckiego.

– Chyba sobie żartujesz! Większość wierszy dotyczy seksu.

Natasha patrzy na mnie sceptycznie.

– Masz na to dowody? Chcę zobaczyć liczby.

– Ty naukowcu! – oskarżam ją.

– Ty poeto! – odpiera mój atak.

Uśmiechamy się oboje, rozradowani, nie próbujemy nawet kryć

naszej radości.

– Większość wierszy, jakie czytałem, dotyczy miłości, seksu albo gwiazd.

– Wy, poeci, macie obsesję na punkcie gwiazd. Mrugających, spadających, gasnących.

– Gwiazdy są ważne – odpowiadam ze śmiechem.

– Nie wątpię, ale powinno być więcej wierszy o słońcu. Słońce też jest gwiazdą, a do tego dla nas najistotniejszą. Powinno zasługiwać na jakieś wiersze.

– Nie ma sprawy. Od tej pory będę pisał wiersze wyłącznie o słońcu – deklaruję.

– To dobrze.

– Ale tak na poważnie, uważam, że większość wierszy dotyczy jednak seksu. Robert Herrick napisał wiersz o dziewicach *Do panien, aby czasu próżno nie trwoniły*^[6].

Natasha podkurcza nogi i siada w pozycji lotosu na sofie, po czym zaczyna zwijać się ze śmiechu.

– Nie wierzę!

– Poważnie. W zasadzie to kazał dziewczom jak najszybciej stracić dziewictwo, na wypadek, gdyby czekała je rychła śmierć. Broń Boże, żeby umrzeć dziewicą.

Uśmiech gaśnie jej na twarzy.

– Może chciał powiedzieć tylko, żebyśmy żyli chwilą. Jakby dzisiaj miał być ostatni dzień naszego życia.

Znów poważnieje i smutnieje, a ja nie wiem dlaczego. Opiera się o sofę i patrzy do góry, na lampę stroboskopową.

– Opowiedz mi o swoim tacie – mówię.

– Nie chcę o nim rozmawiać.

– Wiem, ale i tak mi powiedz. Dlaczego twierdzisz, że on cię nie kocha?

Spogląda teraz na mnie.

– Jesteś uparty – mówi i znów opiera głowę o skórzane obicie.

– Wytrwały.

– Nie wiem, jak to opisać. Mój ojciec składa się głównie z żalu. Zupełnie jakby popełnił ogromny błąd w przeszłości, poszedł niewłaściwą drogą i zamiast wylądować tam, gdzie miał wylądować, skończył w życiu ze mną, moją mamą i bratem.

Głos jej drży, gdy to mówi, ale nie płacze. Chwytam ją za rękę i oboje przyglądamy się temu, co na ekranie. Jej roztańczony wynik został zastąpiony niemą reklamą kasyn w Atlantic City.

– Moja mama maluje obrazy – mówię. – Naprawdę niesamowite.

Cały czas widzę przed oczami jej łzy, kiedy tata wręczył jej prezent. Powiedziała wtedy: „*Yeobo*, nie musiałeś”. Na co on odparł: „To coś tylko dla ciebie. Kiedyś ciągle malowałaś”

Zaskoczyło mnie to. Sądziłem, że dobrze znam moją mamę – oboje rodziców – a to była tajemnica, o której nie miałem pojęcia. Zapytałem, dlaczego przestała malować, a ona machnęła ręką, jakby odpychała od siebie te wszystkie lata.

– Stara historia – odparła.

Całuję Nataszę w rękę i wyznaję:

– Czasami myślę, że może popełniła błąd, gdy zdecydowała się nas urodzić.

– Ona też tak uważa?

– Nie wiem. Gdybym miał zgadywać, powiedziałbym, że jest zadowolona z tego, jak jej się życie ułożyło.

– To dobrze – mówi Natasha. – Wyobrażasz sobie, że przez całe życie masz przekonanie, że popełniłeś błąd?

Aż drży, gdy to mówi. Podnoszę jej dłoń do ust i całuję. Zaczyna oddychać szybciej.

Przysuwam ją do siebie, by się z nią całować, ale mnie powstrzymuje.

– Powiedz mi, dlaczego chcesz zostać poetą.

Odchylam się do tyłu i gładzę ją kciukiem po kostkach.

– Nie wiem. To znaczy, nie wiem nawet, czy tak ma wyglądać moje życie. Nie mam pojęcia, skąd miałbym to wiedzieć. Wiem jedynie, że lubię to robić. Czuję potrzebę zapisywania myśli, a kiedy to robię, wychodzą mi wiersze. Wtedy czuję się najlepiej, nie licząc...

Milknę, nie chcę jej znów przestraszyć.

Unosi głowę znad sofy.

– Nie licząc czego? – Oczy jej błyszczą, chce znać odpowiedź.

– Nie licząc ciebie. Przy tobie też czuję się dobrze.

Zabiera rękę, już myślę, że znów się w sobie zamknie, ale nie. Pochyla się i mnie całuje.



NATASHA

Całuję go, żeby przestał gadać. Jeśli nadal będzie mówił, pokocham go, a wcale tego nie chcę. Naprawdę nie chcę. To nie moja bajka. Całowanie to także sposób rozmowy, tyle że bez słów.



DANIEL

Któregoś dnia napiszę odę do całowania. Zatytułuję ją *Oda do pocałunku*.

To będzie niesamowity wiersz.



NATASHA

Zapewne nadal byśmy się całowali, gdyby nie wróciła ta zrzędliva kelnerka, by zapytać, czy chcemy coś jeszcze do jedzenia. Nie chcemy, zresztą i tak czas już iść. Planuję jeszcze zabrać Daniela do Muzeum Historii Naturalnej, mojego ulubionego miejsca w Nowym Jorku. Mówię mu to i wychodzę na zewnątrz.

Po panującym w *norebang* półmroku słońce wydaje się zbyt jaskrawe. Nie tylko słońce, wszystko jest nagle jedną wielką przesadą. Miasto sprawia wrażenie zbyt głośnego i zbyt zatłoczonego.

Przez chwilę jestem zdezorientowana widokiem sklepików, stojących jeden na drugim, opatrzonych koreańskimi napisami, aż w końcu przypominam sobie, że przecież znajdujemy się w dzielnicy koreańskiej, która powinna przypominać Seul. Ciekawe, czy faktycznie go przypomina. Mrużę oczy i zastanawiam się, czy nie wrócić do *norebang*. Nie jestem jeszcze gotowa na hałaśliwą, ruchliwą nowojorską rzeczywistość.

Ta myśl przywraca mi rozsądek. Rzeczywistość. To właśnie jest rzeczywistość, zapach gumy i spalin, dźwięki rozlicznych samochodów jadących nie wiadomo dokąd, wyczuwalny w powietrzu ozon. Tak właśnie wygląda rzeczywistość. W *norebang* mogliśmy udawać, ale tutaj już nie. To jedna z rzeczy, które najbardziej lubię w Nowym Jorku: miasto nie pozwala ci okłamywać samej siebie.

Odwracamy się ku sobie w tym samym momencie. Trzymamy się za ręce, ale nawet i to wydaje mi się teraz sztuczne, udawane. Zabieram dłoń, żeby poprawić plecak. Daniel czeka, aż podam mu ją z powrotem, jednak chyba nie jestem na to gotowa.



DANIEL

Miejscowy chłopak, który nie chce odpuścić

Siedzimy obok siebie w pociągu i chociaż trzęsący się wagon przysuwa nas ciągle do siebie, wyczuwam, że ona się ode mnie oddala. Miejsca naprzeciwko są puste; obserwujemy siebie nawzajem w oknie. Gdy ona odwraca wzrok, od razu na nią patrzę. Gdy ja przestaję się jej przyglądać, ona patrzy na mnie. Plecak położyła sobie na kolanach i tuli go do siebie, jakby miał w każdej chwili poderwać się i uciec.

Mógłbym chwycić ją za rękę, wymusić na niej, jednak wolę, żeby tym razem ona to zrobiła. Chciałbym, by na głos przyznała, że coś między nami zaistniało. Nie odpuszczę. Chcę usłyszeć te słowa. Jesteśmy sobie przeznaczeni. Coś. Cokolwiek. Potrzebuję tego. Potrzebuję wiedzieć, że nie jestem w tym sam.

Powinienem odpuścić.

Odpuszczę.

– Czego właściwie się boisz? – pytam, nie odpuszczając.



NATASHA

Nie cierpię udawania, a jednak to właśnie robię. Udaję.

– Nie wiem, o czym mówisz – zwracam się do jego odbicia w oknie pociągu.



DANIEL

Prawie uwierzyłem, że ona nie wie, o czym mówię. Nasz wzrok spotyka się w szybie, jakby to było jedyne miejsce, w którym możemy na siebie patrzeć.

– Jesteśmy sobie pisani – naciskam. Wychodzi niezbyt dobrze – despotycznie, krytycznie i błagalnie, wszystko jednocześnie. – Wiem, że ty też tak czujesz.

Milczy, podnosi się z miejsca i staje przy drzwiach. Gdyby wściekłość była namacalna, przypominałaby buchające z niej fale gorąca.

Z jednej strony chciałbym iść i ją przeprosić. Z drugiej, chciałbym zapytać, na czym polega jej problem. Jednak siedzę przyklejony do swojego miejsca jeszcze przez dwie kolejne stacje, aż wreszcie dojeżdżamy z piskiem hamulców do dworca przy ulicy Osiemdziesiątej Pierwszej.

Otwierają się drzwi, Natasha przeciska się przez tłum i wbiega po schodach. Gdy docieramy na górę, schodzi na bok i obraca się na pięcie, by stanąć twarzą w twarz ze mną.

– Nie będziesz mi mówił, co mam czuć – krzyczy szeptem. Chce coś jeszcze dodać, ale ostatecznie postanawia ugryźć się w język. Odchodzi.

Jest sfrustrowana, ale ja także. Doganiam ją.

– Na czym polega twój problem? – pytam, wyrzucając ręce w górę. Poważnie.

Wcale nie mam ochoty się z nią kłócić. Central Park znajduje się po drugiej stronie ulicy. Drzewa wyglądają tak bujnie i pięknie w jesiennych barwach. Mam ochotę spacerować z nią po alejkach i pisać wiersze w moim notatniku. Chciałbym, żeby ona się z tego śmiała. Pragnąłbym, żeby wyjaśniła mi, jak i dlaczego liście zmieniają kolor. Jestem pewien, że potrafiłaby wytłumaczyć to naukowo.

Natasha zakłada plecak na oba ramiona i krzyżuje ręce na piersi.

– Nie istnieje nic takiego jak „sobie pisani” – mówi.

Nie chcę wdawać się w dysputy filozoficzne, więc jej przytakuję.

– Okej – mówię – ale gdyby jednak...

Nie pozwala mi dokończyć.

– Nie. Koniec. Po prostu nie istnieje. A nawet gdyby istniało, i tak nie jesteśmy.

– Jak możesz tak mówić? – Wiem, że jestem nierozsądny, nielogiczny i jeszcze mnóstwo innych „nie” – To nie jest coś, o co powinniśmy się spierać.

Nie można przekonać drugiego człowieka, żeby cię kochał.

Delikatny wiaterek porusza liśćmi. Zrobiło się chłodniej niż wcześniej.

– Ponieważ to prawda. Nie jesteśmy sobie przeznaczeni, Daniel. Jestem nielegalną imigrantką, dzisiaj zostanę deportowana. To mój ostatni dzień w Ameryce. Jutro już mnie tu nie będzie.

Być może istnieje jakaś alternatywna interpretacja jej słów. Mój umysł wybiera najważniejsze z nich i przedstawia ich kolejność, szukając innego znaczenia. Próbuję nawet ułożyć szybko wiersz, jednak słowa nie chcą ze mną współpracować. Po prostu wiszą w powietrzu, zbyt ciężkie, by je ruszyć.

Nielegalna. Ostatni. W Ameryce.

Nie będzie.



NATASHA

W normalnych okolicznościach coś takiego – kłótnia w miejscu publicznym – wprawiłaby mnie w zakłopotanie, ale teraz nawet nie zauważam ludzi, tylko Daniela. Jeśli mam być ze sobą szczerą, tak jest od rana.

Daniel opiera czoło na dłoniach, włosy tworzą zasłonę wokół jego twarzy. Nie wiem, co powinnam teraz powiedzieć czy zrobić. Chciałabym cofnąć moje słowa. Chciałabym dalej udawać. To moja wina. Powinnam była powiedzieć mu od razu, ale nie sądziłam, że sprawy zajdą tak daleko. Nie sądziłam, że aż tyle poczuję.



DANIEL

Ze względu na ciebie przełożyłem moje spotkanie. – Mój głos jest tak cichy, że nawet nie wiem, dla kogo przeznaczone są te słowa.

Oczy Natashy robią się wielkie jak spodki. Próbuje powiedzieć trzy różne rzeczy na raz, w końcu decyduje się na jedną:

– Chwila, a więc to moja wina?

Rzeczywiście ją o coś oskarżam, chociaż nie jestem pewien o co. Kurier na rowerze wjeżdża na chodnik tuż obok nas. Ktoś na niego krzyczy, że powinien jechać po ulicy. Ja też mam ochotę na niego nawrzeszczyć: „A przepisy, durniu?!”

– Mogłaś mnie ostrzec – mówię. – Mogłaś mi powiedzieć, że wyjeżdżasz.

– Ostrzegałam ciebie – mówi, przyjmując obronny ton.

– Niewystarczająco. Nie powiedziałaś, że za niecałe dwadzieścia cztery godziny będziesz mieszkała w innym kraju.

– Nie sądziłam, że my...

Nie pozwalałam jej dokończyć.

– Kiedy się spotkaliśmy, dobrze wiedziałaś, co się święci.

– Wtedy to nie była twoja sprawa.

– A teraz już jest? – Chociaż sytuacja jest beznadziejna, świadomość, że być może teraz to moja sprawa, daje mi jednak odrobinę nadziei.

– Próbowалаm cię ostrzec – powtarza.

– Niewystarczająco. Powiem ci, jak to należy zrobić. Trzeba otworzyć usta i powiedzieć prawdę. A nie sprzedawać mi gówno o niewierzeniu w miłość i poezję. „Daniel, wyjeżdżam” – tak się mówi. „Nie zakochuj się we mnie” – mówi się.

– Powiedziałam to wszystko. – Nie krzyczy, ale cicha też nie jest.

Bardzo modna kilkulatka w dwurzędowym płaszczyku patrzy na nas szeroko otwartymi oczami i ciągnie swojego tatę za rękę. Stado turystów (wyposażonych w przewodniki) przygląda się nam, jakbyśmy byli wystawą.

Ściszam głos.

– Tak. Ale nie mówiłaś poważnie.

– Czyja to wina?

Nie mam nic do powiedzenia, więc tylko się w siebie wpatrujemy.

– To niemożliwe, że naprawdę się we mnie zakochujesz – mówi, teraz ciszej.

Znów nie mam nic do powiedzenia. Nawet ja sam jestem zdumiony tym, co do niej czuję. Zakochiwanie się to proces, nad którym nie ma się żadnej kontroli.

Próbuję rozluźnić nieco napiętą atmosferę.

– A niby dlaczego nie? – pytam.

Natasha zaciska palce na paskach plecaka.

– Ponieważ to idiotyzm. Prosiłam, żebyś...

Mam już tego dosyć. Cały dzień chodzę z sercem na wierzchu, jest już całe poobijane i posiniaczone.

– Świetnie. Po prostu świetnie. Nic nie czujesz? Czyżbym wcześniej całował się sam ze sobą?

– Uważasz, że kilka pocałunków to wiążąca obietnica?

– Uważam, że w przypadku tych pocałunków tak właśnie było.

Zamyka oczy. A kiedy je znów otwiera, chyba dostrzegam w nich litość.

– Daniel...

Przerywam jej. Nie chcę litości.

– Nie. Nie chcę w ogóle tego słyszeć. Rozumiem. Nie podzielasz moich uczuć. Wyjeżdżasz. Baw się dobrze, miłego życia.

Udaje mi się zrobić dwa kroki, kiedy ona się odzywa.

– Jesteś dokładnie taki sam jak mój ojciec.

– Nawet nie znam twojego ojca – odpowiadam i wkładam marynarkę. Nie wiedzieć czemu, wydaje mi się ciasnawa. Natasha krzyżuje ręce na piersi.

– Nieważne. Jesteś taki jak on. Tak samo egoistyczny.

– To nieprawda. – Teraz to ja się bronię.

– Prawda. Uważasz, że cały świat kręci się wokół ciebie. Twoich uczuć. Marzeń.

Wyrzucam ręce do góry.

– Nie ma nic złego w byciu marzycielem. Może i mam głupie marzenia, ale przynajmniej je mam.

– I to ma być zaleta? Wy, marzyciele, sądźcie, że wszechświat istnieje tylko dla was i waszych pasji.

– Lepiej tak, niż nie mieć żadnych.

Natasha mruży oczy, gotowa do dyskusji.

– Doprawdy? Dlaczego?

Nie wierzę, że muszę to wyjaśniać.

– Ponieważ po to istniejemy.

– Nie. – Kręci głową. – Istniejemy, żeby ewoluować i przeżyć jako gatunek. Nic więcej.

Wiedziałem, że zaprzęgnie do tego naukę. Ale chyba w to nie wierzy?

– Wcale w to nie wierzysz – mówię.

– Nie znasz mnie na tyle, by to wiedzieć – odpowiada. – A poza tym marzenia to luksus, na który nie każdy może sobie pozwolić.

– Ale samą siebie znasz. Boisz się, że staniesz się taka jak twój ojciec.

Nie chcesz dokonać niewłaściwego wyboru, dlatego nie wybierasz niczego. – Zdaję sobie sprawę, że mógłbym to lepiej ująć, jednak nie jestem w tej chwili w najlepszej formie.

– Ja już wiem, kim chcę być.

Nie mogę się powstrzymać.

– *Data scientist* czy coś w tym stylu? To nawet nie jest pasja, tylko stanowisko. Marzenia jeszcze nikogo nie zabiły.

– Nieprawda. Jak możesz być tak naiwny?

– Wolę być naiwny niż taki jak ty. Dostrzegasz tylko to, co masz pod nosem.

– To lepsze niż zauważanie tego, co nie istnieje.

Widzę, że osiągnęliśmy impas.

Słońce chowa się za chmurą, zrywa się chłodny wiatr znad Central Parku. Przez chwilę tylko się w siebie wpatrujemy. W cieniu Natasha wygląda jakoś inaczej. Ja pewnie też. Uważa mnie za naiwniaka. Co gorsza, sądzi, że jestem śmieszny.

Może nawet lepiej, że to się tak skończy. Lepszy jest tragiczny i nagły koniec niż długi, niepotrzebnie przeciągany, kiedy zdajemy sobie sprawę, że zbyt różni i że miłość nie wystarczy, by nas ze sobą związać.

Wszystkie te rzeczy przechodzą mi przez myśl, ale w żadną z nich nie wierzę.

Wiatr się wzmacnia i burzy jej włosy. Teraz wyobrażam je sobie z różowymi końcówkami. Chciałbym je zobaczyć w takiej wersji.



NATASHA

Powinieneś iść – mówię mu.

– A więc to tak?

Cieszę się, że zachowuje się jak kretyn. To mi ułatwia sprawę.

– Czy ty chociaż przez chwilę pomyślałeś o mnie? „Jestem ciekaw, jak Natasha się czuje. W jaki sposób została nielegalną imigrantką? Czy ma ochotę przeprowadzić się do kraju, którego w ogóle nie zna? Czy jest po prostu zrozpaczona tym, co się dzieje w jej życiu?”

Widzę poczucie winy malujące się na jego twarzy. Robi krok w moją stronę, ale się cofam.

Zatrzymuje się.

– Po prostu czekasz, aż ktoś cię uratuje. Nie chcesz być lekarzem? To nie bądź.

– To nie takie proste – mówi cicho.

Patrzę na niego przez zmrużone oczy.

– Zacytuję twoje własne słowa sprzed pięciu minut. Powiem ci, jak to należy zrobić. Trzeba otworzyć usta i powiedzieć prawdę. „Mamo, tato. Nie chcę być lekarzem” – tak się mówi. „Chcę zostać poetą, ponieważ jestem kretynem i uważam, że to dobre rozwiązanie” – mówi się.

– Dobrze wiesz, że to nie jest takie proste – powtarza, jeszcze ciszej niż poprzednio.

Zaciskam palce na paskach plecaka. Czas iść. Tylko odsuwamy to,

co nieuchronne.

– Wiesz, czego nienawidzę? – pytam. – Naprawdę nienawidzę poezji.

– Tak, wiem.

– Przymknij się. Nienawidzę poezji, ale kiedyś czytałam wiersz niejakiej Warsan Shire. O tym, że żadna istota ludzka nie będzie dla ciebie domem. Szkoda, że nikt ci o tym nie powiedział.

Spodziewam się, że zaprzeczy, nawet chcę, by to zrobił, on jednak milczy.

– Twój brat miał rację. To nie ma przyszłości. Zresztą, Daniel, ty mnie wcale nie kochasz. Po prostu szukasz kogoś, kto cię uratuje. Musisz uratować sam siebie.



DANIEL

Miejscowy nastolatek jest przekonany, że jego życie to jedno wielkie gówno

Tak bardzo bym chciał, żeby ona miała rację. Tak bardzo chciałbym się w niej nie zakochiwać.

Patrzę, jak odchodzi, nie zatrzymuję jej ani za nią nie idę. Okazałem się kompletnym kretynem. Zachowywałem się jak jakiś niedorobiony poecina z bożej łaski. Tak to właśnie teraz wygląda. Całe to bzdurne gadanie o „przeznaczeniu” i „bratnich duszach”

Natasha ma rację. Życie to tylko ciąg idiotycznych decyzji lub ich braku oraz przypadków i zbiegów okoliczności, którym przypisujemy niepotrzebne znaczenie. W stołówce szkolnej zabrakło twojego ulubionego ciasta? Na pewno dlatego, ponieważ Wszechświat próbuje utrzymać za ciebie twoją dietę.

Dzięki, Wszechświecie!

Spóźniłeś się na pociąg? Może miał eksplodować w tunelu albo wśród pasażerów miał się znaleźć pacjent zero zarażony jakąś straszliwą ptasią grypą (kaczą, gęsią albo pterodaktylową), chwała Bogu, że nie wsiadłeś.

Dzięki, Wszechświecie!

A jednak nikt nie zada sobie trudu, żeby wysłuchać zrzędzeń losu. W stołówce zapomnieli, że mają na zapleczu jeszcze jedno opakowanie

ciasta, a zresztą koleżanka się z tobą podzieliła. Wkurzasz się, czekając na kolejny pociąg, ale na szczęście przyjeżdża. Nikt nie umarł w tamtym, który ci uciekł. Ba, nikt nawet nie kichnął.

Wmawiamy sobie, że wszystko ma swoją przyczynę, ale tak naprawdę karmimy się bajkami. Sami wymyślamy powody, które nic nie znaczą.



LOS

Historia

Los stanowił od zawsze królestwo bogów, chociaż nawet oni byli mu podlegli.

W mitologii greckiej trzy siostry losu przędły przeznaczenie każdego człowieka w ciągu trzech dni od jego narodzin. Wyobraźcie sobie noworodka leżącego w kołysce. Jest ciemno, ciepło i przyjemnie, coś między drugą a czwartą nad ranem, podczas jednej z tych godzin, które należą wyłącznie do nowo narodzonych oraz umierających.

Właśnie staje przy tobie pierwsza siostra – Kloto. To panna, młoda i gładka. W ręku trzyma wrzeciono, przędzie na nim nić życia twojego dziecka.

Obok niej pojawia się Lachesis, starsza, poważniejsza z sióstr. W dłoni dzierży miarę, by odmierzyć linię życia. To w jej rękach znajduje się długość życia twojego dziecka.

No i wreszcie mamy Atropos – starą, wiedźmowatą prządkę z okropnymi nożycami, którymi przetnie nić życia twojego dziecka. Ona określa czas i sposób śmierci.

Wyobraź sobie, jaki wspaniały, a zarazem straszny widok prezentują sobie trzy siostry pochylone nad kołyską, decydujące o przyszłości noworodka.

Dzisiaj mało kto o nich pamięta, a jednak nadal wierzymy w Los. Dlaczego? Czy tragedia staje się łatwiejsza do zniesienia, jeśli sądzimy, że nie mogliśmy w żaden sposób na nią wpłynąć ani jej zapobiec? Że tak po prostu musiało być?

Wszystko ma swoją przyczynę, mawia mama Natashy. W rzeczywistości chce powiedzieć, że Los ma jakiś Cel, i chociaż my nie mamy o nim pojęcia, świadomość, że istnieje wielki Plan, przynosi nam otuchę.

Natasha jest inna. Wierzy w determinizm – w ciąg przyczyn i skutków. Jedna rzecz prowadzi do następnej, a ta do jeszcze następnej. Twoje decyzje i działania kształtują los. Pod tym względem Natasha jest podobna do ojca Daniela.

Z kolei Daniel żyje w nieokreślonej przestrzeni pomiędzy. Być może wcale nie było mu dzisiaj pisane spotkanie Natashy. Być może to jednak był zupełny przypadek.

Ale.

Kiedy już się spotkali, cała reszta, miłość między nimi, to rzecz nieuchronna.



NATASHA

Nie pozwolę, by to, co wydarzyło się między mną a Danielem, powstrzymało mnie przed wizytą w muzeum. To jedno z moich ulubionych miejsc w Nowym Jorku. Budynki nie są tu tak wysokie jak w centrum, miło jest widzieć połączenie czystego nieba.

Dziesięć minut później znajduję się w moim ulubionym dziale muzeum – Hali Meteorytów. Większość zwiedzających przechodzi tędy szybkim krokiem, by obejrzeć wystawione w sąsiednim pomieszczeniu klejnoty, błyszczące kamienie szlachetne i półszlachetne. Ja jednak wolę tę salę. Jej półmrok, chłód i spokój. Podoba mi się, że tak mało tu osób.

Wszędzie stoją smukłe gabloty kryjące podświetlone fragmenty meteorów. Gabloty mają swoje nazwy: Klejnoty z kosmosu, Budulec planet, Początki Układu Słonecznego.

Podchodzę do mojego ulubionego meteorytu – to Ahnighito, fragment większego meteoru z Cape New York. Trzydzieści cztery tony żelaza, największy okaz, żadne inne muzeum nie może się poszczycić potężniejszym. Zbliżam się do podestu, na którym jest wystawiony, i przesuwam palce po zimnej powierzchni, naznaczonej śladami tysięcy uderzeń. Zamykam oczy, wsuwam opuszki w otwory. Aż trudno uwierzyć, że taki kawał żelaza pochodzi z kosmosu. Jeszcze trudniej – że zawiera w sobie początki Układu Słonecznego. To pomieszczenie to mój kościół, a ten podest jest dla mnie jak ambona. Dotykając tej skały,

zbliżam się do wiary w Boga bardziej niż w jakichkolwiek innych okolicznościach.

Tu właśnie miałam zamiar zabrać Daniela. Poprosić go, by napisał wiersz o meteorytach i kraterach. Zdumiewa mnie liczba akcji i reakcji, do jakich musiało dojść, by powstał nasz Układ Słoneczny, nasza galaktyka, nasz wszechświat. Nie potrafię objąć rozumem liczby warunków, które musiały zostać spełnione, by do tego doszło.

Czym jest zakochanie się w porównaniu z tym ogromem? Serią drobnych przypadków, o których mówimy, że znaczą wszystko, ponieważ chcemy wierzyć, że nasze mikroskopijne egzystencje znaczą cokolwiek w kosmicznej skali. Nie można porównać zakochania się do tworzenia wszechświata.

Nie ma w tym nic podobnego.



DANIEL

Wiersz napisany przez Daniela Jae Ho Bae

„Symetrie”

Zostanę
po mojej stronie
A ty
będziesz po przeciwnej



NATASHA

Kiedyś byłam związana z ojcem. Na Jamajce, nawet po przeprowadzce tutaj, byliśmy właściwie nierozłączni. Przez większość czasu miałam wrażenie, że jestem ja i tata – Marzyciele – kontra mama i mój brat – Nie-marzyciele.

Razem oglądaliśmy krykiet. Byłam jego widownią, gdy powtarzał rolę na casting. Mówił, że kiedy zostanie w końcu słynnym broadwayowskim aktorem, załatwi mi najlepsze role, jakie będą dla małych dziewczynek. Słuchałam, gdy opowiadał o tym, jak nasze życie się zmieni, kiedy wreszcie zyska sławę. Słuchałam jeszcze długo po tym, jak mama i Peter przestali go słuchać.

Wszystko zaczęło się zmieniać jakieś cztery lata temu, gdy miałam trzynaście lat. Mama miała już serdecznie dość naszego dwupokojowego mieszkania. Wszystkie jej koleżanki z Jamajki posiadały własne domy. Miała serdecznie dość wysłuchiwania tego, co będzie, gdy wreszcie ojcu się uda. Jednak jemu tego nie mówiła, tylko mnie.

„Jesteście za duzi, żeby spać w salonie. Potrzebujecie własnego miejsca. Nigdy nie będę miała własnej kuchni i prawdziwej lodówki. Czas, żeby zrezygnował z tych głupot.”

A potem stracił pracę. Nie wiem, czy go wyrzucili. Mama powiedziała kiedyś, że to on oszedł, ale nie potrafiła tego udowodnić.

Tego dnia tata stwierdził:

– Może to szczęście w nieszczęściu. Daj mi trochę czasu, a znajdę jakąś rolę.

Nie mam pojęcia, do kogo mówił, ale nikt mu nie odpowiedział.

Teraz, skoro nie pracował, mógł chodzić na castingi. Jednak rzadko kiedy to robił, wiecznie miał jakąś wymówkę:

„Nie pasuję do tej roli”

„Nie spodoba im się mój akcent”

„Robię się za stary. Aktorstwo to zabawa dla młodych”

Kiedy mama wracała wieczorem z pracy, ojciec mówił jej, że próbował. Ale my z bratem wiedzieliśmy, jak wygląda sytuacja.

Dobrze pamiętam ten dzień, gdy po raz pierwszy zobaczyliśmy, jak zatapia się w roli. Wróciliśmy z Peterem ze szkoły i od razu wiedzieliśmy, że coś jest nie tak, ponieważ drzwi wejściowe były otwarte. Ojciec stał w salonie – naszym pokoju. Nie wiem, czy nie słyszał, że wchodzimy, w każdym razie nie zareagował. W rękę trzymał książkę. Dopiero później się zorientowałam, że to sztuka *Rodzynek w słońcu*.

Miał na sobie białą koszulę i eleganckie spodnie i recytował tekst. Nie wiem, po co była mu książka, wszystko znał na pamięć. Do dzisiaj pamiętam niektóre fragmenty. Jego postać mówiła coś o tym, że widzi przyszłość rozciągającą się za horyzontem i że ta przyszłość to wielka pusta przestrzeń.

Kiedy tata nas zauważył, zarzucił nam, że się zakradamy. Początkowo myślałam, że jest zakłopotany, w końcu nikt nie lubi, jak się go znienacka zaskakuje. Później jednak uświadomiłam sobie, że chodzi o coś więcej. Wstydził się, jakbyśmy przyłapali go na kradzieży albo zdradzie.

Po tym już w zasadzie nic razem nie robiliśmy. Przestaliśmy oglądać krykiet. Tata odmawiał za każdym razem, gdy proponowałam,

że pomogę mu uczyć się roli. Sypialnia rodziców z jego strony łóżka robiła się coraz bardziej zagracona, bo składał w niej stosy używanych, pożółkłych książek ze słynnymi dramataми. Nauczył się wszystkich ról, nie tylko głównych, także epizodów.

W końcu przestał udawać, że chodzi na castingi i szuka pracy. Mama przestała udawać, że kiedykolwiek będziemy mieć dom czy choćby większe mieszkanie. Brała nadgodziny, żeby związać koniec z końcem. W ostatnie wakacje zatrudniłam się w McDonalddie, zamiast wybrać wolontariat w szpitalu metodystów, jak to wcześniej robiłam.

To już trwa ponad trzy lata. Wracamy ze szkoły, a on siedzi zamknięty w sypialni i powtarza role. Jego ulubione to długie, dramatyczne monologi. Jest Makbetem albo Walterem Lee Youngerem. Często narzeka z rozgoryczeniem na tego czy tamtego aktora i jego brak talentu. Nie szczędzi pochwał tym, których ocenia jako dobrych.

Dwa miesiące temu, zupełnie przypadkowo, dostał rolę. Ktoś, kogo poznał wieki wcześniej podczas któregoś castingu, wystawiał właśnie *Rodzinka w słońcu*. Gdy powiedział o tym mamie, ona zapytała tylko: „Ile zarobisz?”

Żadnego „Gratulacje!” Albo „Jestem z ciebie taka dumna!” Nie zapytała: „Co to za rola?” czy „Kiedy będzie premiera?” ani „Cieszysz się?” Tylko „Ile zarobisz?”

Popatrzyła na niego smutnym wzrokiem. Nieporuszonym. Wzrokiem osoby, która właśnie wróciła z dwóch zmian.

Chyba wszyscy byliśmy nieco zszokowani, nawet mama. Owszem, ojciec od lat budził w niej frustrację, ale dopiero w tamtej chwili pokazała, jak bardzo się od siebie oddalili. Nawet Peter, który zwykle trzyma jej stronę, wzdrygnął się wtedy.

Ale któż mógłby ją winić? Nikt. Mój ojciec nie przeżywał swojego życia, tylko je marzył. Egzystował w sztukach, zamiast w prawdziwym świecie. Nadal tak jest. Moja mama nie miała już czasu na marzenia.

Ja też nie mam.



SAMUEL KINGSLEY

Historia żalów, część trzecia

Trochę boi się Natashy, prawdę powiedziawszy. To wszystko, czym ona się teraz interesuje? Chemia, fizyka, matematyka. Skąd to się wzięło? Czasami, gdy patrzy, jak córka odrabia lekcje przy stole w kuchni, wydaje mu się, że ona należy do kogoś innego. Jej świat wykracza daleko poza jego osobę, to, czym ją zainteresował i czego ją nauczył. Nawet nie zauważył, gdy go przerosła.

Którejś nocy, gdy Natasha i Peter już spali, poszedł do kuchni po wodę. Zobaczył na stole książkę i zeszyt do matematyki. Nie ma pojęcia, co go wtedy naszło, ale włączył światło, usiadł i zaczął przeglądać podręcznik. Jego treść była dla niego jak hieroglify, jak pradawny język, zostawiony po epoce i ludziach, których nigdy nie zrozumie. Przeraziło go to. Siedział w kuchni przez dłuższy czas, przesuwał palcami po symbolach, żałując, że jego skóra nie ma tyle porów, by wchłonąć całą wiedzę i historię świata.

Po tamtej nocy za każdym razem, gdy na nią patrzył, miał wrażenie, że ktoś w międzyczasie się do nich zakradł i porwał jego słodką, małą córeczkę.

Czasem jednak widzi w niej przebłyski dawnej Natashy. Gdy patrzy na niego w taki sam sposób, w jaki robiła to, kiedy była młodsza. To

spojrzenie, które czegoś od niego chce. Chce, by był kimś więcej, robił więcej, więcej kochał. Samuel nie cierpi tego spojrzenia. Czasami nie cierpi nawet Natashy. Czy nie zrobił już wystarczająco wiele? Jest jego pierworodnym dzieckiem. Dla niej już dawno zrezygnował ze swoich marzeń.



DANIEL

Nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić. Miałem dać się ponieść wiatrowi, tyle że ten ucichł zupełnie. Chciałbym kupić strój włóczęgi, włożyć na siebie podwójną tablicę reklamową, na której napisałbym: „I co teraz, Wszechświecie?” To chyba odpowiedni moment, by sobie uświadomić, że Wszechświat nie zwraca na mnie żadnej uwagi.

Mogę tylko powiedzieć, że w tej chwili nienawidzę wszystkiego i wszystkich. Całego Wszechświata, bo to kutafon.

Taki sam jak Charlie.

Charlie.

Ten cholerny dupek.

Charlie, który powiedział mojej dziewczynie, że nie mamy szansy. Który oskarżył ją o kradzież w sklepie. Poinformował ją, że mam małego penisa. Charlie, którego mam ochotę walnąć w gębę od jakichś jedenastu lat.

Może to właśnie ten wiatr. Moja nienawiść do Charliego. Nie ma na co czekać. Dzisiaj już nie mam nic do stracenia.



NATASHA

Kiedy wchodzę do kancelarii, asystentka prawnika jest nieco bardziej zmęczona życiem niż poprzednio. Kosmyk włosów wymknął się jej z fryzury i opada na oczy, które błyszczą w świetle jarzeńówek. Na ustach nie ma już jaskrawoczerwonej szminki. Wygląda, jakby ktoś ją całował.

Zerkam na telefon, by się upewnić, czy nie przyszedłam za późno albo za wcześnie. Jak się okazuje, zjawiłam się punktualnie.

– Witam ponownie, panno Kingsley. Proszę za mną.

Wstaje i rusza z miejsca.

– Jeremy... to znaczy pan Fitzgerald, zaraz cię przyjmie.

Puka cicho w jedyne drzwi i czeka, a oczy jej promienieją jeszcze bardziej niż przed chwilą.

Drzwi otwierają się szeroko.

Równie dobrze mogłoby mnie tu nie być, ponieważ prawnik w ogóle mnie nie widzi. Patrzy na swoją asystentkę w taki sposób, że mam ochotę przeprosić, że im przeszkadzam. Ona wpatruje się w niego dokładnie tak samo.

Głośno odchrząkuję.

Wreszcie odrywa od niej wzrok.

– Dziękuję, pani Winter – mówi, ale brzmi to tak, jakby oświadczał jej, że ją kocha.

Idę za nim do środka. Siada przy swoim biurku i przykłada palce do skroni. Nad brwiami ma założony opatrunek, drugi na nadgarstku. Wygląda na starszą i bardziej zestresowaną wersję mężczyzny, którego widziałam na zdjęciu ze strony internetowej. Zgadzą się tylko jasna karnacja i zielone oczy.

– Siadajsiadajsiadaj – wyrzuca z siebie na jednym wydechu. – Przepraszam za spóźnienie. Przydarzył mi się rano mały wypadek, nie mamy zbyt wiele czasu, więc powiedz, proszę, jak do tego wszystkiego doszło.

Nie wiem, od czego powinnam zacząć. Czy mam mu opowiedzieć całą historię? Co powinnam w niej zawrzeć? Mam wrażenie, że powinnam się cofnąć w czasie, by to wszystko wyjaśnić.

Czy powinnam mu powiedzieć o porzuconych marzeniach mojego ojca? O tym, że moim zdaniem marzenia nigdy nie umierają, nawet gdy już są martwe? Że podejrzewam, iż mój ojciec wie o lepszym życiu w swoich myślach? Życie, w którym jest sławny i ceniony. Dzieci go szanują. Żona nosi diamenty i zazdrości jej i mężczyźni, i kobiety.

Ja też chciałabym znaleźć się w takim życiu.

Nie wiem, od czego zacząć, więc zaczynam od nocy, w której zniszczył nam życie.



NATASHA KINGSLEY

*H*istoria opowiedziana przez córkę

Teatr był jeszcze mniejszy, niż sądziliśmy z Peterem. Tabliczka głośiła, że widownia mieści maksymalnie czterdzieści osób. Bilety kosztowały piętnaście dolarów, przychody miały pokryć koszt wynajmu sali na dwie godziny w środowy wieczór. Aktorom nie wręczono darmowych wejściówek dla rodziny i przyjaciół, ojciec musiał więc wyłożyć na trzy bilety z własnej kieszeni.

Tata uwielbia ceremonie i rytuały, ale w jego życiu nie ma po temu zbyt wielu okazji. A teraz miał sztukę, no i bilety, nie mógł więc się powstrzymać. Najpierw przyniósł nam do domu chińszczyznę na wynos – dla każdego z nas kurczaka generała Tso i ryż z krewetkami.

Posadził nas przy naszym mikroskopijnym stoliku kuchennym, przy którym nigdy nie jadamy posiłków, ponieważ już przy dwóch osobach robi się przy nim zbyt ciasno. On jednak nalegał, że mamy zjeść razem. Ba, nawet sam nam wszystko podał, co nigdy wcześniej się nie zdarzało. Mamie oznajmił: „Widzisz? Kupiłem papierowe tacki, żebyś nie miała później naczyń do zmywania” – i to idealnym amerykańskim akcentem.

Mama nic nie powiedziała. Powinna była potraktować to jako znak.

Gdy tylko skończyliśmy jeść, ojciec wstał i uniósł do góry białą kopertę, jakby to było zdobyte trofeum.

– A teraz zobaczcie, co mam dla was na deser – oświadczył i po kolei

spojrzał każdemu z nas głęboko w oczy. Widziałam, że mama odwraca wzrok.

– Rodzino. To będzie dla mnie wielki honor, jeśli przyjdziecie obejrzeć mnie w roli Waltera Lee Youngera w przedstawieniu *Rodzynek w słońcu* teatru Village Troupe.

Otworzył powoli kopertę, niczym prowadzący galę oskarową przed ogłoszeniem zwycięzcy w kategorii najlepszego aktora. Wyjął bilety i wręczył nam po kolei. Wydawał się taki dumny. Co więcej, wydawał się taki obecny. Po raz pierwszy od nie wiadomo kiedy nie zatracił się w myślach, roli ani żadnej fantazji. Był tam z nami i wcale nie chciał znajdować się gdzie indziej. Już zapomniałam, jak to jest. Tata ma spojrzenie, pod wpływem którego człowiek czuje się widziany.

Kiedyś tata mnie ubóstwiał, w tamtej chwili bardzo za tym zatęskniłam. Nie tylko. Zatęskniłam za czasami, w których on był dla mnie wszystkim, kiedy uważałam, że nigdy się nie myli. Dawno temu sądziłam, że to my, rodzina, wystarczamy mu do szczęścia. Mam zdjęcia przedstawiające mnie jako trzylatkę noszącą koszulkę z napisem „MÓJ TATA JEST NAJFAJNIEJSZY”. Z przodu widniał obrazek taty pingwina trzymającego za rękę córkę-pingwiniątko w otoczeniu niebieskich, lodowych serduszek.

Szkoda, że nadal tak nie jest. Dorastanie i zauważanie wad rodziców to jak utrata wiary, religii. Nie wierzę już w Boga. Przestałam też wierzyć w mojego ojca.

Moja mama zagryzła wargi, kiedy tata wręczył jej bilet. Równie dobrze mogła go spoliczkować. „Ty i twoja głupota – powiedziała, wstając. – Zabierz ten bilet, nigdzie nie idę”

Wyszła z kuchni. Nasłuchiwałam, jak przechodzi dwadzieścia kroków do łazienki i z całej siły trzaska drzwiami.

Żadne z nas nie wiedziało, co powiedzieć. Peter osunął się na krzesło i zwiesił głowę, nie widać było jego twarzy zasłoniętej dredami. Ja

wpatrywałam się w miejsce, gdzie wcześniej siedziała mama. Oczy mojego ojca zniknęły za zasłoną fantazji i w charakterystycznej dla niego manierze wypierania się rzeczywistości mruknął: „Nie przejmujcie się mamą. Wcale nie chciała tego powiedzieć”

A jednak chciała. Nie wybrała się z nami do teatru, nawet Peter nie był w stanie jej przekonać. Stwierdziła, że ten bilet to marnowanie jej ciężko zarobionych pieniędzy.

W dzień przedstawienia pojechałam z Peterem metrem do teatru. Mój ojciec musiał być tam wcześniej. Zajęliśmy miejsca w pierwszym rzędzie i żadne z nas nawet się nie zająknęło o pustym siedzeniu obok.

Chciałabym móc powiedzieć, że nie okazał się dobry, że miał bardzo przeciętne zdolności. Ta przeciętność usprawiedliwiłaby całe lata braku propozycji. Usprawiedliwiłaby to, dlaczego zrezygnował z nas i wycofał się z prawdziwego życia w świat swoich myśli. Nie wiem, czy potrafię patrzeć na ojca obiektywnie, być może nadal widzę go przez pryzmat kalkulatorki, która go wielbiła, ale powiem jedno:

Był świetny.

Był rewelacyjny.

Pasował do sceny o wiele bardziej niż do nas.



DANIEL

Miejscowy nastolatek pewien, że już nie może być gorzej, jakże bardzo się myli

Gdy wchodzę do sklepu, mój ojciec jest zajęty obsługiwaniem klientów. Jego wzrok mówi mi, że później będzie miał mi wiele do powiedzenia.

No to dam mu jeszcze więcej tematów do rozmowy.

Właśnie przeszła wczesnopopołudniowa fala klientów, w sklepie zrobiło się pusto. Tylko jedna klientka ogląda suszarki do włosów.

Nie widzę, żeby Charlie sprzątał czy porządkował towar na półkach, pewnie się obija na zapleczu. Nie jestem zdenerwowany. Mam w dupie, czy spuści mi łomot, o ile wcześniej uda mi się powiedzieć wszystko to, co chcę. Zostawiam marynarkę pod drzwiami i naciskam klamkę. Drzwi są zamknięte, a więc pewnie postanowił się zdrzemnąć.

Otwiera je, zanim zaczynam się dobijać. Na jego twarzy, zamiast typowego pogardliwego uśmiešku, widnieje coś, co wygląda jak skrzyżowanie zmęczenia i defensywnej miny. Widocznie sądził, że to nasz ojciec próbuje wejść na zaplecze.

Na mój widok natychmiast przywołuje ten swój wstrętny uśmiezek wyższości. Udaje, że patrzy za moje plecy.

– A gdzie twoja dziewczyna? – pyta. Słowo „dziewczyna” wymawia tak, jakby to był żart, jakby wypowiadał coś w rodzaju „babol” albo

„glut”

Stoję i patrzę na niego, zastanawiam się, nie tyle jak to możliwe, że jesteśmy ze sobą spokrewnieni, ile dlaczego tak się stało. Charlie mnie wymija i celowo zderza się z moim ramieniem.

– Już cię rzuciła? – pyta, rozglądając się po sklepie, by się upewnić, czy naprawdę jej nie ma. Cały czas ma przyklejony do twarzy ten debilny uśmiech.

Wiem, że mnie podpuszcza. Wiem, a jednak daję się złapać na haczyk jak jakaś kretyńska ryba, która już chwyciła przynętę miliony razy wcześniej i jeszcze się nie nauczyła, że haczyk to wróg.

– Pierdol się, Charlie – mówię. Zaskoczyłem go. Przestaje się uśmiechać i przygląda mi się wnikliwie. Brakuje mi krawata i marynarki. Koszulę mam wyjętą ze spodni. Nie wyglądam jak chłopak, który za dwie godziny ma odbyć najważniejszą rozmowę swojego życia. Wyglądam jak gość, który szuka zaczepki.

Charlie nadyma się jak balon. Zawsze był taki dumny ze swojej przewagi dwóch lat życia i pięciu centymetrów wzrostu. Jesteśmy sami na zapleczu, a to go ośmiela.

– Po. Co. Przyłazłeś. Braciszku? – pyta. Przybliżyła się do mnie, stykamy się czubkami butów. Przysuwa twarz do mojej.

Oczekuje, że się wycofam.

Ale ja tego nie robię.

– Żeby zadać ci pytanie – odpowiadam.

Odsuwa się nieznacznie.

– Pewnie, że bym ją pieprzył – mówi. – O to chodzi? Woli mnie zamiast ciebie?

Problem z haczykiem polega na tym, że im bardziej człowiek próbuje się z niego uwolnić, tym mocniej się zaplątuje. Haczyk wbija się głębiej, krwawienie się nasila. Na ucieczkę nie ma szans. Można jedynie dać się przebić na wylot, a to boli jak cholera.

– Dlaczego jesteś taki? – pytam.

Jeśli go zaskoczyłem, nie pokazuje tego po sobie. Jest wkurwiający jak zwykle.

– Jaki? Większy? Silniejszy? Inteligentniejszy? Lepszy?

– Nie. Dlaczego jesteś takim dupkiem wobec mnie? Co ja ci zrobiłem? Tym razem zbiłem go z tropu. Nawet robi krok do tyłu.

– Po to właśnie przylazłeś? Żeby płakać mi w ramię, jaki to jestem dla ciebie niedobry? – Znów mierzy mnie wzrokiem. – Wyglądasz jak pół dupy z za krzaka, a podobno miałeś dzisiaj próbować dostać się na jedną z najlepszych uczelni w Stanach?

– Mam to w nosie. Nawet nie mam ochoty tam iść – mówię to cicho, ale i tak czuję się dobrze, że to z siebie wyrzuciłem.

– Głośniej. Braciszku. Nie słyszę cię.

– Nie mam ochoty tam iść – powtarzam głośniej, po czym uświadamiam sobie, że mój ojciec nie stoi teraz przy kasie, ale znajduje się na tyle blisko, że na pewno mnie usłyszał. Zaczyna coś mówić, ale wtedy rozbrzmiewa dźwięk dzwonka przy drzwiach i się wycofuje.

Odwracam się z powrotem do Charliego.

– Od lat próbuję to zrozumieć. Może zrobiłem ci coś, kiedy byliśmy młodszy, tylko tego nie pamiętam.

Mój brat prychnął.

– A co ty mogłeś mi zrobić, żałosny szczyłu?

– Czyli po prostu jesteś zwyczajnym dupkiem? – pytam. – Taką masz naturę?

– Jestem silniejszy. Oraz inteligentniejszy. No i lepszy.

– Skoro jesteś taki inteligentny, Charlie, co tu robisz? Czyżby chodziło o syndrom wielkiej ryby w małym stawie? Czyżbyś na Harvardzie był małą, głupią płotką?

Charlie zaciska pięści.

– Uważaj na to, co mówisz.

A więc zgadłem. Strzeliłem w dziesiątkę.

– Mam rację, prawda? Na uczelni nie jesteś wcale taki dobry. Jak się okazuje, tutaj też nie. Jak to jest być tym gorszym synem?

Teraz to ja trzymam w ręku wędkę z haczykiem. Charlie czerwienieje i zbiera się w sobie. Mam wrażenie, że jeśli jeszcze bardziej zaciśnie szczęki, twarz mu się rozpadnie na kawałki.

– Chcesz wiedzieć, dlaczego cię nie lubię? Ponieważ jesteś taki jak oni.
– Wskazuje głową w stronę ojca. – Ty i te twoje koreańskie potrawy, koreańscy przyjaciele, nauka koreańskiego w szkole. To takie żałosne. Nie rozumiesz? Jesteś taki jak wszyscy.

Moment. Że co?

– Nienawidzisz mnie, ponieważ przyjaźnię się z Koreańczykami?

– Ponieważ jesteś na wskroś koreański, a my nawet nie urodziliśmy się w tej całej pieprzonej Korei!

Rozumiem. Wreszcie rozumiem. Bycie w Ameryce bywa ciężkie. Czasami czuję się, jakbym utkwił w połowie drogi między Ziemią a Księżycem.

Przechodzi mi ochota na bójkę. Teraz jest mi go po prostu żal, a to najgorsza postawa, jaką mogę przyjąć, ponieważ Charlie rozpoznaje litość malującą się na mojej twarzy. To go rozwściecza.

– Pierdol się! – mówi, chwytając mnie za kołnierz. – Uważasz, że skoro zapuściłeś włosy i lubisz poezję, ludzie będą traktować cię inaczej? Dlatego że przyprowadziłeś tu jakąś czarną dziewczynę? A może powinienem nazwać ją Afroamerykanką albo...

Nie pozwalam mu dokończyć. Sądziłem, że będę musiał się naprawdę wysilić, by się na to zdobyć, ale to niekonieczne.

Jednym naturalnym gestem walę go w tę jego wredną gębę.

Moja pięść zderza się z jego oczodołem, uderzam w kość, co boli bardziej, niż powinno, zwłaszcza że to cios wymierzony przeze mnie, a nie mnie. Charlie chwieje się, ale nie upada, jak to robią ludzie

w filmach.

Szczerze mówiąc, czuję się zadziwiony, jednak i tak jego mina jest warta nawet złamanej ręki. Sprawilem mu ból. Fizyczny, jak zamierzałem. Chciałem mu pokazać, że jego braciszek potrafi nie tylko przyjmować ciosy, ale także je wymierzać. Teraz Charlie wie, że jestem w stanie go skrzywdzić i że mam dosyć tolerowania jego gówna.

Niestety, krzywda okazuje się za mała. Wyraz jego twarzy przechodzi od bólu, przez zaskoczenie, aż do wściekłości. Rzuca się na mnie tymi swoimi dodatkowymi pięcioma centymetrami wzrostu i dodatkowymi dziesięcioma kilogramami mięśni.

Najpierw uderza mnie w żołądek. Mógłbym przysiąc, że jego pięść przechodzi na wylot przez mój brzuch i rdzeń kręgowy. Zwijam się w pałąk i mam nadzieję, że uda mi się pozostać dłużej w tej pozycji. Niestety, Charlie chwytą mnie za kołnierz. Zasłaniam twarz rękoma, bo wiem, że to jego kolejny cel, jednak tamto uderzenie w żołądek znacznie spowolniło moje ruchy.

Tym razem jego pięść spotyka się z kątem moich ust. Wargi pękają mi od wewnętrznej strony pod wpływem uderzenia o zęby. Pękają też od strony zewnętrznej, ponieważ ten sukinsyn miał na palcu jakiś pierdolony sygnet. Zostanie mi ślad (być może na zawsze).

Nadal trzyma mnie za kołnierz, gotów do wymierzenia kolejnego ciosu, ale teraz jestem na to przygotowany. Zasłaniam twarz rękoma i unoszę kolano prosto w jego jaja. Mocno, ale nie tak mocno, żeby uniemożliwić mu w przyszłości spłodzenie diabelskiego potomstwa.

Taki jestem miły.

Leży na podłodze, trzyma się za swoje koreańskie – czego bardzo żałuje – klejnoty, a ja stoję i trzymam się za szczękę, próbując ocenić, czy wszystkie moje zęby są na miejscu. W takim właśnie momencie ojciec wchodzi na zaplecze.

– *Museun iriya?* – pyta, co w luźnym tłumaczeniu oznacza: „Co tu się

dzieje?"



NATASHA

Radca prawny Jeremy Fitzgerald splótł palce i wbił we mnie wzrok. Pochylił się także do przodu na swoim krześle. Nie mam pojęcia, czy mnie słucha, czy tylko chce sprawiać takie wrażenie.

Ile takich historii jak moja musiał wysłuchiwać w ciągu wszystkich tych lat? Dziwię się, że nie każe mi przejść do rzeczy. Kończę opowiadać o tamtym kluczowym wieczorze: aktorzy musieli wychodzić aż trzy razy na brawa. Wyszliby pewnie i po raz czwarty, gdyby nie to, że widownia zaczęła się opróżniać.

Po przedstawieniu zostaliśmy z Peterem na miejscach, czekając, aż tata po nas przyjdzie. Czekaliśmy przez trzydzieści minut, zanim się wreszcie pokazał, ale nie ze względu na nas. Wyszedł zza grubej czerwonej kurtyny i stanął na środku sceny. Stał tak przez dobrą minutę, wpatrując się w pustą widownię.

Nie wierzę w istnienie dusz, ale on miał ją wprost wypisaną na twarzy. Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby był tak szczęśliwy. I jestem pewna, że już nigdy takim go nie zobaczę. Peter wyrwał go z transu, bo ja nie byłam w stanie tego zrobić.

– Jesteś gotów, tato? – krzyknął.

Ojciec spojrział na nas niewidzącym wzrokiem. Za każdym razem, gdy patrzy na nas w taki sposób, nie jestem pewna, kto jest nieobecny – my czy on.

Peter się zaniepokoił, jak zwykle, kiedy tata robi coś takiego.

– Tato? Jesteś gotowy? Możemy iść?

Kiedy ojciec się w końcu odezwał, w jego głosie nie słychać było ani śladu jamajskiego akcentu. Brzmiał jak obcy człowiek.

– Idźcie, dzieci, beze mnie. Spotkamy się później.

Szybko opowiadam resztę historii. Mój ojciec spędza wieczór, pijąc ze swoimi nowymi kolegami-aktorami. Przesadza z alkoholem. W drodze powrotnej do domu uderza w zaparkowany wóz policyjny. Pijany, opowiada policjantowi całą naszą historię przyjazdu do Ameryki. Potrafię sobie wyobrazić jego monolog wygłaszany przed jednoosobową widownią. Ojciec powiedział policji, że jesteśmy nielegalnymi imigrantami, a Stany Zjednoczone nigdy nie dały mu prawdziwej szansy. Został od razu aresztowany, powiadomiono służby imigracyjne.

Pan Fitzgerald marszczy czoło.

– Dlaczego twój ojciec zrobił coś takiego? – pyta. – Co mu strzeliło do głowy?

Na to pytanie nie znam odpowiedzi.



SAMUEL KINGSLEY

Historia ojca

OSOBY DRAMATU: Patricia Kingsley, l. 43; Samuel Kingsley, l. 45

AKT DRUGI, SCENA TRZECIA

Wnętrze mieszkania. Sypialnia. W pomieszczeniu króluje łóżko małżeńskie z zagłówkami. Na ścianach być może wisi jeden obrazek albo dwa. Na podłodze po stronie Samuela leży mnóstwo książek. Po prawej stronie sceny widać drzwi prowadzące na korytarz. Nastoletnia córka Patricii i Samuela wszystko słyszy, jednak jej rodzice nie zdają sobie z tego sprawy. Nie wiadomo, czy przejęliby się, gdyby o tym wiedzieli.

PATRICIA: Dobry Boże. I co teraz?

Patricia siedzi na skraju łóżka ze swojej strony. Twarz ukryta w dłoniach. Jej głos jest stłumiony.

SAMUEL: To nic nie znaczy. Znajdziemy dobrego prawnika.

Samuel Kingsley stoi po swojej stronie pokoju. Wydaje się przygarbiony, jego twarz znajduje się w cieniu. Światło reflektora pada na kartkę, którą trzyma w lewej ręce.

PATRICIA: A skąd weźmiemy pieniądze na prawnika, Kingsley?

SAMUEL: Jezu, Patsy. Coś wymyślę.

Patricia opuszcza ręce i patrzy na męża tak, jakby widziała go

po raz pierwszy.

PATRICIA: Pamiętasz ten dzień, w którym się poznaliśmy?

Samuel powoli zgniata papier w dłoni. Będzie to robił przez całą scenę.

PATRICIA: Nie pamiętasz, Kingsley? Jak przyszedłeś, a potem przychodziłeś dzień w dzień? To było takie zabawne, jednego dnia coś kupowałeś, a następnego pojawiałeś się, żeby pokonać mój opór.

SAMUEL: To nie było pokonywanie oporu, Patsy. To były zaloty.

PATRICIA: Pamiętasz wszystko, co mi obiecałeś, Kingsley?

SAMUEL: Patsy...

PATRICIA: Powiedziałeś, że spełnią się wszystkie moje marzenia. Będziemy mieć dzieci, pieniądze i duży dom. Powiedziałeś, że moje szczęście jest dla ciebie ważniejsze niż twoje własne. Pamiętasz o tym, Kingsley?

Podnosi się z łóżka, przez cały czas podąża za nim światło reflektora.

SAMUEL: Patsy...

PATRICIA: Posłuchaj mnie tylko. Nie wierzyłam ci na początku, ale potem zmieniłam zdanie. Jesteś dobrym aktorem, Kingsley, ponieważ przekonałeś mnie i uwierzyłam w te wszystkie cuda, które mi obiecywałeś.

Kartka w ręku Samuela jest teraz całkowicie zgnieciona. Reflektor oświetla jego twarz. Samuel nie jest już przygarbiony. Jest zły.

SAMUEL: Wiesz, czego mam dosyć? Słuchania o twoich marzeniach. A co z moimi? Gdyby nie ty i dzieci, miałbym wszystko, czego pragnę. Narzekasz, że nie masz domu, dużej kuchni i dodatkowego pokoju. A co ja mam powiedzieć? Nie mam niczego, czego bym chciał. Nie mam okazji wykorzystać talentu, który otrzymałem od Boga. Żałuję dnia, w którym wszedłem do tamtego sklepu. Gdyby nie ty i dzieci, moje

życie byłoby lepsze. Robiłbym to, do czego zostałem stworzony. Nie chcę już słuchać o twoich marzeniach, bo są niczym w porównaniu z moimi.



NATASHA

O tym jednak nie mówię prawnikowi – że najbardziej na świecie mój ojciec żałuje, że jest uwiązany do żony i dzieci, że przeszkodziliśmy mu w życiu, które sobie wymarzył.

Zamiast tego mówię:

– Kilka tygodni po aresztowaniu dostaliśmy wezwanie do urzędu.

Prawnik przegląda formularz, który wypełniłam wcześniej na prośbę jego asystentki, po czym wyciąga żółty bloczek z szuflady biurka.

– A więc udaliście się na wstępne przesłuchanie. Czy zabraliście ze sobą adwokata?

– Tylko moi rodzice poszli – wyjaśniam. – Bez prawnika.

Rozmawiałam sporo z mamą na ten temat. Czy powinniśmy wynająć adwokata, na którego nas tak naprawdę nie stać, czy raczej czekać na wynik rozmowy. Przeczytałyśmy w Internecie, że na tym pierwszym przesłuchaniu prawnik nie jest potrzebny. Na tamtym etapie mój ojciec nadal uważał, że wszystko jakimś cudem się ułoży. Nie wiem, może chciałyśmy w to wierzyć.

Pan Fitzgerald kręci głową i notuje coś w swoim bloczku.

– Czyli na przesłuchaniu sędzia powiedział im, że mogą zdecydować się na dobrowolny powrót albo złożyć wniosek o uchylenie nakazu deportacji. – Spogląda na moje formularze. – Twój młodszy brat ma obywatelstwo amerykańskie?

– Tak – odpowiadam i patrzę, jak to zapisuje. Peter urodził się niemal równe dziewięć miesięcy po naszym przylocie do Stanów. Moi rodzice jeszcze się wtedy lubili.

Mój ojciec nie zgodził się na dobrowolne opuszczenie kraju, więc wieczorem razem z mamą poszukałyśmy informacji na temat uchYLENIA wniosku. Żebyśmy się mogli zakwalifikować, tata musiał przebywać w USA przez co najmniej dziesięć ostatnich lat, zachowywać wysokie standardy moralne i udowodnić, że deportacja spowoduje ogromne utrudnienie życia dla małżonka, rodzica albo dziecka będącego obywatelem amerykańskim. Sądziliśmy, że Peter będzie naszym ratunkiem. Wynajęliśmy najtańszą prawniczkę, jaką znaleźliśmy, i udaliśmy się na przesłuchanie wyposażeni w nową strategię. Jak się okazuje, „ogromne utrudnienie” jest bardzo trudne do udowodnienia. Powrót na Jamajkę nie zagrozi życiu mojego brata, a nikogo nie obchodzą psychologiczne skutki zabrania dziecka z domu, nawet samego Petera.

– Na właściwym przesłuchaniu sędzia odrzuca wasz wniosek, a twój ojciec godzi się na dobrowolny wyjazd. – Prawnik mówi to bez emocji, jakby była to nieuchronna kolej rzeczy.

Kiwam głową zamiast odpowiedzi. Nie jestem pewna, czy byłabym w stanie cokolwiek powiedzieć i się przy tym nie rozpłakać. Zaczynam tracić resztki nadziei.

Uważałam, że powinniśmy odwołać się od decyzji sędziego, ale prawniczka nam to odradziła. Powiedziała, że nie mamy podstaw. Zasugerowała dobrowolny wyjazd, dzięki czemu nie będziemy mieć deportacji w papierach. A to da nam nadzieję na przyszłość.

Pan Fitzgerald odkłada długopis i rozsiada się wygodniej.

– Dlaczego poszłaś dzisiaj do urzędu imigracyjnego? To nawet nie leży w ich gestii.

Muszę odchrząknąć, bo łzy zbierają mi się w gardle.

– Nie wiedziałam, co zrobić. – Prawda jest taka, że chociaż nie wierzę w cuda, miałam nadzieję, że właśnie cud mnie tam spotka.

Pan Fitzgerald milczy przez dłuższy czas.

W końcu mam dosyć jego milczenia.

– Okej – mówię. – Wiem, że nie mamy żadnych opcji. Nawet nie mam pojęcia, po co tu przyszłam.

Zaczynam podnosić się z miejsca, ale gestem nakazuje mi usiąść z powrotem. Znowu splata palce i rozgląda się po swoim gabinecie. Moje spojrzenie idzie w ślad za jego wzrokiem ku nierozpakowanym kartonom ustawionym pod ścianą po jego prawej stronie. Za krzesłem stoi drabina oparta o pusty regał.

– Dopiero się wprowadzamy – mówi. – Robotnicy mieli skończyć prace kilka tygodni temu, ale wiesz, jak to jest. – Uśmiecha się i dotyka bandaża na czole.

– Czy wszystko w porządku...

– Nic mi nie jest – odpowiada, pocierając opatrunek, i podnosi z biurka zdjęcie oprawione w ramkę. – To jedyne, co dotąd rozpakowałem. – Odwraca fotografię, żebym mogła się jej przyjrzeć. Jest na niej z żoną i dwójką dzieci. Wydają się szczęśliwi.

Uśmiecham się uprzejmie.

Odstawia zdjęcie i patrzy na mnie.

– Zawsze istnieją jakieś opcje, panno Kingsley – mówi.

Dopiero po chwili dociera do mnie, że miał na myśli naszą sprawę deportacji. Pochylam się do przodu na krześle.

– Chce pan powiedzieć, że może się panu udać coś zdziałać?

– Jestem jednym z najlepszych prawników w tym mieście zajmujących się imigracją.

– Ale jak? – Kładę dłonie na biurku i przyciskam palce do blatu.

– Porozmawiam ze znajomym sędzią. Powinien uchylić decyzję o dobrowolnym wyjeździe, co przynajmniej da wam trochę czasu.

A wtedy złożymy odwołanie do imigracyjnego sądu apelacyjnego – wyjaśnia i zerka na zegarek. – Daj mi dwie godziny.

Już otwieram usta, żeby wypytać o szczegóły. Szczegóły mnie uspokajają. Nagle wraca do mnie pewien wiersz. „Nadzieja jest tym upierzonym”. Zamykam usta. Po raz drugi dzisiaj rezygnuję ze szczegółów. Może jednak wcale nie są mi potrzebne. Jak dobrze byłoby pozwolić komuś innemu przejąć ciężar z moich ramion, choćby na chwilę.

„Nadzieja jest tym upierzonym”. Czuję w sercu trzepot jej skrzydeł.



DANIEL

Ojciec mierzy mnie wzrokiem, a ja czuję się jak leniwy dureń, za jakiego zawsze mnie uważał. Wiem, że do końca będę dla niego „drugim synem”, bez względu na to, jaki numer wykręci Charlie. Pewnie wyglądam znacznie gorzej, niż kiedy się tu pojawiłem. Guzik od koszuli musiał mi odpaść, gdy Charlie mnie szarpnął za kołnierz. Widzę czerwoną plamę od krwi z pękniętej wargi. Jestem spocony, włosy mi się kleją do twarzy. Pierwszorządny materiał na studenta prestiżowego Yale.

– Idź po lód, przyłóż sobie do ust i wracaj tutaj – rozkazuje.

Charlie jest następny w kolejce.

– Uderzyłeś brata? Tego właśnie nauczyła cię Ameryka? Żeby bić rodzinę?

Nawet chciałbym zostać i przekonać się, jak to się skończy, ale warga coraz bardziej mi puchnie. Idę na zaplecze, wydaję z lodówki puszkę coli i przykładam sobie do ust.

Nigdy nie lubiłem tego pomieszczenia. Jest za małe, zawsze zagracone, pełne otwartych kartonów z produktami. Nie ma tu żadnego krzesła, siadam więc na podłodze i opieram się plecami o drzwi, żeby nikt nie mógł wejść. Potrzeba mi pięciu minut, a potem mogę wracać i dalej zmagać się z moim życiem.

Warga pulsuje mi w rytm bijącego serca. Ciekawe, czy trzeba będzie

założyć szwy. Przyciskam puszkę i czekam, aż poczuję (lub nie), że ból mija.

To właśnie dostałem w nagrodę za oddanie mojego życia w ręce Losu? Wycisk, utratę dziewczyny i brak perspektyw na przyszłość? Dlaczego przełożyłem tę rozmowę? A co gorsza, dlaczego pozwoliłem Natashy odejść?

Może miała rację. Ciągle czekam, aż ktoś mnie uratuje. Czekam na kogoś, kto zdejmie mnie z torów, na których postawiło mnie życie, bo sam nie potrafię tego zrobić. Czekam, aż zmiecie mnie miłość, sobiepisaność oraz przeznaczenie, a tym samym decydując o przyszłości. To nie ja sprzeciwię się rodzicom – Los mnie wyręczy.

Lodowata cola robi swoje, przestaję czuć, że mam wargę. Szczęście w nieszczęściu, że nie ma tu Natashy, bo skończyłoby się całowanie, przynajmniej na dzisiaj. A z nią nie ma jutra.

Zresztą i tak nie pozwoliłaby mi się już pocałować.

Ojciec staje pod zapleczem i każe mi wyjść. Odstawiam puszkę do lodówki i wpycham koszulę w spodnie. Otwieram drzwi i widzę, że jest sam. Przysuwa się do mnie bliżej.

– Mam do ciebie pytanie – mówi. – Dlaczego uważasz, że to, czego chcesz, ma jakiegokolwiek znaczenie? – Ojciec jest wyraźnie skołowany mieszanymi uczuciami, które go ogarnęły. Pragnieniami i chęciami, o których była wcześniej mowa, i tym, dlaczego miałyby się w ogóle liczyć.

– Kogo obchodzi, czego ty chcesz? Ważne jest tylko to, co jest dla ciebie dobre. Mnie i mamę interesuje wyłącznie to, co jest dla ciebie dobre. Pójdiesz na studia, zostaniesz lekarzem i odniesiesz sukces. Nigdy nie będziesz musiał pracować w sklepie takim jak ten. Zyskasz pieniądze i szacunek, a tym samym wszystko, czego zechcesz. Poszukasz sobie dobrej dziewczyny, urodzą się wam dzieci i spełni się amerykański sen. Dlaczego miałybyś odrzucać przyszłość dla

przejęciowych kaprysów, na które masz ochotę tylko teraz?

To chyba najdłuższy tekst, jaki mój ojciec powiedział do mnie na jeden raz. Nie jest nawet zły, mówi tak, jakby wyjaśniał mi zupełne podstawy. Synu, jeden dodać jeden równa się dwa.

Odkąd ojciec kupił mamie farby olejne, nosiłem się z myślą przeprowadzenia z nim podobnej rozmowy. Chciałem się dowiedzieć, dlaczego chce dla nas właśnie tego, a nie innego. Dlaczego to takie dla niego istotne. Chciałem go zapytać, czy sądzi, że życie mamy byłoby lepsze, gdyby cały czas malowała. Chcę wiedzieć, czy smuci go to, że zrezygnowała z malowania dla niego i dla nas.

Może ta chwila między mną i ojcem to cel i sens dzisiejszego dnia. Może wreszcie zacznę go rozumieć. A on mnie.

– *Appa...* – zaczynam, ale unosi rękę, by mnie uciszyć, i jej nie opuszcza. Powietrze wokół nas wydaje się nieruchome i metaliczne. Tata patrzy na mnie, przeze mnie i obok mnie, jakby wpatrywał się w inne czasy, inną epokę.

– Nie – mówi. – Daj mi dokończyć. Może za bardzo wam wszystko ułatwiałem. Może to moja wina. Nie znacie własnej historii, nie wiecie, jak to jest żyć w ogromnej biedzie. Nie mówiłem wam o tym, bo uznałem, że tak będzie lepiej. Lepiej nie wiedzieć. Może jednak się myliłem.

Jestem już tak blisko. Za chwilę go poznam. Obaj poznamy się nawzajem.

Powiem mu, że nie chcę dla siebie tego, co on dla mnie przewidział. Wyjaśnię mu, że mimo wszystko dam sobie radę w życiu.

– *Appa...* – zaczynam ponownie, ale jego ręka wędruje w górę. Znowu mnie ucisza. Wie, co chcę powiedzieć, i nie zamierza tego słuchać.

Ukształtowały go wspomnienia tego, czego mnie nie będzie dane poznać.

– Dość tego. Jeśli nie pójdziesz na Yale na studia medyczne, możesz

sobie poszukać pracy i sam opłacić inną uczelnię.

To powiedziawszy, wraca do sklepu.

Muszę przyznać, że jego nad wyraz jasny wykład podziałał na mnie orzeźwiająco. Przyszłość albo brak przyszłości.

Moja marynarka leży zmięta na podłodze, podnoszę ją i wkładam. Prawie zakrywa plamę krwi na koszuli.

Rozglądam się w poszukiwaniu Charliego, ale nigdzie go nie widać.

Ruszam do drzwi. Tata stoi za kasą i wpatruje się w jakiś nieistniejący punkt. Już mam wyjść, kiedy mówi ostatnie, co miał mi do powiedzenia:

– Widziałem, jak patrzysz na tę dziewczynę. To niemożliwe.

– Uważam, że nie masz racji.

– To nieistotne, co ty uważasz. Masz zrobić to, co słuszne. – Patrzymy sobie w oczy dość długo, jego spojrzenie mówi mi, że ojciec nie ma pojęcia, co zrobię. Ja też tego nie wiem.



DAE HYUN BAE

Historia ojca

Dae Hyun Bae otwiera i zamyka kasę fiskalną. Powtarza tę czynność jeszcze raz. Być może to jego wina, że synowie są tacy, jacy są. Nie wspominał im nawet o swojej przeszłości. To dlatego, ponieważ jest ojcem, który ogromnie kocha swoich synów i w ten sposób chce ich chronić. Uważa, że bieda to zaraźliwa choroba, woli, by o niej nie słyszeli, bo jeszcze ją złapią.

Otwiera kasę i wkłada banknoty o wysokich nominałach do woreczka z kwitami bankowymi. Charlie i Daniel sądzą, że pieniądze nie wiążą się w żaden sposób ze szczęściem, ale oni nie mają pojęcia, czym jest bieda. Nie wiedzą, że to ostry nóż, który wycina cię po kawałku. Nie domyślają się, jak wpływa na ciało i na umysł.

Kiedy Dae Hyun miał trzynaście lat i nadal mieszkał w Korei Południowej, jego ojciec zaczął wdrażać go do przejęcia kiepsko prowadzonego interesu rodzinnego – połowu krabów. Z trudem cokolwiek na tym zarabiali i każdego sezonu toczyli prawdziwą walkę o przetrwanie. Jednak Dae Hyun przez całe swoje dzieciństwo nie miał wątpliwości, że kiedyś przejmie rodzinną firmę. Był najstarszym z trójki synów. To było jego miejsce. Rodzina to przeznaczenie.

Nadal pamięta tamten dzień, który zapoczątkował niewielką

rewolucję w jego umyśle. Ojciec po raz pierwszy zabrał go na kuter rybacki i Dae Hyun od razu znienawidził to zajęcie. Kraby, uwięzione w koszach z zimnej metalowej siatki, uformowały szaloną, wijącą się kolumnę rozpacz. Wspinały się jeden na drugiego, wysuwając szczypcę, w usilnych próbach wydostania się na sam czubek i umknięcia z niewoli.

Wspomnienie owego nieszczęsnego dnia prześladowe go do dzisiaj, pojawiając się w niespodziewanych momentach. Dae Hyun bardzo chciałby zapomnieć o przeszłości – miał nadzieję, że przyjazd do Ameryki wyczyści jego pamięć. Jednakże to wspomnienie ciągle wraca. Kraby nie dały za wygraną. Walczyły aż do śmierci. Zrobiłyby wszystko, żeby uciec.



NATASHA

Trudno powiedzieć, jak się teraz czuję. Nie do końca rozumiem tę sytuację albo po prostu miałam za mało czasu, żeby ją przetworzyć.

Zerkam na telefon, Bev wreszcie napisała do mnie SMS-a. Uwielbia, wprost uwielbia Berkeley. Twierdzi, że chyba to jej przeznaczenie. Poza tym chłopcy z Kalifornii są przystojni w zupełnie inny sposób niż ci z Nowego Jorku. W ostatniej wiadomości pyta o moje samopoczucie i dodaje kilka emotikonów przedstawiających złamane serce. Postanawiam z nią pogadać i przekazać jej to, co powiedział mi pan Fitzgerald, ale nie odbiera.

„Zadzwoń”, piszę do niej.

Wychodzę przez drzwi obrotowe na zewnątrz i zatrzymuję się w miejscu. Garstka ludzi je lunch na ławkach przy fontannie. Grupki szybko przemierzających się osób w garniturach i garsonkach wchodzi do budynku albo z niego wychodzą. Przy krawężniku stoją czarne samochody, kierowcy palą papierosy i rozmawiają ze sobą.

Jak to możliwe, że nadal jest ten sam dzień? Jak oni wszyscy mogą wieść swoje życie zupełnie normalnie, nieświadomi tego, co dzieje się z moim? Czasami człowiek przeżywa taki wstrząs, iż nie chce uwierzyć, że inni też go nie poczuli.

Tak to właśnie wyglądało, gdy przyszło pierwsze pismo o deportacji. Tak też się czułam, kiedy się dowiedziałam, że Rob mnie zdradza.

Wyjmuję telefon i szukam numeru Roba. Przypominam sobie, że przecież go wykasowałam. Ale mój umysł przechowuje wszelkie numery, więc wybieram go z pamięci. To, po co właściwie dzwonię, uświadamiam sobie dopiero, gdy odbiera.

– Heeeeeeeeej, Nat – mówi przeciągle. Nie ma nawet na tyle przyzwoitości, żeby udać zaskoczenie.

– Nie nazywaj mnie Nat – odpowiadam. Teraz, kiedy z nim rozmawiam, nie jestem pewna, czy w ogóle chcę z nim rozmawiać.

– Niefajny numer dziś wykręciliście, ty i twój nowy facet. – Głos ma głęboki, powolny, leniwy – jak zawsze. Zabawne, jak to, co kiedyś wydawało się urocze, może stać się prostackie i wkurzające. Kiedy kogoś kochamy, pragniemy spędzić z nim wieczność. Tymczasem być może należałoby postępować wręcz przeciwnie – dawkować sobie wspólny czas, abyśmy nadal mogli uważać, że ten ktoś jest interesujący. Może niepotrzebny nam drugi i trzeci akt. Może najlepsza miłość jest jednoaktówką.

Ignoruję jego uwagę oraz chęć podkreślenia, że przecież to on kradł w sklepie, a więc to on zachował się niefajnie.

– Mam pytanie – mówię.

– Dawaj.

– Dlaczego mnie zdradziłeś?

Coś spada na podłogę po jego stronie, słyszę, jak zaczyna dukać trzy różne odpowiedzi naraz.

– Wyluzuj – mówię. – Nie dzwonię, żeby się z tobą kłócić, i absolutnie nie chcę wracać do tego, co było między nami. Chciałabym tylko wiedzieć. Dlaczego ze mną nie zerwałeś? Po co była ta zdrada?

– Nie wiem – mówi. To tylko dwa proste słowa, a i tak się jąka.

– No, dalej. Musi być jakiś powód.

Milczy, zastanawia się.

– Naprawdę nie wiem.

Nic nie mówię.

– Jesteś świetna – wyjaśnia. – I Kelly jest świetna. Nie chciałem zranić twoich uczuć i nie chciałem zranić jej uczuć. – Brzmi szczerze, jednak nie wiem, co z tym zrobić.

– Ale widocznie to ją wolałeś, prawda?

– Nie, chciałem was obie.

– To tyle? – pytam. – O to chodziło? Że nie miałaś ochoty wybierać?

– To tyle – odpowiada, jakby to wystarczało.

To taka beznadziejna odpowiedź, tak niewiarygodnie niesatysfakcjonująca, że prawie się rozłączam. Daniel nigdy by się tak nie zachował. Jego serce zawsze dokonuje wyboru.

– Jeszcze jedno pytanie. Wierzysz w prawdziwą miłość i tak dalej?

– Nie. Przecież mnie znasz. Ale ty też nie wierzysz – przypomina mi. Czyżby?

– Okej, dzięki. – Już mam się rozłączyć, ale mnie powstrzymuje.

– Mogę cię chociaż przeprosić? – pyta.

– Pewnie. Dawaj.

– Przepraszam.

– Okej. Ale nie zdradzaj Kelly.

– Nie będę – mówi i w tym momencie chyba w to wierzy.

Powinnam zadzwonić do rodziców i powiedzieć im o panu Fitzgeraldzie, ale to nie z nimi chcę o tym rozmawiać, tylko z Danielem. Muszę go znaleźć i mu powiedzieć.

Rob twierdzi, że ja nie wierzę w prawdziwą miłość. Ma rację. Nie wierzę. Ale być może chciałabym uwierzyć.



DANIEL

Wychożdę ze sklepu. Przed znajdującym się po sąsiedzku lombardem na skrzynce od mleka stoi skrzypaczka. Jest blada, chuda i brudna, ale w poetyckim tego słowa znaczeniu, coś jak postać z *Davidą Copperfielda*. W przeciwieństwie do niej skrzypce są w nieskazitelnym stanie. Słucham przez chwilę, jednak nie potrafię powiedzieć, czy jest dobra. Wiem, że istnieje obiektywny sposób, by to ocenić: czy gra właściwe dźwięki we właściwej kolejności i nie fałszuje?

Jest jednak jeszcze inny sposób oceny: czy ta muzyka, która rozbrzmiewa tu i teraz, jest dla kogoś ważna?

Uznaję, że dla mnie tak. Wracam biegiem do skrzypaczki i wrzucam dolara do jej kapelusza. Obok stoi oparta tabliczka, ale nie czytam, co na niej napisano. Tak naprawdę nie chcę poznawać historii tej dziewczyny. Potrzebna mi tylko ta chwila i ta muzyka.

Ojciec powiedział, że ja i Natasha nie mamy przyszłości. Być może to prawda, ale nie z powodów, o których myśli. Okazałem się totalnym kretynem, powinienem być teraz z nią, nawet jeśli jest nam dany wyłącznie dzisiejszy dzień. Zwłaszcza jeśli mamy dla siebie tylko dzisiaj.

Żyjemy w epoce telefonii komórkowej, a ja nie mam nawet jej numeru. Nie znam nawet jej nazwiska. Jak jakiś głupek wpisuję w Google „Natasha facebook Nowy Jork” i pokazuje mi się lista 5 780 000 rekordów. Klikam na około sto i choć wszystkie Natashe są

śliczne, żadna z nich nie jest moją Natashą. Kto by pomyślał, że nosi tak popularne imię?

Jest piętnaście po czwartej, ulice znów się powoli wypełniają ludźmi zmierzającymi do stacji metra. Podobnie jak ja, oni też wyglądają gorzej niż rano. Wskakuję na krawężnik, żeby tłum nie hamował mojego ruchu.

Nie mam żadnego planu, chcę ją tylko odnaleźć. Jedyne, co mogę zrobić, to udać się w ostatnie znane mi miejsce jej pobytu – gabinet prawnika przy Pięćdziesiątej Drugiej ulicy – i liczyć, że Los stoi po mojej stronie i tam ją właśnie znajdę.



NATASHA

Jakaś para – oboje z niebieskimi irokezami na głowach – kłóci się przed wejściem do stacji metra przy Pięćdziesiątej Drugiej ulicy. Robią to dziwne szepcząco-syczące przedstawienie typowe dla par sprzeczących się w miejscu publicznym. Nie słyszę, o czym rozmawiają, ale ich gesty mówią wszystko. Ona jest na niego wściekła. On jest nią poirytowany. To na pewno nie jest początek ich związku, wyglądają na zbyt zmęczonych. Ze sposobu, w jaki pochylają się ku sobie, można wyczytać ich długą historię. Czy to będzie ich ostatnia kłótnia? Ta, która przesądzi o rozstaniu?

Wymijam ich i odwracam się, by na nich spojrzeć. Jestem pewna, że kiedyś się kochali. Może nadal się kochają, jednak tego nie widać.



DANIEL

Schodzę do stacji i odmawiam modlitwę do bogów (owszem, wielu) metra, prosząc, by podróż wolna była od problemów elektrycznych oraz nawiedzonych religijnie maszynistów.

A jeśli się spóźniłem? Jeśli ona już poszła? Jeśli ten krótki przystanek, by wrzucić dolara skrzypaczce, zapoczątkował serię wydarzeń, w wyniku których się rozminiemy?

Wjeżdżamy na stację. W tej samej chwili na drugim peronie pojawia się pociąg z centrum. Drzwi się zamykają, ale pojazd nie rusza.

Na peronie wyrasta jak spod ziemi około dwudziestu osób w jaskrawych, obcisłych kombinezonach. Na tle szarości stacji wyglądają jak tropikalne ptaki. Ustawiają się w rzędzie, po czym zamierają w bezruchu, jak gdyby czekali na sygnał.

To flash mob. Pociąg z drugiego peronu też nie odjeżdża. Jeden z tancerzy, facet we fluorescencyjnie niebieskim kostiumie, imponująco umięśniony, włącza boom box.

Początkowo wygląda to na jeden wielki chaos, jakby każdy tańczył do własnej melodii, ale później zdaję sobie sprawę, że tancerze poruszają się z kilkusekundowym opóźnieniem. To coś w rodzaju śpiewu na głosy, tyle że oni tańczą. Zaczynają od baletu, przechodzą do disco, a potem breakdance'a, aż w końcu na peron wbiega ochrona i tancerze się rozpierchają. Pasażerowie klaszczą i wiwatują.

Odjeżdżamy, ale atmosfera w pociągu zmieniła się całkowicie. Ludzie się do siebie uśmiechają, mówią, jakie to było fajne. Minie co najmniej trzydzieści sekund, zanim wszyscy znów przybiorą swoje maski ochronne. Zastanawiam się, czy taki właśnie cel przyświecał tancerzom – żebyśmy wszyscy choć przez chwilę się do siebie zbliżyli.



NATASHA

Siedzę zwrócona tyłem do peronu, więc nie widzę, jak to się zaczyna. Wiem tylko, że dzieje się coś niezwykłego, ponieważ cały pociąg patrzy na coś, co znajduje się za moimi plecami. Odwracam się i widzę flash mob – ludzi tańczących na peronie. Wszyscy są ubrani w jaskrawe stroje i tańczą disco.

„Coś takiego to tylko w Nowym Jorku” – myślę i wyjmuję telefon, żeby pstryknąć parę fotek. Pasażerowie klaszczą i wiwatują. Jeden facet zaczyna nawet naśladować ich ruchy.

Taniec nie trwa zbyt długo, przerywa go trzech ochroniarzy. Rozlega się kilka gwizdów dezaprobaty, po czym wszyscy na nowo zaczynają niecierpliwie się opóźnieniem odjazdu.

W normalnych okolicznościach zastanawiałabym się, co ci ludzie próbują osiągnąć. Czyżby nie mieli pracy ani niczego lepszego do roboty? Gdyby był tu Daniel, pewnie powiedziałby, że może tak właśnie miało być. Może z tymi tancerzami chodziło o to, by wnieśli mały cud do naszego życia. A to chyba równie ważny powód jak każdy inny?



DANIEL

Wybiegam ze stacji metra i wpadam na parę, która całuje się tak, jakby świat miał się za chwilę skończyć. Nawet gdyby nie mieli niebieskich włosów, i tak trudno byłoby ich przeoczyć, ponieważ kleją się do siebie całymi ciałami. Potrzebują ustronnego miejsca, i to natychmiast. Można by pomyśleć, że muszą się już-teraz-zaraz pogodzić na chodniku. Wzajemnie ściskają się mocno za pośladki. Wzajemne tyłkotrzymanie.

Jakiś skwaszony facet przechodzi i cmoka z dezaprobatą. Mały chłopiec gapi się na nich z otwartą buzią, aż tata zakrywa mu oczy.

Ich widok – co nielogiczne – mnie uszczęśliwia. Pewnie jest sporo prawdy we frazesie mówiącym, że zakochani chcieliby, żeby wszyscy inni się kochali. Mam nadzieję, że ich związek nigdy się nie wypali.



NATASHA

Wychoďę bezpořrednio na Bulwar Martina Luthera Kinga i ruszam w stronę sklepu Daniela. Tuř obok jakař dziewczyna stoi na skrzyni od mleka i gra na skrzypcach. Ma jasnę skóřę i dłuęie, czarne włosa, których dawno nie myła. Jej twarz jest zbyt chuda – ale to nie chudořć z wyboru, z mody, ale z głodu. Dziewczyna stanowi tak dziwny i tak smutny widok, że ař się zatrzymuję.

Na kartce napisała: BŁAGAM O POMOC. POTRZEBNE MI \$\$\$, ŹEBY WYKUPIĆ SKRZYPCE OD TEGO LICHWIARZA. Gruba czarna strzałka wskazuje na lombard. Nie jestem sobie w stanie wyobrazić, jakie ųycie doprowadziło ją do takiego miejsca, ale wyciągam dolara i wrzucam jej do kapelusza. Razem z moim ma dwa dolary.

Drzwi do lombardu się otwierają, wyłania się z nich wielki, biały człowiek w białym dresie i podchodzi do nas. Jest naburmuszony i skrzywiony.

– Czas minął – mówi, wyciągając do dziewczyny swoję wielką łapę.

Skrzypaczka natychmiast przestaje grać i zeskakuje ze skrzyni. Wyjmuje pieniądze z kapelusza i podaje mężczyźnie, nawet kapelusz mu oddaje.

Dresiarz chowa dolary do kieszeni, a kapelusz zakłada na głowę.

– Ile jeszcze zostało? – pyta dziewczyna.

Mężczyzna wyciąga mały notes i ołówek i zapisuje coś na kartce. Sto

pięćdziesiąt jeden dolarów i dwadzieścia trzy centy – odpowiada, pokazując palcem na skrzypce.

Dziewczyna tuli instrument do piersi i dopiero po chwili go oddaje.

– Jutro też przyjdę. Obieca pan, że ich nie sprzeda? – prosi.

Ten mruczy coś niezrozumiale.

– Jak nie przyjdiesz, sprzedam – dodaje.

– Obiecuję, że będę – odpowiada.

– Obiecanki to gówno – mówi facet i odchodzi.

Skrzypaczka przez dłuższą chwilę wpatruje się w okno wystawowe. Nie potrafię poznać po jej minie, czy się z nim zgadza, czy nie.



DANIEL

Nawet gdyby Natasha tu jeszcze była, i tak nie wiedziałbym, gdzie jej szukać w tym szklanym monstrum. Wpatruję się w tablicę z listą biur, próbując odgadnąć, do którego poszła. Wiem, że miała spotkanie z prawnikiem, ale lista jest bardzo ogólna. Nie ma na niej niczego takiego, jak „prawnik taki i taki, specjalista do spraw imigracyjnych siedemnastolatek z Jamajki o imieniu Natasha”. Robię szybką burzę mózgu, ale to nic nie daje.

Wyjmuję telefon i sprawdzam czas. Zostało mi jeszcze trochę ponad godzinę do randki z przeznaczeniem. Przychodzi mi do głowy, że powinienem sprawdzić nowy adres, który wcześniej podała mi recepcjonistka. Jeśli okaże się, że to bardzo daleko stąd, będę miał idealną wymówkę, żeby olać spotkanie.

Jeśli wierzyć Google Maps, znajduję się na miejscu. Albo to Google przechodzi poważny kryzys egzystencjalny, albo ja. Zerkam ponownie na adres, a potem na tablicę.

Ja piernicę. Moja rozmowa ma się odbyć w tym budynku. Jestem tu, gdzie mam być.



NATASHA

Popycham drzwi, dzwonek rozbrzmiewa radosnym optymizmem. Nie podchodzę zbyt optymistycznie do tego, co mnie tu czeka, ale nie mam wyjścia, muszę spróbować.

Spodziewam się ujrzeć za ladą ojca Daniela, jednak na jego miejscu siedzi Charlie. Pisze coś na komórce i nawet nie podnosi głowy, gdy wchodzę. Jestem ciekawa, z kim miałabym więcej szczęścia, z Charliem czy z jego ojcem. Jak się okazuje, nie mam wyboru, ojca bowiem nigdzie nie widać.

Podchodzę do lady.

– Hej – mówię.

Jeszcze przez kilka sekund stuka w klawiaturę, po czym rzuca telefon na ladę. To chyba nie najlepszy sposób witania potencjalnej klientki?

– W czym mogę pomóc? – pyta i wreszcie podnosi wzrok.

Jestem zszokowana na widok jego oka: podbitego, czerwonego i spuchniętego. Jutro będzie całe sine. Unosi rękę i nieświadomie dotyka czułego miejsca. Kostki też ma obite.

Dopiero po chwili mnie rozpoznaje.

– Moment. Nie jesteś czasem laseczką Daniela?

Przypuszczam, że ćwiczy przed lustrem ten pogardliwy uśmiezek, bo opanował go do perfekcji.

– Jestem – mówię.

Patrzy poza mnie, szukając Daniela.

– A gdzie ten gówniarz?

– Nie jestem pewna. Miałam nadzieję... – zaczynam.

Przerywa mi i uśmiecha się powoli, szeroko. Mam wrażenie, że próbuje być seksowny, i rozumiem, że gdybym go nie znała, tak mogłabym go odebrać. Ale ja już go trochę zdołałam poznać i dlatego na widok tego uśmieszku mam ochotę podbić mu drugie oko.

– A więc przyszedł do lepszego brata – mówi. Mruga do mnie, po czym krzywi się z bólu.

Bezsprzeczny fakt: nie wierzę w karmę.

Ale może zacznę.

– Masz numer jego komórki? – pytam.

Rozsiada się na krześle, podnosi telefon z lady.

– Pokłóciliście się czy jak?

Nie mam najmniejszej ochoty mu niczego zdradzać, ale muszę udawać serdeczne stosunki.

– Coś w tym stylu. Masz jego numer?

Charlie bawi się komórką.

– To jakiś twój fetysz? Żeby z Koreańczykami?

Uśmiecha się pogardliwie, jednak patrzy na mnie badawczo. Początkowo myślę, że mnie podpuszcza, dopiero po chwili uświadamiam sobie, że pyta poważnie. Zależy mu na odpowiedzi, nie wiem nawet, czy sam zdaje sobie sprawę jak bardzo.

– A dlaczego od razu fetysz? – pytam. – Nie może mi się po prostu podobać twój brat?

Krzywi się na te słowa.

– Proszę cię. Co w nim się może podobać? Takich jak on jest na pęczki.

Dociera do mnie nagle, na czym polega problem Charliego. On nienawidzi, że Daniel nie nienawidzi samego siebie. Mimo wielu wątpliwości, jakie nim targają, Daniel czuje się o wiele lepiej w swojej

skórze, niż Charlie kiedykolwiek ma szansę się poczuć.

Współczuję mu, ale nie daję tego po sobie poznać.

– Pomóż mi, proszę.

– A niby dlaczego miałbym to zrobić? – Już się nie śmieje, a na jego twarzy nie maluje się ten pogardliwy grymas. To on trzyma w ręku wszystkie sznurki, oboje doskonale zdajemy sobie z tego sprawę. Nie znam go na tyle, by uderzać do dobrej strony jego natury. Nie jestem nawet pewna, czy taką posiada.

– Pomyśl, ile problemów przysporzysz tym samym swojemu bratu – mówię. – On mnie kocha. Nie zrezygnuje, bez względu na to, co powiedzą wasi rodzice. Możesz siedzieć wygodnie i oglądać przedstawienie.

Odrzuca głowę i wybucha śmiechem. To naprawdę zły człowiek. To znaczy, być może ma w sobie jakiś pierwiastek dobra. Chyba większość ludzi go posiada. U niego jednak złe cechy znacznie przeważają dobre. Dochodzę do wniosku, że istnieją logiczne powody, dla których jest taki, jaki jest, po czym uznaję, że nie mają żadnego znaczenia.

Są ludzie, których obecność ma polepszyć twoje życie. Są też tacy, którzy istnieją tylko po to, by je pogorszyć.

Mimo to Charlie robi coś dobrego dla swojego brata: daje mi jego numer.



DANIEL

Dzwoni mój telefon, niemal go upuszczam, jakby to było coś przeklętego. Nie poznaję numeru, ale i tak odbieram.

– Halo?

– Daniel?

– Natasha? – pytam, chociaż wiem, że to ona.

– Tak. – W jej głosie słyszę uśmiech. – Dostałam numer od twojego brata.

Zaczynam podejrzewać, że to kawał autorstwa cholernego Charliego. Nie ma bowiem mowy, żeby mógł zrobić coś tak miłego.

– Z kim rozmawiam? – upewniam się.

– Daniel, to ja. Naprawdę.

– Dał ci mój numer?

– Może jednak nie jest taki zły.

– Akurat! – mówię i oboje wybuchamy śmiechem.

Znalazłem ją.

Znaczy, to ona znalazła mnie.

Nie mogę w to uwierzyć.

– Gdzie jesteś? – pyta.

– W budynku, w którym mieści się kancelaria twojego prawnika.

– Co takiego? Dlaczego tam?

– To jedyne miejsce, w którym mogłem cię szukać.

– Szukałeś mnie? – W jej głosie czai się nieśmiałość.

– Wybaczysz mi, że byłem takim kretynem?

– Nie szkodzi. Powinnam była ci powiedzieć.

– To nie była moja sprawa.

– Owszem, była – odpowiada.

To nie są akurat te dwa słowa, które chciałbym usłyszeć z jej ust, ale i tak jest blisko.



NATASHA

Daniel siedzi na ławce naprzeciwko fontanny i pisze coś w swoim notatniku. Wiedziałam, że się ucieszę na jego widok, jednak nie sądziłam, że poczuję aż taką radość. Z trudem się powstrzymuję, żeby nie skakać, nie klaskać i nie tańczyć w miejscu.

Radość.

To takie do mnie niepodobne.

Więc tego nie robię.

Ale jestem pewna, że mój uśmiech rozciąga się od ucha do ucha.

Siadam obok i trącam go ramieniem.

Podnosi notes do twarzy, zasłaniając usta, i dopiero wtedy się do mnie odwraca. W oczach tańczą mu wesołe ogniki. Nie widziałam jeszcze nigdy, żeby ktoś tak się cieszył na widok drugiej osoby, jak Daniel cieszy się na mój widok.

– Hej – mówi zza notatnika.

Wyciągam rękę, by go zabrać, ale wtedy on się odsuwa.

– Co się stało? – pytam.

– Być może wdałem się w niewielką bójkę – mówi.

– Wdałeś się w niewielką bójkę i dlatego nie mogę zobaczyć twojej twarzy?

– Chciałem cię najpierw ostrzec.

Wyciągam rękę, tym razem pozwala mi odsunąć zeszyt. Wargę

z prawej strony ma spuchniętą i obitą. Wygląda, jakby właśnie zszedł z ringu bokerskiego.

– Pobiłeś się z bratem – zgaduję.

– Zbierało mu się. – Minę ma neutralną, nie pokazuje po sobie emocji – ze względu na mnie.

– Nie sądziłam, że poeci się biją.

– Żartujesz? Jesteśmy najgorsi. – Uśmiecha się i zaraz krzywi się z bólu. – Nic mi nie jest – dodaje szybko na widok mojego spojrzenia. – To wygląda paskudnie, w rzeczywistości nie jest tak źle.

– O co wam poszło?

– To nie ma znaczenia.

– Owszem, ma.

– Nie ma. – Zaciska usta. Cokolwiek się zdarzyło, nie zamierza mi o tym powiedzieć.

– O mnie? – pytam, chociaż znam już odpowiedź. Daniel potakuje.

Postanawiam nie drażnić tematu. Wystarczy mi świadomość, że zdaniem Daniela warto o mnie walczyć.

– Byłam na ciebie wściekła – mówię. Muszę to powiedzieć, zanim przejdziemy dalej.

– Wiem. Przepraszam. Nie mogłem uwierzyć.

– Że ci nie powiedziałam?

– Nie. Że po tym wszystkim, co się wydarzyło, żebyśmy mogli się spotkać, coś innego nas rozdzieli.

– Ty naprawdę jesteś beznadziejny.

– Możliwe.

Kładę mu głowę na ramieniu, opowiadam o wizycie w muzeum, o Ahnighito i o tym wszystkim, co musiało zaistnieć, żeby powstał nasz Układ Słoneczny, galaktyka i cały Wszechświat. Mówię mu, że w porównaniu z czymś takim zakochanie się wydaje się jedynie drobnym zbiegiem okoliczności. Nie zgadza się ze mną, co mnie cieszy.

Dotykam jego warg, a on chwyta mnie za rękę, odwraca dłoń i całuje w sam środek. Nigdy wcześniej nie rozumiałam znaczenia słów „jest między nimi chemia”. W końcu wszystko jest chemią. Całe nasze życie to związki i reakcje.

Atomy mojego ciała dostosowują się do jego atomów. To dlatego wcześniej wyczułam jego obecność w holu budynku.

Znowu całuje moją dłoń, a ja wzdycham. Dotykanie go to porządek i chaos, jednoczesne rozpadanie się na części i tworzenie całości.

– Mówiłaś, że masz dobre wieści – przypomina. W otwartej księdze jego twarzy wyczytuję nadzieję. A co, jeśli się nie uda? Jak przeżyjemy przymusowe rozstanie? W tej chwili wydaje się to niemożliwe. Po chwili myślę jednak, że oczywiście – przeżyjemy. Rozstanie to nie jest śmiertelna choroba.

Na razie cieszę się, że nie musimy tego udowadniać.

– Prawnik twierdzi, że znajdzie jakieś rozwiązanie. Powiedział, że jego zdaniem będziemy mogli zostać – wyjaśniam.

– Jaką ma pewność? – pyta Daniel. Co zaskakujące, wykazuje się większym sceptycyzmem niż ja.

– Nie martw się, wydawał się bardzo pewny – odpowiadam i pozwalam sobie na łzy szczęścia. Po raz pierwszy nie wstydzę się płaczu.

– Widzisz? Jesteśmy sobie pisani. Trzeba to uczcić.

Przyciąga mnie do siebie, a ja wplątam palce w jego włosy. Daniel chwyta mnie za rękę i pochyla się, by mnie pocałować, ale kładę mu palec na ustach.

– Zaczekaj z tym pocałunkiem – mówię.

Przychodzi mi do głowy, że muszę wykonać jedno połączenie. To głupi impuls, ale Daniel prawie mi wmówił, że jesteśmy sobie przeznaczeni. A cały ten łańcuch wydarzeń został zapoczątkowany przez strażniczkę w urzędzie, przez którą się spóźniłam. Gdyby tak długo nie

przetrzymywała moich rzeczy, zjawiłabym się na czas. Nie byłoby Lestera Barnesa ani pana Fitzgeralda. Nie byłoby Daniela.

Grzebię w plecaku i wydaję wizytówkę Barnesa. Łączę się z pocztą głosową. Zostawiam bezładną wiadomość, dziękuję mu za pomoc i proszę, by przekazał podziękowanie także strażnicze.

– Ma długie brązowe włosy, smutne oczy i dotyka wszystkich przedmiotów – opisuję ją. A zanim się rozłączę, przypominam sobie coś jeszcze. – Chyba ma na imię Irene. Proszę jej ode mnie podziękować.

Daniel patrzy na mnie pytająco.

– Później wyjaśnię – odpowiadam i wracam w jego objęcia. – To teraz *norebang*? – pytam, dotykając jego ust. Serce próbuje mi się wyrwać z klatki piersiowej.

– Nie. Mam lepszy pomysł.



DANIEL

Chcesz usłyszeć coś nieprawdopodobnego? – pytam, prowadząc ją do budynku. – Moje spotkanie odbędzie się właśnie tutaj.

– Żartujesz! – Aż przystaje na moment.

Uśmiecham się do niej szeroko, oddałbym wszystko, żeby się dowiedzieć, jak jej naukowy mózg poradzi sobie z interpretacją aż takich zbiegów okoliczności.

– Jakie jest prawdopodobieństwo? – pytam.

Śmieje się.

– Dobrze się bawisz moim kosztem, co?

– Sama widzisz. Od początku miałem rację. Jesteśmy sobie przeznaczeni, gdybyśmy nie spotkali się wcześniej, nastąpiłoby to teraz. – To łatwa do obalenia logika, jednak Natasha nie protestuje. Chwyta mnie za rękę i się uśmiecha. Może jeszcze sprawię, że uwierzy.

Mam taki plan, żebyśmy dostali się na dach i tam będziemy mogli w spokoju oddać się całowaniu. Wpisuję się do księgi gości i ochroniarz prowadzi nas do wind. Wsiadamy do takiej, która zatrzymuje się na każdym piętrze. Ludzie w garniturach i garsonkach wsiadają, wysiadają, rozmawiają głośno o Bardzo Ważnych Sprawach. Mimo tego, co mówiła Natasha, nigdy nie mógłbym pracować w takim budynku. Wreszcie docieramy na ostatnie piętro. Znajdujemy schody i wkrótce stajemy pod zamkniętymi szarymi drzwiami z napisem „WEJŚCIE NA

DACH ZABRONIONE”

Nie chcę się poddać. Chwytam za klamkę, licząc na cud, ale drzwi są zamknięte na klucz.

Opieram się czołem o tabliczkę.

– Sezamie, otwórz się – mówię.

I jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki drzwi się otwierają.

– Co, do diabła? – Potykam się i wpadam na tego samego ochroniarza, który nas wpuszczał. W przeciwieństwie do nas musiał skorzystać z ekspresowej windy.

– Nie wolno tu wchodzić – mamrocze. Śmierdzi dymem papierosowym.

Ciągnę Natashę za sobą.

– Chcieliśmy tylko popodziwiać widok – mówię głosem pełnym szacunku, z niewielką domieszką błagania, ale bez nuty służalczości.

Mężczyzna unosi brwi z powątpiewaniem i już ma coś powiedzieć, ale zanosi się kaszlem. Zwija się w pałąk i uderza pięścią w płuca.

– Nic panu nie jest? – pyta Natasha. Mężczyzna pochyla się lekko, rękę opiera na udach. Natasha kładzie mu rękę na ramieniu.

– Tylko ten kaszel – sapie pomiędzy jednym a drugim atakiem.

– Nie powinien pan palić – odpowiada Natasha.

Prostuje się i ociera oczy.

– Mówisz jak moja żona.

– Bo ma rację.

Próbuję rzucić jej spojrzenie z gatunku „nie kłóć się ze starym ochroniarzem chorym na płuca, bo nie pozwoli nam tu zostać i się całować”, ale jeśli nawet właściwie zinterpretowała moją minę, całkowicie mnie ignoruje.

– Swego czasu chodziłam jako wolontariuszka na oddział pulmonologiczny. Ten kaszel nie brzmi dobrze.

Obaj wbijamy w nią wzrok. Ja, ponieważ wyobrażam ją sobie

w różowym fartuszku wolontariuszki, a potem wizualizuję sobie, jak go zdejmuję. Jestem pewien, że to będzie moja nowa nocna fantazja.

Nie mam pojęcia, dlaczego ten ochroniarz się w nią wpatruje. Mam nadzieję, że nie z tego samego powodu.

– Proszę mi je oddać – mówi Natasha i wyciąga rękę po papierosy. – Musi pan przestać palić. – Nie mam pojęcia, jak jej się udaje wyglądać jednocześnie na tak szczerze zatroskaną oraz władcą.

Mężczyzna wyciąga paczkę z kieszeni bluzy.

– Myślisz, że nie próbowałem? – pyta.

Znów na niego patrzę. Jest za stary na tę robotę. Powinien siedzieć na emeryturze i rozpieszczać wnuki gdzieś na Florydzie.

Natasha tak długo wyciąga rękę, aż ochroniarz w końcu oddaje jej papierosy.

– Dbaj o nią – mówi do mnie i się uśmiecha.

– Tak jest, proszę pana.

Wkłada bluzę.

– Skąd wiesz, że nie kupię sobie nowych? – pyta Natashę.

Ta wzrusza ramionami.

– Właściwie to nie wiem.

Ochroniarz patrzy na nią przez dłuższą chwilę.

– Życie nie zawsze toczy się tak, jak to sobie zaplanowaliśmy – stwierdza.

Widzę, że Natasha mu nie wierzy. On też to widzi po jej spojrzeniu, ale nic już nie mówi.

– Nie podchodźcie tylko do krawędzi – dodaje, mrugając do nas okiem. – I bawcie się dobrze.



JOE

Historia zaplanowana

Dziewczyna przypominała mu trochę jego Beth. Bezpośrednia, ale urocza – i to właśnie sprawiło, że pozwolił im zostać na dachu. Joe doskonale wie, że jedyny widok, jaki ich interesuje, to widok ich samych. Uważa jednak, że nie ma w tym nic złego.

On i Beth też tak się zachowywali, i nie tylko na początku małżeństwa, ale przez cały czas jego trwania. Mawiali, że poznając się, wygrali na loterii.

Beth zmarła w zeszłym roku, sześć miesięcy po tym, jak oboje odeszli na emeryturę. Diagnozę usłyszeli w pierwszym dniu życia emeryckiego. A mieli tyle planów. Popłynąć na Alaskę i zobaczyć zorzę polarną (ona). Pojechać do Wenecji, żeby napić się grappy i zobaczyć kanały (on).

Nawet teraz to go bardzo boli. Wszystkie poczynione plany. Oszczędności. To czekanie na idealną okazję.

I na co to? Na nic.

Dziewczyna ma rację, rzecz jasna – nie powinien palić. Po odejściu Beth wrócił do pracy i do palenia. A jakie to ma znaczenie, czy się zapracuje na śmierć, czy nie? Jakie to ma znaczenie, czy umrze od papierosów? Nie został mu żaden cel w życiu, nic, co miałby planować.

Zanim zamknie drzwi, jeszcze raz spogląda na dziewczynę i chłopaka. Wpatrują się w siebie, jakby świat dla nich nie istniał. On i Beth też byli kiedyś tacy.

Może jednak rzuci palenie. Może jednak poczyni jakieś nowe plany.



NATASHA

Daniel podchodzi do krawędzi dachu i patrzy na miasto. Włosy ma rozpuszczone, powiewają na wietrze. Ma ten swój poetycki wyraz twarzy. Jego zdrowa część ust się uśmiecha.

Podchodzę do niego i wsuwam palce w jego dłoń.

– Nie zamierzasz niczego napisać, poeto? – podpuszczam go.

Uśmiecha się jeszcze szerzej, ale nie patrzy na mnie.

– Z góry wszystko wygląda zupełnie inaczej, prawda? – pyta.

Ciekawe, co widzi, gdy spogląda na miasto. Ja dostrzegam kilometry dachów, większość pustych, nieliczne są upstrzone dawno zapomnianymi przedmiotami – niedziałającą wentylacją, zepsutymi meblami biurowymi. Gdzieniegdzie widzę ogródek dachowy, zastanawiam się, kto się nimi zajmuje.

Daniel wyjmuję notes, a ja przysuwam się bliżej krawędzi.

Zanim te wszystkie budynki powstały, istniały jedynie ich szkielety. Zanim wzniesiono szkielety, istniały tylko belki i pręty. Metal, szkło i beton. A jeszcze wcześniej były tylko plany budowlane. Przed nimi – projekty architektoniczne. A jeszcze przed nimi czyjaś wizja miasta.

Daniel odkłada notatnik i odsuwa mnie od skraju dachu. Kładzie rękę na mojej talii.

– Co ty tam w ogóle zapisujesz? – pytam.

– Plany – odpowiada. Oczy ma wesole, wpatruje się w moje wargi,

a ja nie jestem w stanie ogarnąć myśli. Robię krok do tyłu, a on przemieszcza się moim śladem, jakbyśmy tańczyli.

– Ja... O matko. Czy ty od rana jesteś taki seksowny?

Śmieje się i rumieni.

– Cieszę się, że twoim zdaniem jestem seksowny. – Jego wzrok nie opuszcza moich ust.

– Będzie bolało, jeśli cię pocałuję? – pytam.

– To będzie dobry ból – stwierdza. Przytrzymuje mnie mocniej w pasie, jakby nas chciał zakotwiczyć. Moje serce nie może się uspokoić.

Zastanawiam się, czy i tym razem całowanie się z nim będzie tak cudowne, jak to zapamiętałam. Przy pierwszym pocałunku sądziłam, że całuję go po raz ostatni. To z pewnością musiało zaważyć na intensywności doznań. Teraz będzie bardziej normalnie. Żadnego chaosu, wywracania wszystkiego do góry nogami, ot, pocałunek dwojga ludzi, którzy się sobie bardzo podobają.

Staję na palcach i przysuwam się bliżej. Daniel wreszcie spogląda mi w oczy. Zabiera rękę z mojej talii i kładzie mi na sercu, które bije pod jego palcami tak, jak gdyby biło dla niego.

Nasze usta się stykają, próbuję jak najdłużej utrzymać otwarte oczy i nie poddawać się szalonej entropii tego, co nas łączy. Nie rozumiem tego. Dlaczego akurat on? Dlaczego Daniel, a nie żaden inny chłopak, jakiego poznałam? A gdybyśmy się nie spotkali? Przeżyłabym zupełnie zwyczajny dzień, nie zdając sobie sprawy, że coś tracę?

Oplatam mu rękoma szyję, przytulam się do niego, ale ciągle mi za mało. Wraca to niespokojne, chaotyczne uczucie. Pragnę tego, czego nawet nie potrafię nazwać, a także tego, o czym wolę głośno nie mówić. Chciałabym, żeby ta chwila trwała na wieki, a jednocześnie nie chcę stracić innych momentów w życiu. Chcę, abyśmy przeżyli razem całą naszą przyszłość, ale chcę jej tu i teraz.

Trochę mnie to wszystko przytłacza, więc odrywam się od jego warg.

– Idź. Tam. Już – mówię, podkreślając każde słowo pocałunkiem, i pokazuję palcem miejsce z dala od moich ust.

– Tu? – pyta, robiąc krok do tyłu.

– Co najmniej pięć kroków więcej.

Uśmiecha się szeroko, ale spełnia polecenie.

– Chyba nie wszystkie nasze pocałunki będą takie? – pytam.

– To znaczy jakie?

– No wiesz. Szalone.

– Uwielbiam twoją bezpośredniość.

– Naprawdę? Moja mama twierdzi, że posuwam się za daleko.

– Być może. Ale to nie zmienia faktu, że to uwielbiam.

Opuszczam wzrok i nie odpowiadam.

– Ile zostało nam czasu do twojej rozmowy?

– Czterdzieści minut.

– Masz do mnie jeszcze jakieś miłosne pytania?

– Wciąż się we mnie nie zakochałaś? – pyta z udawanym niedowierzaniem.

– Nie – mówię i się uśmiecham.

– Nie martw się. Mamy czas.



DANIEL

To niemal jak cud, że możemy tak siedzieć na dachu, jakbyśmy byli mieszkańcami tajnego podniebnego miasta. Słońce powoli chowa się za budynkami, ale jeszcze nie zapadł zmrok. Wkrótce nastanie ciemność, teraz mamy jedynie jej zapowiedź.

Siedzimy z Natashą po turecku, opierając się o ścianę obok schodów. Trzymamy się za ręce, ona oparła głowę o moje ramię. Jej włosy dotykają miękko mojego policzka.

– Jesteś gotowa na pytanie o gościa na obiad? – pytam.

– To znaczy osobę, którą bym zaprosiła?

– Tak.

– Eee, nie. Ty pierwszy.

– To łatwe – mówię. – Boga.

Podnosi głowę z mojego ramienia, by na mnie spojrzeć.

– Naprawdę wierzysz w Boga?

– Naprawdę.

– W gościa w niebie? Obdarzonego supermocą? – W jej niedowierzaniu nie kryje się kpina, raczej zaciekawienie.

– Nie do końca.

– W takim razie jak?

Ściskam jej dłoń.

– Wiesz, co teraz do siebie czujemy, prawda? To coś, co nas łączy,

czego nie potrafimy zrozumieć, a jednak nie chcemy z tego zrezygnować? To właśnie jest Bóg.

– Ja cię kręcę! – wykrzykuje. – Wy, poeci, jesteście bardzo niebezpieczni!

Chwyta moją dłoń obiema rękami i kładzie ją sobie na kolanach.

Odchylam głowę do tyłu, patrzę na niebo, próbuję przypisywać chmurom kształty.

– Powiem ci, co myślę – odzywam się. – Uważam, że wszyscy ludzie na ziemi są ze sobą powiązani.

Natasha przesuwając palcami po moich kostkach.

– Nawet ci źli?

– Tak. Ale każdy ma w sobie choć odrobinę dobra.

– Nieprawda.

– Okej – potwierdzam. – Ale każdy człowiek chociaż raz w życiu zrobił coś dobrego. Z tym się chyba zgodzisz?

Zastanawia się, po czym z namysłem kiwa głową.

– Uważam, że ta dobra część naszej natury jakoś się ze sobą łączy – ciągnę. – To ta część, która pozwala nam się podzielić ostatnim ciastkiem czekoladowym, przekazać coś na cel charytatywny, wrzucić dolara ulicznemu grajkowi, zapisać się na wolontariat w domu opieki, płakać przy oglądaniu reklam Apple'a, powiedzieć „kocham cię” albo „wybaczam ci”. Myślę, że to właśnie jest Bóg. Bóg łączy nas z tym, co w nas najlepsze.

– A twoim zdaniem to połączenie ma świadomość?

– Właśnie. Nazywamy ją Bogiem.

Natasha śmieje się cicho.

– Zawsze jesteś takim...

– Erudyta? – przerywam jej.

Teraz śmieje się głośniej.

– Chciałam powiedzieć „wariatem”

– Owszem. Jestem znany w okolicy z mojego wariactwa.

– Żartowałam. – Trąca mnie ramieniem. – Podoba mi się, że sobie to wszystko przemyślałeś.

Rzeczywiście. Nie po raz pierwszy o tym myślałem, ale po raz pierwszy udało mi się to zwerbalizować. Przy niej staję się lepszy. Ujmuję jej dłoń, przysuwam sobie do ust i całuję jej palce.

– A ty? – pytam. – Nie wierzysz w Boga?

– Podoba mi się twoja koncepcja. Na pewno nie wierzę w niebo i ogień piekielny.

– Ale w coś jednak wierzysz?

Marszczy czoło, niepewna.

– Sama nie wiem. Chyba bardziej mnie interesuje, dlaczego ludzie sądzą, że muszą wierzyć w Boga. Dlaczego nie mogą zawierzyć nauce? Nauka jest cudowna. Nocne niebo – niesamowite. Wnętrze ludzkiej komórki? Fascynujące. Coś, co mówi nam, że rodzimy się źli, a co ludzie wykorzystują, żeby usprawiedliwić swoje paskudne uprzedzenia i wredotę? No, nie wiem. Chyba po prostu wierzę w naukę, to mi wystarcza.

– Hm – odpowiadam. Światło słońca odbija się w budynkach, powietrze przybiera pomarańczowy odcień. W tej otwartej przestrzeni czuję się jak w bezpiecznym kokonie.

– Wiedziałaś, że około dwudziestu siedmiu procent wszechświata stanowi ciemna materia?

Nie wiedziałem, ale ona, oczywiście, tak.

– Co to jest ciemna materia?

Lubość to słowo, które najlepiej opisuje to, co maluje się na jej twarzy. Wysuwa palce z moich rąk, rozciera dłonie i zabiera się do wyjaśnień:

– Naukowcy nie są do końca pewni, ale chodzi o różnicę między masą obiektu a masą obliczoną na podstawie oddziaływań grawitacyjnych. –

Natasha unosi wyczekująco brwi, jak gdyby oznajmiła coś głębokiego i poruszającego świat w posadach.

Czuję się głęboko nieporuszony w posadach.

Natasha wzdycha. Dramatycznie.

– Ech, poeci – mruży, ale z uśmiechem. – Te dwie masy powinny być identyczne – wyjaśnia, unosząc palec. – Powinny, a jednak nie są, i to w przypadku tak wielkich ciał niebieskich, jakimi są planety.

– To faktycznie ciekawe – mówię szczerze.

– Prawda? – rozpromienia się, a ja przepadam w jej spojrzeniu. – Jak się poza tym okazuje, w widocznej masie galaktyki nie ma aż takiej grawitacji, która wyjaśniałaby, dlaczego galaktyka się nie rozpada.

Kręcę głową, by pokazać, że nie rozumiem.

– Jeśli obliczymy siłę grawitacji wszystkich dostrzegalnych obiektów – wyjaśnia – przekonamy się, że jest niewystarczająca, by galaktyki i gwiazdy mogły wokół siebie orbitować. Musi więc być więcej materii, tyle że my jej nie widzimy. To ciemna materia.

– Okej, teraz łapię.

Spogląda na mnie sceptycznie.

– Nie, naprawdę. Rozumiem. Powiedziałaś, że ciemna materia stanowi dwadzieścia siedem procent Wszechświata, tak?

– Mniej więcej.

– I to powód, dla którego ciała niebieskie nie odlatują w przepastne czeluści kosmosu? To właśnie nas trzyma ze sobą?

Jej sceptycyzm przeradza się w podejrzliwość.

– Do czego zmierza ten twój niekumaty umysł?

– Nie spodoba ci się to, co powiem.

– Bardzo możliwe.

– Ciemna materia to miłość. To siła przyciągania.

– O matko! Bez przesady. Okropna teoria. Jesteś straszny.

– Jestem cudowny – odpowiadam, śmiejąc się.

- Potworny – prostuje, ale śmieje się razem ze mną.
- Mam absolutną rację – stwierdzam triumfalnie i znów chwytam ją za rękę. Wydaje z siebie jęk, ale widzę, że o tym rozmyśla. Może wcale nie oponuje aż tak bardzo, jak jej się wydaje.
- Przeglądam listę pytań na telefonie.
- Okej, mam jeszcze jedno. „Uzupełnij następujące zdanie: Oboje w tej chwili czujemy...”
- Jakby nam się chciało siku – odpowiada z uśmiechem.
- Ty naprawdę nie lubisz rozmawiać o poważnych sprawach, co?
- A chciało ci się kiedykolwiek tak bardzo bardzo siku? To poważna sprawa. Można w ten sposób doprowadzić do uszkodzenia pęcherza...
- Naprawdę chcesz iść do łazienki?
- Nie.
- To odpowiedz na pytanie. – Nie pozwolę, żeby się wymigała żartami.
- Ty pierwszy – mówi, wzdychając.
- Czuję się pogodny, podniecony i pełen nadziei.
- Jaka piękna aliteracja.
- Teraz twoja kolej, ale musisz być szczerą – mówię. Pokazuje mi język.
- Zdezorientowana. Przestraszona.
- Kładę sobie jej rękę na kolanach.
- Dlaczego przestraszona?
- To taki długi dzień. Rano sądziłam, że zostaniemy deportowani, od dwóch miesięcy przygotowywałam się na to psychicznie. A teraz wychodzi na to, że może jednak zostanę – wyjaśnia i patrzy na mnie. – No i jeszcze ty. Rano nie zdawałam sobie sprawy z twojego istnienia, a teraz nie pamiętam tego, że cię nie znałam. Trochę za dużo tego wszystkiego. Mam poczucie utraty kontroli nad moim życiem.
- To takie złe?
- Lubię wiedzieć, co się szykuję. Planować z góry.

Rozumiem to, naprawdę. Zostaliśmy zaprogramowani, by planować z góry. To część naszego rytmu. Słońce wstaje każdego ranka, a każdego wieczora ustępuje na niebie księżycowi.

– Jak powiedział nasz ochroniarz – planowanie nie zawsze odnosi skutek.

– Uważasz, że miał rację? Ja jednak myślę, że większość sytuacji można zaplanować. Zwykle życie nie serwuje nam ciosów zniecka.

– Podejrzewam, że dinozaury też tak sądziły, i zobacz, jak to się skończyło – pozwalam sobie na kpinę.

Jej uśmiech jest tak szeroki, że muszę, po prostu muszę dotknąć jej twarzy. Odwraca się ku mojej dłoni i ją całuje.

– Pomijając problemy rangi wyginięcia gatunku, myślę, że planowanie jest jednak całkiem realne – odpowiada.

– Pokonałem cię – mówię, a ona nie zaprzecza. – W każdym razie podałaś tylko dwa przymiotniki: zdezorientowana i przestraszona. A trzeci?

– No dobra, dobra. Dam ci to, co chcesz, i powiem: „szczęśliwa”

Wzdycham teatralnie.

– Mogłaś chociaż podać go na początku.

– Lubię napięcie – odpowiada.

– Wcale nie lubisz.

– Masz rację. Nienawidzę.

– Szczęśliwa z mojego powodu?

– I wstrzymania deportacji. Ale głównie ze względu na ciebie.

Przyciąga nasze złączone dłonie do ust i całuje moje. Mógłbym tak tu siedzieć bez końca, przeplatając rozmowę pocałunkami, przeplatając pocałunki rozmową.

– A kiedy zaczniemy wpatrywać się sobie w oczy? – pytam.

Na te słowa przewraca oczami. Chciałbym się w nich zatopić.

– Później. Po twoim spotkaniu.

– Nie bój się – podpuszczam ją.

– A czego miałabym się bać? To tylko spoglądanie na tęczę i źrenicę.

– Oczy to wrota duszy – oponuję.

– Bzdury.

Bezsensownie sprawdzam godzinę na komórce. Wiem, że za chwilę będę musiał iść na rozmowę, ale chciałbym tu jeszcze posiedzieć.

– To może jeszcze dwa pytania – proponuję. – Błyskawiczna runda. Twoje najcenniejsze wspomnienie?

– Kiedy po raz pierwszy dostałam lody w wafelku, a nie w kubku – odpowiada bez wahania.

– Ile miałaś wtedy lat?

– Cztery. To były lody czekoladowe, a ja miałam na sobie bielutką świąteczną sukienkę.

– Czyj to był pomysł?

– Mojego ojca – odpowiada z uśmiechem. – Uważał, że jestem ósmym cudem świata.

– Teraz już tak nie uważa?

– Nie.

Czekam, żeby dokończyła myśl, ale ona przechodzi dalej:

– A twoje wspomnienie?

– Miałem siedem lat, kiedy wybraliśmy się do Disneylandu. Charlie koniecznie chciał się przejechać na Space Mountain, ale mama stwierdziła, że to dla mnie zbyt straszne, a nie pozwoliła mu jechać samemu. Ani ona, ani tata nie chcieli jechać.

Natasha zaciska palce na mojej ręce, co jest urocze, zwłaszcza że najwyraźniej przeżyłem tamto doświadczenie, skoro tu z nią siedzę.

– I co się stało?

– Przekonałem mamę, że wcale się nie boję. Oznajmiłem jej, że odkąd pamiętam, o tym marzyłem.

– Ale nie marzyłeś?

– Mało się nie posikałem ze strachu. Zrobiłem to dla Charliego.

Natasha uderza mnie w ramię.

– Już cię lubię. Nawet nie musisz mi udowadniać, że jesteś świętym.

– No właśnie, wcale nie byłem święty. Chyba wiedziałem już, że nasze relacje długo nie będą dobre. Myślę, że chciałem mu udowodnić, że jestem wart jego przyjaźni. No i poskutkowało. Powiedział, że jestem odważny, i pozwolił mi dokończyć swój popcorn.

Odchylam głowę do tyłu i spoglądam na chmury. Ledwo się przesuwają na niebie.

– Czy to nie zabawne, że i twoje, i moje ulubione wspomnienie dotyczy osób, które teraz lubimy najmniej ze wszystkich? – pytam.

– Może właśnie dlatego ich nie lubimy – odpowiada. – Rozbieżność pomiędzy tym, jacy byli, a tym, jacy są, jest tak wielka, że nie ma szansy na to, by ich odzyskać.

– Może. Wiesz, co jest najgorsze w tej historii?

– Co?

– Po tamtej wyprawie do dzisiaj nienawidzę rollercoasterów.

Natasha wybucha śmiechem, a ja śmieję się razem z nią.



OCZY

Historia ewolucji

Naukowcy wysuwają teorię, że pierwsze „oczy” były jedynie wrażliwymi na światło, bogatymi w pigment plamkami na skórze jakiegoś prehistorycznego stworzenia. Owe plamki pozwoliły mu odróżniać światło od ciemności, co było bardzo korzystne, ponieważ ciemność mogła oznaczać zbliżenie się drapieżnika, który przestłonił światło swoim ciałem. Dzięki temu stworzenia te częściej przeżywały, częściej się rozmnażały, a w efekcie przekazywały potomstwu geny „oczu”. Przypadkowe mutacje doprowadziły do wgłębienia na skórze w miejscu wrażliwej na światło plamki. Z czasem plamka ewoluowała w to, co jest ludzkim okiem.

Jaka była droga od oczu stanowiących mechanizm przeżycia do idei miłości od pierwszego wejrzenia? Koncepcji, że oczy są wrotami duszy? Frazesu, że zakochani nieustannie wpatrują się sobie w oczy?

Badania wykazały, że źrenice osób, które czują do siebie pociąg, rozszerzają się ze względu na obecność dopaminy. Według innych badań żyłki w oczach mogą wskazywać na tendencje osobowościowe, więc może jednak oczy są wrotami duszy.

A jeśli chodzi o kochanków przez długie godziny wpatrujących się sobie w oczy? Czy to przejaw zaufania? „Pozwolę ci się zbliżyć do siebie

i ufam, że mnie nie skrzywdzisz, gdy będę tak bezbronny/a”? A jeśli zaufanie jest podstawą miłości, być może wpatrując się sobie w oczy, budujemy tę miłość lub ją wzmacniamy. A może jest jeszcze prościej.

Zwykłe poszukiwanie porozumienia. Żeby zobaczyć.

Żeby zostać zobaczonym.



DANIEL

Gabinet radcy prawnego Jeremy'ego Fitzgeralda znajduje się na końcu długiego, szarego, pozbawionego charakteru korytarza. Próbuję (bezsukutecznie) nie traktować tego jako przepowiedni na przyszłość. Na drzwiach nie ma nazwiska, jedynie numer. Pukam, ale nikt się nie odzywa. Może już poszedł do domu? To byłoby idealne rozwiązanie, wtedy nikt nie mógłby mi zarzucić, że niedostanie się do Yale i niezostanie lekarzem to moja wina. Nieważne, że jestem dziesięć minut spóźniony ze względu na nasze pocałunki. Niczego nie żałuję.

Naciskam klamkę i wpadam na szlochającą kobietę. Ale nie kryje twarzy w dłoniach, jak to zwykle robią płaczący ludzie. Nie, ona stoi na środku pomieszczenia, nabiera wielkie hausty powietrza, a łzy lecą jej ciurkiem po policzkach. Tusz jej się rozmazał, oczy ma podpuchnięte i czerwone, jakby płakała tak od dłuższego czasu.

Gdy zdaje sobie sprawę z mojej obecności, przestaje szlochać i wyciera twarz wierzchem dłoni, co tylko pogarsza sprawę, bo teraz tusz ma rozmazany także na nosie.

– Nic pani nie jest? – zadaję najbardziej idiotyczne pytanie, jakie przychodzi mi do głowy. Przecież widać wyraźnie, że coś jej jest.

– Nie, nie – odpowiada. Przygryza dolną wargę i próbuje wygładzić włosy, a znów jedynie pogarsza sytuację. – Jesteś Daniel Bae. Przyszedłeś na rozmowę.

Przysuwam się krok bliżej.

– Może przynieść pani szklankę wody, chusteczki albo coś w tym stylu? – Na biurku obok kubka z napisem „Asystent prawnika robi to taniej” leży puste pudełko po chusteczkach higienicznych.

– Wszystko w porządku. On jest tam – dodaje, pokazując na drzwi za plecami.

– Jest pani pewna, że... – zaczynam, ale nie pozwala mi dokończyć.

– Muszę iść. Powiedz mu, że jest najcudowniejszym człowiekiem, jakiego znam, ale że muszę odejść.

Mówię „okej”, chociaż nie zamierzam mu tego przekazywać. Zresztą, to mała kancelaria. Zapewne i tak wszystko słyszy.

Kobieta wraca do biurka i zabiera swój kubek.

– Powiedz mu też, że chciałabym zostać, ale nie mogę. Tak będzie lepiej dla nas obojga.

Znowu zaczyna płakać, a ja czuję, że i w moich własnych oczach wzbierają łzy. A to bardzo niefajne.

Kobieta przestaje nagle szlochać i wbija we mnie wzrok.

– Czy ty płaczesz? – pyta.

Przecieram oczy.

– To taki idiotyzm, który mi się przytrafia. Zawsze gdy widzę czyjeś łzy, ja też płacę.

– To urocze – mówi. Gdy nie tonie we łzach, jej głos ma melodyjne brzmienie.

– Szczerze mówiąc, to cholernie upierdliwe.

– Wyrażaj się – karci mnie.

– Przepraszam. – Kto dzisiaj protestuje, słysząc tak niewinne słowo jak „cholera”?

Akceptuje przeprosiny delikatnym skinieniem głową.

– Dopiero co się przenieśliśmy w nowe miejsce, a ja już tu więcej nie przyjdę – mówi. Pociąga nosem, a potem go wyciera. – Gdybym

wiedziała, jak to się skończy, nigdy bym nie zaczynała.

– Każdy chciałby umieć przewidywać przyszłość – stwierdzam. Jej oczy znowu wypełniają się łzami, chociaż mi potakuje.

– Kiedy byłam mała, moją ulubioną lekturą były baśnie, ponieważ jeszcze zanim się je otworzyło, wiadomo było, jak się skończą. I żyli długo i szczęśliwie. – Spogląda na drzwi za plecami, zamyka oczy, po czym je otwiera. – W bajkach księżniczka nigdy nie robi nic niewłaściwego.

Drzwi, na które zerknęła, właśnie się otwierają. Odwracam się, zaintrygowany tym, jak wygląda najcudowniejsza osoba na świecie. Nie licząc opatrunku nad prawym okiem – całkiem zwyczajnie.

– Daniel Bae? – pyta, patrząc tylko na mnie. Jego wzrok nawet na sekundę nie przenosi się na nią.

Wyciągam rękę.

– Dzień dobry, panie Fitzgerald. Miło mi pana poznać.

Nie wita się ze mną.

– Spóźniłeś się – mówi i wraca do gabinetu.

Odwracam się, by się pożegnać z sekretarką, ale jej już nie ma.



NATASHA

Wyjmuję komórkę z plecaka, jednak nie mam odpowiedzi od Bev. Może znów jeździ po okolicy. Przypominam sobie, że chciała zajrzeć także do Uniwersytetu Kalifornijskiego w San Francisco.

Powinnam zadzwonić do mamy, już dawno trzeba było to zrobić. Kiedy siedziałam z Danielem na dachu, trzykrotnie się do mnie dobijała.

Piszę do niej SMS-a: „Niedługo wracam”

Telefon brzęczy niemal natychmiast. Pewnie czekała na wiadomość ode mnie.

„Od 2 godz próbuję się dodzwonić”

„Sorry” – piszę.

Ponieważ ostatnie słowo zawsze musi należeć do niej, czekam na nieuchronną odpowiedź.

„A więc nic nowego? Mam nadzieję, że się nie łudziłaś?” – pisze.

Wrzucam komórkę do plecaka, nie odpowiadając.

Czasami tak sobie myślę, że moja mama najbardziej ze wszystkiego boi się rozczarowania. Walczy z tym, próbując za wszelką cenę nie robić sobie nadziei, i innych też do tego nakłania.

Nie zawsze to działa. Kiedyś przyniosła do domu ulotkę reklamującą casting w jakimś podrzędnym teatrze. Nie mam pojęcia, gdzie ją znalazła ani co to była za rola. Tata wziął ulotkę, nawet podziękował, ale jestem pewna, że tam nie zadzwonił.

Postanawiam poczekać na telefon od pana Fitzgeralda. Dopiero wtedy jej powiem. Dość miała rozczarowań w życiu.

Problem z robieniem sobie zbyt wielkich nadziei polega na tym, że kurczą się one w bardzo bolesny sposób.



SAMUEL KINGSLEY

Historia żalu, część czwarta

Niektórym ludziom już od narodzin pisana jest sława. Bóg obdarowuje nielicznych talentami, po czym wysyła na ziemię, by je wykorzystywali.

Ja miałem tylko dwie okazje, by skorzystać z moich. Dwa miesiące temu, kiedy grałem w *Rodzyнку w słońcu* na Manhattanie, i dziesięć lat temu, gdy wystawialiśmy tę samą sztukę w Montego Bay.

Coś sprawia, że ta sztuka jest mi przeznaczona. Na Jamajce „Daily” nazwał mój występ „cudem”. Dostałem owację na stojąco.

Ja. Nie inni aktorzy. Tylko ja.

To zabawne. Sztuka, która przeniosła mnie z Jamajki do Stanów, teraz odsyła mnie z powrotem.

Patricia zapytała, jak mogłem powiedzieć o wszystkim policji. „Im, a nie księdzu. Przecież to nie była spowiedź”. Odparłem, że byłem pijany i schodziłem ze sceny na haju. Nie ma nic bardziej upojnego niż zrobienie tego, do czego wyznaczył cię Bóg.

Wyjaśniam, że wcale tego nie chciałem. To, co jej mówię, to prawda, ale i nieprawda. Może jednak zrobiłem to celowo. I to nie spowiedź, ale mówienie tego, co mi siedzi w głowie. Może to było celowe. Nie udało nam się nawet zebrać pełnej widowni.

Ameryka ze mną skończyła, a ja skończyłem z Ameryką. To właśnie uświadomił mi tamten wieczór. Na Jamajce dostałem owację na stojąco. W Stanach nie mam nawet kompletu widzów.

Nie wiem. Może zrobiłem to celowo. Czasami człowiek gubi się we własnym umyśle, kiedy wyjeżdża do innego kraju. Musi myśleć w innym języku i nie potrafi odczytać znaków, chociaż znajdują się na każdym kroku.



DANIEL

Pierwsze, co widzę po wejściu, to leżąca na biurku teczka z nazwiskiem Natashy. „Natasha Kingsley”. To musi być ona, prawda? Bo przecież ile może być osób o takim samym imieniu i nazwisku? Jak się okazuje, nie tylko oboje mamy spotkanie w tym samym budynku, ale jej prawnik i mój rozmówca to jedna i ta sama osoba. Szansa wynosi chyba jeden na miliard, co? Nie mogę się doczekać wyrazu jej twarzy, gdy jej o tym powiem.

Patrzę na prawnika, a potem rozglądam się po jego gabinecie.

– Specjalizuje się pan w prawie imigracyjnym? – pytam.

Mężczyzna unosi wzrok znad tego, co jak zakładam, jest moim podaniem na studia.

– Owszem. Dlaczego pytasz?

– Chyba znam jedną z pana klientek – odpowiadam, sięgając po teczkę. Wyrывa mi ją z ręki.

– Proszę tego nie dotykać. To poufne. – Odsuwa dokumenty jak najdalej się da.

Uśmiewam się do pana Fitzgeralda, a on patrzy na mnie, marszcząc czoło.

– Przepraszam. Po prostu uratował mi pan życie.

– O czym ty mówisz? – Prawnik porusza nadgarstkiem, a ja zauważam, że ma zabandażowaną rękę. Przypominam sobie, jak jego asystentka

mówiła coś o wypadku samochodowym.

Pokazuję na teczkę.

– Poznałem ją dzisiaj... znaczy Natashę.

W dalszym ciągu się marszczy, nie rozumie, do czego zmierzam.

– Kiedy ją poznałem, miała zostać deportowana, ale potem spotkała się z panem, zrobił pan swoje prawnicze czary-mary i teraz może zostać w Stanach.

Mężczyzna opiera zabandażowaną rękę o biurko.

– A jak to uratowało życie tobie?

– Ona to ta jedyna.

– Przecież powiedziałeś, że dopiero dzisiaj ją poznałeś.

– Owszem. – Szeroki uśmiech mimowolnie maluje mi się na twarzy.

– I jest tą jedyną? – Co prawda nie robi palcami znaku cudzystowu w powietrzu, ale słyszę go w jego głosie. Wokalny cudzystów (wcale nie lepszy niż pokazany ręcznie).

Mężczyzna splata palce i wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę.

– Czemu tak właściwie zawdzięczam twoją obecność? – pyta.

Czy to podchwytliwe pytanie?

– Rozmowa rekomendująca na studia?

Patrzy na mnie wymownie.

– Nie. Tak naprawdę. Dlaczego w tej chwili siedzisz w mojej kancelarii? Wyglądasz, jakbyś brał udział w bójce. To poważne pytanie. Dlaczego tu przyszedłeś?

Nie mam wyjścia, muszę odpowiedzieć zgodnie z prawdą.

– Rodzice mnie do tego zmusili.

– Ile masz lat?

– Siedemnaście.

Zerka w moje dokumenty.

– Tu jest napisane, że interesuje cię medycyna. To prawda?

– Niezupełnie.

- Niezupełnie czy nie? Prawnicy lubią konkret.
- Nie.
- Wreszcie do czegoś dochodzimy. Dlaczego chcesz studiować na Yale?
- Nie wiem, czy w ogóle chcę studiować.

Pan Fitzgerald pochyla się do przodu. Mam wrażenie, że znalazłem się w krzyżowym ogniu pytań.

- O czym marzysz?
- O zostaniu poetą.
- O matko. Jakże praktyczne.
- Może mi pan wierzyć, słyszałem to nie raz.

Pochyla się jeszcze bardziej.

- Zapytam cię ponownie. Po co tu przyszedłeś?
- Ponieważ musiałem.
- Nie musiałeś. Możesz wstać i wyjść.
- Jestem to winny rodzicom.
- Dlaczego?
- I tak pan tego nie zrozumie.
- Przekonajmy się.

Wzdycham (to westchnienie z gatunku sygnalizujących długie cierpienie).

– Moi rodzice to imigranci. Przeprowadzili się do Stanów z nadzieją na lepsze życie. Pracują nieustannie, żebyśmy z bratem mogli zrealizować amerykański sen. A nigdzie nie ma mowy o tym, że w amerykańskim śnie można zrezygnować ze studiów i zostać przymierającym głodem artystą.

- Jest mowa o tym, żeby robić to, na co się ma ochotę.

Parskam śmiechem.

– Nie w mojej rodzinie. Jeśli nie pójdę na medycynę, rodzice odetną mi przypiływ gotówki. Nie będę miał za co studiować. Za co żyć.

Moje wyznanie przerywa serię pytań. Prawnik siada wygodniej

na krześle.

– Zrobiłbyś to?

Znam odpowiedź, ale nie potrafię tak od razu jej udzielić. Przypomina mi się mina mojego ojca. Tak bardzo mu zależy na tym, żebyśmy mieli z Charliem lepsze życie niż on. Zrobiłby wszystko, żeby do tego doprowadzić.

– Tak – mówię. Ale nie dlatego, że mój ojciec jest zły. Ani ponieważ jest stereotypowym koreańskim rodzicem. Dlatego, że nie jest w stanie spojrzeć poza własną historię, poza własne życie i pozwolić nam na przeżycie wszystkiego po swojemu. Mnóstwo ludzi funkcjonuje tak jak on.

Pan Fitzgerald cicho gwizdże.

– A więc musisz mieć pewność, że poezja jest tego warta.

Teraz to ja się pochylam do przodu.

– Nigdy nie zrobił pan czegoś tylko dlatego, że czuł pan, że to pański obowiązek? Ponieważ pan komuś obiecał?

Odwraca wzrok. Nie wiedzieć czemu, nagle zmienia się dynamika rozmowy. Mam wrażenie, że jedziemy na tym samym wozie.

– Wypełnianie obowiązków to definicja dorosłości, mój chłopcze. Jeśli zamierzasz popełniać błędy i łamać dane słowo, to idealny moment.

Przerywa, porusza nadgarstkiem i się krzywi.

– Wykorzystaj cały swój pakiet spieprzania życia teraz, kiedy konsekwencje nie są jeszcze tak poważne. Uwierz mi, później wszystko będzie znacznie trudniejsze.

Niekiedy ludzie mówią coś, niczego nie mówiąc. Spoglądam na lewą rękę prawnika i widzę obrączkę.

– To właśnie przydarzyło się panu? – pytam.

Rozplata dłonie i okręca obrączkę na palcu.

– Jestem żonatym mężczyzną z dwójką dzieci.

– Ale ma pan romans z asystentką.

Pan Fitzgerald pociera opatrunek nad okiem.

– To się zaczęło zaledwie wczoraj – wyjaśnia i spogląda na zamknięte drzwi, jakby się spodziewał, że ona w nich stanie. – A zakończyło się dzisiaj – dodaje cicho.

Nie oczekiwałem, że się do tego przyzna, a teraz nie wiem, co powiedzieć.

– Uważasz, że jestem złym człowiekiem – stwierdza.

– Jest pan potencjalnym autorem rekomendacji dla mnie – odpowiadam. Może będzie lepiej, jeśli wrócimy do tematu.

Mężczyzna kryje twarz w dłoniach.

– Za późno ją spotkałem. Zawsze miałem gówniane wyczucie czasu.

Nie mam pojęcia, co powiedzieć. Nie, żeby oczekiwał ode mnie rady. W zwykłych okolicznościach poradziłbym mu, by poszedł za głosem serca, jednak w tej sytuacji nie tylko jego serce wchodzi w grę.

– I co pan teraz robi? – pytam. – Pozwoli jej odejść?

Patrzy na mnie przez dłuższy czas, z namysłem.

– Ty też będziesz musiał to zrobić – odzywa się w końcu i wyciąga teczkę Natashy spod łokcia. – Nie dałem rady. Sądziłem, że mi się uda, ale jednak nie.

– Co się nie udało?

– Powstrzymanie deportacji.

Będzie musiał powiedzieć mi to wielkimi literami, ponieważ nie jestem w stanie przetworzyć tego, co mówi.

– Twoja Natasha będzie musiała dzisiaj wrócić do swojego kraju. Nie udało mi się temu zapobiec. Sędzia nie wstrzyma nakazu dobrowolnego opuszczenia kraju.

Nie wiem, na czym polega dobrowolne opuszczenie kraju, wiem tylko, że gdzieś tu tkwi jakiś błąd. To musi być pomyłka. Nagle zaczynam mieć nadzieję, że to jednak chodzi o inną Natashę Kingsley.

– Przykro mi, mój drogi – mówi i przesuwa teczkę z dokumentami w moją stronę, jakby to, że do niej zajrzę, mogło cokolwiek zaradzić. Otwieram teczkę – to jest jakiś oficjalny formularz. Widzę tylko jej nazwisko: Natasha Katherine Kingsley. Nie znałem jej drugiego imienia. Katherine. Pasuje do niej.

Zamykam teczkę i przesuвам w stronę prawnika.

– Jestem pewien, że jest coś, co może pan zrobić.

Mężczyzna splata z powrotem palce.

– Już wszystkiego próbowałem – mówi, wzruszając ramionami. Ten gest mnie wkurza. To nie jest bagatelna sprawa w rodzaju „och, spóźniłeś się na spotkanie, przyjdź, proszę, jutro”. Tu chodzi o życie Natashy. A także o moje.

Wstaję.

– Za słabo pan próbował – rzucam oskarżenie. Mógłbym się założyć, że miało to coś wspólnego z romansem z sekretarką. Pewnie spędził ten dzień, łamiąc obietnice dane żonie i dzieciom. Oraz Natashy.

– Wiem, że jesteś zestresowany – mówi. Głos ma łagodny, jakby chciał mnie uspokoić.

Ale ja wcale nie chcę być spokojny. Opieram dłonie na biurku i pochylam się do przodu.

– Musi być coś, co może pan zrobić. To nie jej wina, że ma popierdolonego ojca.

– Przykro mi. – Mężczyzna odsuwa krzesło. – Urząd do spraw imigracji nie lubi, kiedy ktoś zostaje w Stanach po upływie ważności wizy.

– Przecież była wtedy dzieckiem. Nie miała wyboru. Nie mogła powiedzieć: „Mamo, tato, nasza wiza straciła ważność. Powinniśmy wracać na Jamajkę”

– To bez znaczenia. Przepisy są przepisami. Odrzucono ich apelację, sędzia był ostatnią nadzieją. Jeżeli opuszczą dzisiaj kraj, istnieje niewielka ale realna szansa na to, że za kilka lat będzie mogła ponownie

ubiegać się o wizę.

– Ameryka to jej dom! – krzyczę. – Nieważne, gdzie się urodziła! – Nie mówię wszystkiego. Czyli tego, że jej miejsce jest obok mnie.

– Bardzo żałuję, że nic nie mogę zrobić – odpowiada. Dotyka opatrunku nad okiem i wydaje się szczerze zasmucony. Może go jednak źle osądziłem. Może naprawdę próbował. – Kiedy skończymy, od razu do niej zadzwonię.

„Kiedy skończymy?” Zupełnie zapomniałem, że to spotkanie miało dotyczyć mnie i studiów na Yale.

– Ot, zadzwoni pan i powie jej to przez telefon?

– Czy to ma znaczenie, w jaki sposób się tego dowie? – Prawnik marszczy brwi.

– Oczywiście, że tak. – Nie chcę, żeby najgorszą informację w całym swoim życiu usłyszała w słuchawce telefonicznej z ust osoby, której wcale nie zna. – Ja to zrobię. Ja jej powiem.

Prawnik kręci głową.

– Nie mogę ci na to pozwolić. To moje zadanie.

Siedzę, nie wiedząc, co mam zrobić. Warga mi pulsuje. Bolać mnie żebra w miejscu, w którym Charlie mnie uderzył. Boli mnie serce w miejscu, w którym przechowuję Nataszę.

– Przepraszam – powtarza pan Fitzgerald.

– A co będzie, jeśli ona nie wsiądzie do tego samolotu? Jeśli zostanie?
– Jestem zrozpaczony. Złamanie prawa wydaje mi się niską ceną za jej pozostanie w Ameryce.

Ponowne kręcenie głową.

– Odradzam. Jako prawnik, ale nie tylko.

Muszę szybko do niej biec i jej to powiedzieć. Nie chcę, żeby była sama, gdy się dowie. Wychodzę z gabinetu do pustej recepcji. Asystentka nie wróciła.

Prawnik wychodzi w ślad za mną.

– To już koniec naszego spotkania? – pyta.

Nie zatrzymuję się.

– Sam pan powątpiewał w sens tej rozmowy. A mnie wcale nie zależy na Yale.

Kładzie mi rękę na ramieniu, więc muszę się odwrócić.

– Słuchaj, wiem, że powiedziałem, że powinieneś popełniać błędy, póki jesteś młody, ale Yale to nie byle co. Takie studia mogłyby ci otworzyć wiele drzwi. Jak mnie.

Może ma rację. Może jestem krótkowzroczny.

Rozglądam się po kancelarii. Ile jeszcze czasu potrwa ten remont? Ile czasu zabierze mu znalezienie nowej asystentki?

Pokazuję brodą w stronę jej biurka.

– Zrobił pan wszystko, co powinien był pan zrobić, ale nie dało to panu szczęścia – mówię.

Znowu pociera opatrunek nad okiem i nie patrzy na jej biurko. Jest zmęczony, ale to nie zmęczenie, które można usunąć snem.

– Jeśli teraz stąd nie wyjdę, do końca życia będę tego żałował – wyjaśniam.

– Pół godziny na dokończenie rozmowy cię nie zbawi – odpowiada. Naprawdę mam mu tłumaczyć, że każda sekunda jest cenna? Że nasz własny Wszechświat powstał na czas jednego oddechu?

– Czas ma wielkie znaczenie, panie Fitzgerald – mówię. W końcu odwraca się ode mnie i spogląda na puste biurko. – Ale pan to już wie.



JEREMY FITZGERALD

Historia à la baśń, część druga

Jeremy Fitzgerald skłamał w rozmowie z Danielem. W rzeczywistości nie udało mu się zapobiec deportacji Natashy, ponieważ nie dotarł na spotkanie z sędzią, który mógłby wycofać nakaz. A nie dotarł, gdyż jest zakochany w Hannah Winter, i zamiast gnać na spotkanie, wolał spędzić popołudnie w hotelu z ukochaną.

Siedząc samotnie w swojej niedokończonej kancelarii, Jeremy przez następny tydzień będzie ciągle wracał myślami do Daniela Bae. Przypominał sobie jego słowa o tym, jak ważny jest czas. Będzie widział przed oczami jego spuchniętą wargę i plamę krwi na koszuli. Przypominał sobie, że nie miało to kompletnie żadnego znaczenia w obliczu ogromnej rozpacz, jaka pojawiła się na twarzy chłopaka, gdy dowiedział się o Natashy. Jakby ktoś rzucił granat i całe jego życie rozpadło się na kawałki.

W następnym miesiącu Jeremy poinformuje żonę, że już jej nie kocha i że lepiej będzie dla niej i dla dzieci, jeśli odejdzie. Zadzzwoni do Hannah Winter, złoży jej wiele obietnic i wszystkie je dotrzyma.

Jego syn nigdy się nie ustatkuje, nie ożeni się, nie będzie miał dzieci i nie wybaczy ojcu zdrady. Córka weźmie ślub ze swoją pierwszą dziewczyną, Marie. Większość swojego pierwszego małżeństwa spędzi

na przeczuwaniu, a potem wywoływaniu jego końca. Po Marie nikt już jej nie będzie tak bardzo kochał. I chociaż jeszcze dwukrotnie weźmie ślub, ona też nikogo nie będzie kochała tak mocno jak Marie.

Dzieci Jeremy'ego i Hannah nauczą się kochać innych w prosty i nieskomplikowany sposób, jaki jest dany ludziom, którzy od początku wiedzą, skąd się bierze miłość, i nie boją się jej stracić.

Nie chodzi jednak o to, czy Jeremy Fitzgerald postąpił właściwie, czy niewłaściwie. Chodzi o jedno: miłość zawsze wszystko zmienia.



HANNAH WINTER
Historia à la baśń, część druga

A potem żyli długo i szczęśliwie.



NATASHA

Odkąd zaszło słońce, zrobiło się znacznie chłodniej. Nietrudno sobie wyobrazić, że zima czai się już za rogiem. Będę musiała wygrzebać czarną puchówkę i kozaki. Otulam się kurtką i zastanawiam, czy nie wejść do holu, gdzie będzie cieplej. Robię pierwszy krok, a wtedy Daniel wyłania się zza szklanych drzwi.

Dostrzega mnie, spodziewam się uśmiechu, jednak minę ma posępną. Czyżby jego rozmowa poszła aż tak źle?

– Co się stało? – pytam, kiedy tylko się do siebie zbliżamy. Wyobrażam sobie najgorsze: wdał się w bójkę ze swoim rozmówcą, a tym samym stracił szansę na jakiekolwiek studia i zmarnował sobie przyszłość.

Daniel kładzie dłoń na mojej twarzy.

– Naprawdę cię kocham – mówi. Nie żartuje. To nie ma nic wspólnego z naszym śmiesznym zakładem. Mówi to tak, jakby odzywał się do umierającej osoby albo kogoś, kogo nie spodziewa się już nigdy zobaczyć.

– Daniel, co się stało? – Odsuwam jego rękę z mojej twarzy, ale jej nie puszczam.

– Kocham cię – powtarza i kładzie drugą dłoń na moim policzku. – I nieważne, czy ty też to powiesz. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała.

Dzwoni mój telefon. To z kancelarii.

– Nie odbieraj – mówi Daniel.

Oczywiście, że odbiorę.

Dotyka mojej ręki, by mnie powstrzymać.

– Proszę cię. Nie rób tego – powtarza. Zaczynam odczuwać przerażenie, ale ignoruję połączenie.

– Co tak właściwie tam się wydarzyło? – pytam.

Daniel zaciska powieki, a kiedy otwiera oczy, widzę, że są pełne łez.

– Nie możesz tu być – wyjaśnia.

Początkowo nie rozumiem.

– Ale dlaczego? – dociekam. – Zamykają ten budynek na noc? – Rozglądam się w poszukiwaniu strażników, którzy za chwilę nas stąd wyproszą.

Łzy płyną mu po policzkach. W moich myślach zakwita niechciana pewność. Zabieram rękę.

– Jak się nazywał ten człowiek, z którym się spotkałeś? – szepczę.

Daniel kiwa potakująco głową.

– To był twój prawnik.

– Fitzgerald?

– Tak.

Wyjmuję telefon i patrzę na numer, nie przyjmuję do wiadomości tego, co Daniel próbuje mi przekazać.

– Cały czas czekam, aż oddzwoni. Mówił coś o mnie?

Wiem, co powie. Po prostu wiem.

Daniel podejmuje kilkakrotną próbę udzielenia mi odpowiedzi. W końcu mu się udaje:

– Powiedział, że nie dało się cofnąć nakazu.

– Przecież mówił, że to załatwi!

Daniel ściska mnie za rękę i chce przyciągnąć do siebie, ale mnie niepotrzebne jest pocieszenie. Potrzebne mi zrozumienie.

Cofam się o krok.

– Jesteś pewien? Dlaczego w ogóle o mnie rozmawialiście?

– Coś dziwnego działo się między nim i jego asystentką, a na biurku leżała twoja teczka – odpowiada i ociera twarz dłonią.

– To nie wyjaśnia...

Znowu chwyta mnie za rękę, ale natychmiast mu ją wyrrywam.

– Przestań! Przestań! – wrzeszczę.

– Przepraszam – mówi i mnie puszcza.

Cofam się o kolejny krok.

– Co dokładnie powiedział?

– Że nakaz deportacji nadal obowiązuje i lepiej, żebyście dzisiaj wieczorem opuścili Stany Zjednoczone.

Odwracam się i łączę z pocztą głosową. To on – pan Fitzgerald. Mówi, że mam do niego zadzwonić. Że ma niedobre wieści.

Rozłączam się i w milczeniu wpatruję się w Daniela. Zaczyna coś mówić, ale chcę, by przestał. Chcę, żeby cały świat przestał się poruszać, bo dzieje się w nim zbyt wiele tego, nad czym nie mam żadnej kontroli. Mam wrażenie, że znalazłam się w skomplikowanym urządzeniu Rube'a Goldberga, które zaprojektował ktoś inny. Nie znam mechanizmu, który je uruchamia. Nie wiem, co wydarzy się za chwilę. Wiem tylko, że wszystko działa jak efekt domina, i raz wprawione w ruch, nigdy nie może się zatrzymać.



DANIEL

*Serca nie mogą się złamać.
Złamane serce to tylko
Wyrażenie poetyckie.
Serce nie jest
Ze szkła
Z kości
Ani niczego co
Pęka
Rozpada się
Roztrzaskuje
Na kawałki.
Serce nie może
Lec w gruzach.
Po prostu staje.
Jak stary zegar z zamierzchłej epoki
Bez części zamiennych.*



NATASHA

Siedzimy przy fontannie, a Daniel trzyma mnie za rękę. Na ramiona zarzucił mi swoją marynarkę.

Naprawdę jest opiekuńczy.

Ale niedane mi będzie się o tym przekonać.

– Muszę wracać do domu – mówię. To pierwsze słowa, jakie wypowiedziałam w ciągu ostatnich trzydziestu minut.

Przyciąga mnie do siebie, a ja wreszcie mu na to pozwalam. Ma takie szerokie, solidne ramiona. Opieram na nich głowę. Idealnie pasuje. Wiedziałam o tym rano, wiem i teraz.

– Co zrobimy? – szepcze.

Są maile, SMS-y, jest Skype i inne komunikatory, można też przylecieć na Jamajkę. Ale chociaż zdaję sobie z tego wszystkiego sprawę, nie zamierzam do tego dopuścić. Musimy żyć osobno. Nie mogę zostawić serca tu, skoro moje życie będzie tam. Nie mogę też zabrać ze sobą jego serca, skoro cała jego przyszłość rozegra się tutaj.

Podnoszę głowę.

– A jak reszta twojej rozmowy? – pytam.

Delikatnie dotyka mojego policzka i kładzie sobie moją głowę na ramieniu.

– Powiedział, że wystawi mi rekomendacje.

– To świetnie – mówię głosem całkowicie pozbawionym entuzjazmu.

– Taaa – odpowiada. Poziom jego entuzjazmu odpowiada mojemu.

Jest mi zimno, ale nie chcę się ruszać. Odejście stąd rozpocznie reakcję łańcuchową, w wyniku której znajdę się na pokładzie samolotu.

Mijają kolejne minuty.

– Naprawdę muszę iść – stwierdzam. – Mamy lot o dwudziestej drugiej.

Wyciąga telefon i sprawdza czas.

– To jeszcze trzy godziny. Jesteś spakowana?

– W zasadzie tak.

– Idę z tobą.

Serce mi podskakuje. Przez jedną szaloną chwilę wydaje mi się, że chce jechać ze mną na Jamajkę.

Dostrzega to w moim wzroku.

– Miałem na myśli twoje mieszkanie.

– Wiem, co miałeś na myśli – warczę. Jestem rozżalona. Zachowuję się jak kretyńka. – Ale to nie jest dobry pomysł. Moi rodzice są w domu, a ja mam mnóstwo rzeczy do zrobienia. Będziesz tylko przeszkadzał.

Wstaje i podaje mi rękę.

– Powiem ci, jak to zrobimy. Nie będziemy się kłócić. Nie będziemy udawać, że to wcale nie jest najgorsza rzecz na świecie, bo jest. Nie rozdzielimy się, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne. Pojadę z tobą do domu. Poznam twoich rodziców, a oni mnie polubią, ponieważ nie dam twojemu ojcu w twarz. Zamiast tego sprawdzę, czy jesteś bardziej podobna do niego, czy do mamy. Twój brat będzie się zachowywał, jak przystało na młodszego brata. Może wreszcie usłyszę ten jamajski akcent, który przede mną ukrywałaś przez cały dzień. Zobaczę, gdzie śpisz, jesz i mieszkasz, i zacznę żałować, że wcześniej nie zdawałem sobie sprawy z twojego istnienia.

Próbuję mu przerwać, ale mówi dalej:

– Pojadę z tobą do twojego domu, a potem zamówimy taksówkę

na lotnisko, tylko my dwoje. Będę patrzył, jak wsiadasz do samolotu, i czułem, jak ktoś wyrywa mi serce z cholernej klatki piersiowej, a potem, już do końca życia, będę się zastanawiał, jak by to było, gdyby dzisiejszy dzień nie potoczył się tak, jak się potoczył.

Milknij, żeby wziąć oddech.

– Czy to ci odpowiada? – pyta.



DANIEL

Mówi, że tak. Nie jestem gotów, by się z nią pożegnać, i nigdy nie będę. Chwytam ją za rękę i w milczeniu ruszamy do stacji metra.

Plecak zarzuciła na jedno ramię, znów widzę napis na jej kurtce: DEUS EX MACHINA. Naprawdę poznaliśmy się dopiero dzisiaj rano? W chwili, w której postanowiłem dać się ponieść wiatrowi? Czegóż bym nie oddał, żeby Bóg rzeczywiście znajdował się w maszynie.

Tytuł: Miejscowy chłopak pokonuje urząd do spraw imigracji, podlegający ministerstwu spraw wewnętrznych, a potem żyje długo i szczęśliwie ze swoją Prawdziwą Miłością dzięki luce prawnej, której istnienie zostało odkryte w ostatniej chwili, po czym nastąpiła scena pościgu, żeby zdążyć przed odlotem samolotu i zabrać ją z pokładu.

Ale tak się niestety nie stanie.

Przez cały dzień wierzyłem, że jesteśmy sobie pisani na wieki. Wszyscy ludzie, wszystkie miejsca i zbiegi okoliczności pchały nas ku sobie. Ale może to nieprawda. Może przeznaczenie chciało, żebyśmy spędzili ze sobą tylko jeden dzień. Może jesteśmy dla siebie jedynie momentem przejściowym, stacją przesiadkową na drodze do innego celu.

Może stanowimy zaledwie dygresję cudzej historii.



NATASHA

Wiedziałaś, że Jamajka zajmuje szóste miejsce na świecie pod względem liczby popełnianych morderstw? – pytam go.

Siedzimy w pociągu linii Q zmierzającym na Brooklyn. Jest wypełniony ludźmi wracającymi z pracy, stoimy i przytrzymujemy się słupka. Daniel położył rękę na moich plecach, nie przestaje mnie dotykać, odkąd wyszliśmy z budynku. Może jeśli będzie mnie trzymał, nie odjadę.

– Kto zajmuje pierwszą piątkę? – pyta.

– Honduras, Wenezuela, Belize, Salwador i Gwatemala.

– Hm.

– A wiedziałaś, że Jamajka jest nadal członkiem Wspólnoty Narodów?

– pytam i nie czekam na odpowiedź. – Jestem poddaną królowej brytyjskiej.

Gdybym miała miejsce na ukłon, z pewnością bym dygnęła. Pociąg hamuje z piskiem, więcej osób wsiada, niż wysiada.

– Co jeszcze mogę ci powiedzieć? Liczba ludności wynosi dwa przecinek dziewięć miliona. Coś między jednym a dziesięcioma procentami mieszkańców deklaruje się jako rastafarianie. Dwadzieścia procent Jamajczyków żyje na granicy ubóstwa.

Daniel przysuwa się tak blisko, że otacza mnie z każdej strony.

– Powiedz mi jedną dobrą rzecz, jaką zapamiętałaś – prosi. – A nie

suche fakty.

Nie chcę wykazywać optymizmu. Nie chcę przystosowywać się do nowej przyszłości.

– Wyjechałam stamtąd, kiedy miałam osiem lat. Niewiele pamiętam.

– Rodzina? – naciska. – Kuzynostwo? Przyjaciele?

– Pamiętam, że byli, ale nie znam ich. Mama zmusza nas co roku w Boże Narodzenie, żebyśmy rozmawiali z nimi przez telefon. Wyśmiewają się z mojego amerykańskiego akcentu.

– Jedna dobra rzecz. – Oczy Daniela wydają się teraz mocno brązowe, prawie czarne. – Za czym najbardziej tęskniłaś po przeprowadzce do Stanów?

Nie muszę się nad tym specjalnie zastanawiać.

– Za plażami. Tutaj ocean jest jakiś taki dziwny. Ma niewłaściwy odcień niebieskiego. Woda jest zimna i wzburzona. Jamajka leży nad Morzem Karaibskim, morze ma zielononiebieski odcień i jest spokojne. Można iść i iść, a woda nadal sięga do pasa.

– Brzmi nieźle – odpowiada. Głos mu drży. Boję się podnieść wzrok, bo za chwilę oboje będziemy płakać w pociągu.

– Chcesz dokończyć pytania z części trzeciej? – proponuję.

Wyciąga komórkę.

– Numer dwudziesty dziewiąty. „Podziel się z partnerem/partnerką najbardziej zawstydzającym wydarzeniem w twoim życiu”

Pociąg się zatrzymuje, tym razem więcej osób wysiada. Robi się luźniej, jednak Daniel stoi blisko mnie, jakby nadal panował ścisk.

– Dzisiaj rano w sklepie z płytami, to spotkanie z Robem było zawstydzające.

– Naprawdę? Nie wydawałaś się zawstydzona, raczej wkurzona.

– Mam pokerową twarz, w przeciwieństwie do niektórych osób. – Trącam go ramieniem.

– Skąd to zawstydzenie?

– Zdradził mnie z nią. Za każdym razem, gdy ich widzę, mam wrażenie, że może nie byłam dla niego wystarczająco dobra.

– Ten facet to krętacz. To nie ma nic wspólnego z tobą. – Daniel chwyta mnie za rękę i mocno trzyma. Nawet podoba mi się ta jego żarliwość.

– Wiem. Zadzwoiłam do niego później i zapytałam, dlaczego mnie zdradził.

Zaskoczyłam go.

– Poważnie? I co powiedział?

– Że chciał i ją, i mnie.

– Co za dupek. Jeszcze raz go zobaczę, a skopię mu tyłek.

– Widzę, że odkąd wzięłaś udział w swojej pierwszej bójce, zasmakowała ci krew.

– Jestem wojownikiem, a nie kochankiem – odpowiada, błędnie cytując tekst piosenki Michaela Jacksona^[7]. – Twoi rodzice mieli coś przeciwko temu, że jest biały?

– Nigdy go nie widzieli. – Nie wyobrażam sobie, że mógłby rozmawiać z moim ojcem, sam widok byłby dla mnie torturą. Poza tym nie chciałam, żeby zobaczył, jak małe jest nasze mieszkanko. A pewnie chodziło też o to, że wcale nie pragnęłam, by mnie poznał. Z Danielem jest zupełnie inaczej. Chcę, żeby wiedział o mnie wszystko.

Światła migają, gasną na chwilę, ale zaraz znów się włączają. Daniel ściska mnie za palce.

– Moi rodzice chcą, żebym spotykał się wyłącznie z Koreankami – mówi.

– Widzę, że doskonale ci to idzie.

– Nie, żebym spotykał się z tłumami dziewczyn. Jak dotąd tylko z jedną, Koreanką. Za to Charlie? Można by pomyśleć, że ma alergię na dziewczyny o skórze innej niż biała.

Wagon się kołysze, muszę się przytrzymać obiema rękami.

– Chcesz poznać sekret twojego brata?

Kładzie dłonie na moich palcach.

– Co to za sekret?

– Charlie nie lubi samego siebie.

– Tak sądzisz? – Daniel się zamyśla. Chciałby, żeby istniał powód, dla którego jego brat jest taki, a nie inny.

– Jestem pewna.

Pociąg pokonuje ze zgrzytem długi zakręt. Daniel przytrzymuje mnie, kładąc mi rękę na plecach, ale jej nie zabiera.

– Dlaczego wasi rodzice akceptują tylko Koreanki? – pytam.

– Myślą, że je rozumieją. Nawet te, które się tu wychowały.

– Ale przecież one są w takim stopniu Koreankami, co Amerykankami.

– Nie twierdzę, że to logiczny argument – odpowiada z uśmiechem. –

A jak to jest u ciebie? Twoi rodzice interesują się, z kim się umawiasz?

Wzruszam ramionami.

– Nigdy o to nie pytali. Ale pewnie woleliby, żebym w końcu wyszła za mąż za czarnoskórego chłopaka.

– Dlaczego?

– Z tych samych powodów, dla których twoi preferują Koreanki. Że niby lepiej go rozumieją. A on ich.

– Przecież nie wszyscy ludzie o ciemnej skórze są tacy sami.

– Ta sama zasada dotyczy też Koreanek.

– Rodziców cechuje znaczna głupota – mówi Daniel i nie do końca żartuje.

– Pewnie chcą nas chronić.

– Przed czym? Kogo w ogóle to obchodzi? Na tym etapie sami powinniśmy mieć własne zdanie.

– Może nasze dzieci będą je miały – odpowiadam i ledwo słowa wychodzą z moich ust, a ja już ich żałuję.

Światła gasną i zatrzymujemy się pomiędzy stacjami. Koncentruję się

na żółtopomarańczowej poświacie lampek w tunelu.

– Nie miałam na myśli naszych dzieci – rzucam w ciemność. – Tylko kolejne pokolenie.

– Wiem, co miałaś na myśli – odpowiada cicho.

Teraz, kiedy o tym pomyślałam i powiedziałam na głos, nie mogę tego od-myśleć ani cofnąć moich słów. Jak wyglądałyby nasze dzieci? Czuję się, jakbym straciła coś, chociaż nawet nie zdawałam sobie sprawy, że tego pragnę.

Wjeżdżamy na stację Canal Street, na następnej już wysiadamy. Drzwi się zamykają, a my odwracamy się do okna. Kiedy wyłaniamy się z tunelu, pierwsze, co widzę, to most brooklyński. Zmierzch dawno już zapadł, długie liny pomiędzy pylonami są już podświetlone. Śledzę wzrokiem ich łukowaty kształt. Most wygląda przepięknie w nocy, ale to krajobraz miasta mnie zawsze zdumiewa. Przypomina wielką rzeźbę z oświetlonego szkła i metalu, zmechanizowane dzieło sztuki. Z oddali miasto wydaje się takie uporządkowane i zaplanowane, jak gdyby wszystko powstało jednocześnie zgodnie z jedną koncepcją. Dopiero gdy człowiek zniknie wśród ulic, zaczyna odczuwać miejski chaos.

Wracam myślami do naszego pobytu na dachu. Wyobrażałam sobie wtedy miasto podczas budowy, teraz widzę je oczami wyobraźni w apokaliptycznej przyszłości. Światła gasną, szkło odpada, zostają tylko metalowe szkielety budowli, ale i one w końcu zardzewieją i się wykruszą. Ulice zarosną dziką przyrodą, wypełnią je dzikie zwierzęta. Miasto będzie piękne, ale zniszczone.

Znowu wjeżdżamy do tunelu. Wiem, że zawsze już będę porównywała każde miasto do Nowego Jorku. Tak samo, jak od dziś każdego chłopaka będę porównywać do Daniela.



DANIEL

A co było najbardziej zawstydzającego w twoim życiu? – pyta Natasha, gdy most znika nam z pola widzenia.

– Żartujesz, prawda? Byłaś przy tym. Kiedy mój ojciec kazał ci zrobić coś z włosami, a mój brat pozwolił sobie żartować, że mam małego penisa.

Śmieje się.

– Rzeczywiście, było dość strasznie.

– Mogę żyć tysiąc razy, a to i tak będzie najbardziej zawstydzającą rzeczą, jaka mi się przytrafiła.

– No nie wiem. Twój tata i Charlie na pewno wymyślą coś, żeby to przebić.

Wydaję z siebie jęk i pocieram sobie kark.

– Wszyscy powinniśmy przyjść na świat z kartą „Rodzina – zrób to jeszcze raz”. W wieku szesnastu lat człowiek miałby szansę przyjrzeć się uważnie swojej sytuacji i albo zostać w starej rodzinie, albo przejść do nowej.

Natasha chwyta rękę, którą się masowałem.

– Mógłbyś sobie wybrać nową rodzinę? – pyta.

– Skądże. Trzeba byłoby zaryzykować.

– Czyli po prostu któregoś dnia stanąłbyś na progu domu obcych ludzi?

– Nie dopracowałem jeszcze szczegółów. Może po podjęciu decyzji przychodziłbyś na świat na nowo w nowej rodzinie.

– A twoja stara uważałaby, że umarłeś?

– Właśnie.

– To okrutne.

– No dobra, dobra. Może zapominaliby o twojej egzystencji. Zresztą, chyba niewiele osób chciałoby się zamienić?

– Nie zgadzam się. – Natasha kręci głową. – Myślę, że mnóstwo ludzi by tego chciało. Na świecie jest sporo złych rodzin.

– A ty byś chciała? – pytam.

Przez chwilę milczy, zastanawia się, a ja wsłuchuję się w rytm pociągu. Nigdy wcześniej nie marzyłem o tym, żeby metro jechało wolniej.

– Czy mogłabym oddać moją kartę komuś, komu byłaby naprawdę potrzebna? – pyta. Wiem, że myśli teraz o swoim tacie. Całuję ją we włosy. – A co z tobą? – pyta. – Zostałbyś w swojej rodzinie?

– Czy w grę wchodzi wykorzystanie karty, żeby wysiudać Charliego?
Śmieje się.

– Może te karty nie są jednak aż tak dobrym pomysłem. Wyobrażasz sobie, co by było, gdyby każdy człowiek mógł namieszać w cudzym życiu? Chaos.

Tylko że ten problem już nas dotyczy. Taki właśnie mamy wpływ na siebie nawzajem.



NATASHA

Dziwnie jest przyjechać w moje okolice z Danielem. Próbuję widzieć dzielnicę jego oczami. Po względnie bogatym centralnym Manhattanie nasza część Brooklynu wydaje się jeszcze biedniejsza. Na ulicy, którą zwykle wracam do domu, stoją podobne do siebie sklepy. Są tu idiotyczne jamajskie knajpy, chińskie restauracje z kuloodpornymi szybami, sklepy monopolowe o takich samych witrynach, outlety odzieżowe i gabinety kosmetyczne. Pełno tu czegoś w rodzaju delikatesów łamanych przez sklep spożywczy, z oknami całkowicie oklejonymi reklamami piwa i papierosów. Tak samo często można tu spotkać punkty realizacji czeków. Wszystkie lokale są ściśnięte obok siebie, jakby każdy walczył o tę samą nieruchomość.

Cieszę się, że jest ciemno, przynajmniej Daniel nie zobaczy, jakie to wszystko biedne. Ledwo przychodzi mi to do głowy, a jest mi wstyd za takie myśli.

Daniel ujmuje moją rękę i przez chwilę idziemy w milczeniu. Czuję na sobie zaintrygowany wzrok i dociera do mnie, że taka reakcja byłaby w naszym przypadku normalnością.

- Ludzie się na nas gapią.
- To dlatego, że jesteś taka śliczna – odpowiada bez wahania.
- A więc zauważyłaś? – dociekam.
- Oczywiście, że zauważyłem.

Zatrzymuję się w oświetlonym wejściu do pralni samoobsługowej i nagle otacza nas zapach detergentów.

– Wiesz, dlaczego tak patrzą, prawda?

– Albo dlatego, że ja nie jestem czarnoskóry, albo ponieważ ty nie jesteś Koreanką. – Jego twarz kryje się w cieniu, ale słyszę uśmiech w jego głosie.

– Pytam poważnie – mówię z frustracją. – To ci nie przeszkadza?

Nie wiem, dlaczego drażę ten temat. Może potrzebny mi dowód, że gdybyśmy mieli szansę na kontynuację znajomości, nie załamalibyśmy się pod ciężarem tych spojrzeń.

Chwyta moje obie ręce, stoimy teraz naprzeciwko siebie.

– Może i mi przeszkadza – mówi – choć jedynie marginalnie. To jak natrętne brzęczenie, denerwujące, ale niezagrażające życiu.

– Jak myślisz, dlaczego oni to robią? – domagam się odpowiedzi.

Przyciąga mnie do siebie.

– Widzę, że to dla ciebie ważne, i chciałbym podać ci jakiś dobry powód. Prawda jest jednak taka, że mam to w nosie. Może jestem naiwny, ale zupełnie mnie nie obchodzą cudze opinie na nasz temat. Mam gdzieś, czy jesteśmy dla nich nowością. Mam gdzieś całą otoczkę polityczną. Nie obchodzi mnie, czy twoi rodzice to zaaprobują, i mam kompletną, ale to kompletną zwałkę na to, co powiedzą moi. Obchodzisz mnie tylko ty i jestem pewien, że miłość pokona te gówniane bzdury. Bo to są gówniane bzdury. Załamywanie rąk. Gadka o niedopasowaniu kulturowym, chronieniu tradycji, tego, co będzie z dziećmi. To wszystko to czyste, stuprocentowe gówno, a ja nie zamierzam się nim przejmować.

Uśmiecham się w jego objęciach. Mój poeta z włosami związanymi w kucyk. Nigdy nie sądziłam, że nieprzejmowanie się może mieć znamiona rewolucji.

Skrećamy w uliczkę pełną budynków mieszkalnych, a ja nadal próbuję

widzieć okolicę oczami Daniela. Mijamy rząd połączonych domów pokrytych sidingiem. Są małe i stare, ale zadbane i kolorowe. Na werandach stoi o wiele więcej ozdób i roślin, niż zapamiętałam.

Kiedyś mama rozpaczliwie wręcz pragnęła mieć taki domek. Na początku tego roku, jeszcze zanim się to wszystko zaczęło, zabrała mnie i Petera, żeby obejrzeć wystawiony na sprzedaż budynek. Miał cztery pokoje i przestronną kuchnię, a także podpiwniczenie, które mama mogłaby wynajmować, dzięki czemu miałyby dodatkowy dochód. Peter uwielbia mamę, a doskonale sobie zdawał sprawę, że nigdy nie będzie nas stać na taki dom, więc udawał, że mu się wcale nie podoba. Okropnie wybrzydzał.

– Ogród jest za mały i wszystkie rośliny w nim umarły – powiedział. Cały czas trzymał się blisko mamy, więc kiedy wracaliśmy do domu, nie była smutniejsza niż wcześniej.

Mijamy kolejne podobne domy, aż w końcu okolica się zmienia. Teraz otaczają nas głównie ceglane bloki z mieszkaniami na wynajem.

– Uprzedzam, będzie bałagan przez pakowanie – mówię do Daniela.

– Okej. – Kiwa głową.

– I tam jest naprawdę ciasno.

Nie dodaję, że mamy tylko dwa pokoje, sam się za chwilę przekona. Zresztą, za kilka godzin to już nie będzie moje mieszkanie.

Kiedy docieramy do wejścia, na schodach siedzą małe dziewczynki spod 2C. Na widok Daniela wstydzą się i nie zagadują mnie na śmierć, jak to zwykle mają w zwyczaju. Zatrzymuję się przy wiszącym na ścianie rzędzie metalowych skrzynek na listy. Nic nie przyszło, w skrzynce tkwi jedynie ulotka chińskiej restauracji na wynos. To ulubiony lokal mojego ojca, stamtąd właśnie przyniósł nam dania, gdy zapraszał nas na przedstawienie.

Zawsze gdy się wchodzi, ktoś coś gotuje, na korytarzu pachnie apetycznie masłem, cebulą, curry i innymi przyprawami. Mieszkamy

na drugim piętrze, prowadzę Daniela do schodów. Jak zwykle nie działa oświetlenie na parterze i pierwszym piętrze. Idziemy w milczeniu po ciemku.

– To tutaj – mówię, stając przed drzwiami mieszkania 3A. W sumie trochę za wcześnie, żeby pokazywać Danielowi dom i moją rodzinę. Gdybyśmy mieli więcej czasu, poznałby już rozmaite historyjki. Wiedziałyby, że zasłona w salonie oddziela „pokój” Petera od mojego. Zdawałyby sobie sprawę, że moją najcenniejszą własnością jest mapa kosmosu. Wiedziałyby, że jeśli moja mama zaproponuje mu coś do zjedzenia, powinien podziękować i wszystko skonsumować, nawet jeśli nie jest w ogóle głodny.

Ponieważ nie wiem, jak przekazać mu naraz tyle rzeczy, powtarzam to, co mówiłam już wcześniej:

– Będzie bałagan.

Daniel stojący pod moimi drzwiami wydaje się dziwnym dysonansem. Jednocześnie tu pasuje, ale i nie pasuje. Znam go od zawsze, a przecież dopiero co się poznaliśmy.

Nasza historia jest zbyt skompresowana. Próbujemy upchnąć całe życie w jeden dzień.

– Czy mam zdjąć marynarkę? – pyta. – W tym garniturze czuję się jak kretyn.

– Niepotrzebnie się denerwujesz – stwierdzam.

– Za chwilę spotkam twoich rodziców. Jak miałbym się nie denerwować? – Rozpina marynarkę, ale jej nie zdejmuje. Dotykam jego spuchniętej wargi.

– Na szczęście możesz kompletnie wszystko spieprzyć. Najprawdopodobniej nigdy ich już nie zobaczysz.

Daniel uśmiecha się nieznacznie, ze smutkiem. Próbuję znaleźć dobre strony w naszej sytuacji i on to wie. Wyjmuję klucz z plecaka i otwieram drzwi.

Wszędzie panuje pełna iluminacja, rozbrzmiewa zbyt głośno dance hall reggae Petera, aż czuję rytm w klatce piersiowej. Pod drzwiami stoją trzy spakowane walizki. Kolejne dwie leżą otwarte na podłodze.

Od razu zauważam mamę.

– Wyłącz tę muzykę – nakazuje Peterowi na mój widok. Mój brat wykonuje polecenie. Cisza aż razi w uszy.

– Jezu, Tasha. Dzwonię i dzwonię... – mówi mama, odwracając się do mnie, ale dopiero po chwili dostrzega Daniela. Natychmiast milknie i przez dłuższą chwilę patrzy to na niego, to na mnie. – Kto to? – pyta.



DANIEL

Natasha przedstawia mnie mamie.

– To mój przyjaciel. – Mogę przysiąc, że usłyszałem wahanie przed słowem „przyjaciel”. Jej mama także, bo teraz przygląda mi się tak, jakbym był kosmitą.

– Przykro mi, że spotykamy się w takich okolicznościach, pani Kingsley – mówię i podaję jej rękę.

Kobieta rzuca spojrzenie na Natashę (z gatunku „jak mogłaś mi to zrobić?”), po czym wyciera dłoń o sukienkę, podaje mi ją na krótko i uśmiecha się jeszcze krócej.

Natasha prowadzi mnie z niewielkiego przedpokoju do salonu. A przynajmniej tak mi się wydaje, że to salon. Na podłodze leży zmięta niebieska tkanina, sznur przecina pomieszczenie na dwie części. Zauważam, że wszystko występuje tu parami – dwie sofy, dwie komody, dwa biurka. A więc to pokój, który Natasha dzieli z Peterem. Kiedy mówiła, że mają małe mieszkanie, nie sądziłem, że chce powiedzieć, iż są biedni.

Jest tyle rzeczy, których o niej nie wiem.

Jej brat podchodzi do mnie z wyciągniętą ręką i uśmiechem na twarzy. Ma dredy i jedną z najbardziej przyjaznych min, jakie kiedykolwiek widziałem.

– Tasha nigdy jeszcze nie przyprowadziła do domu chłopaka – mówi.

Jego zaraźliwy uśmiech jest teraz jeszcze szerszy.

Odpowiadam tym samym i ściskam mu dłoń. Natasha i jej mama przyglądają się nam otwarcie.

– Tasha, musimy porozmawiać – mówi pani Kingsley.

Natasha nie przestaje się wpatrywać w swojego brata i we mnie. Czyżby wyobrażała sobie alternatywną przyszłość, w której się zaprzyjaźniamy? Bo ja tak.

– Czy chodzi o Daniela? – pyta w końcu, odwracając się do mamy.

Ta zaciska wargi.

– Tasha... – Nawet ja słyszę w jej głosie ton ostrzegający „mama zaraz się wścieknie”, jednak Natasha postanawia to zignorować.

– Ponieważ jeżeli chodzi o Daniela, możemy porozmawiać o tym tutaj. To mój chłopak – mówi i zerka na mnie pytająco. Kiwam głową.

W tej samej chwili do pokoju wchodzi jej ojciec.

W wyniku zaburzeń czasoprzestrzeni miejscowi ojcowie mają znakomite wyczucie czasu.

– Chłopak? – pyta. – A od kiedy ty masz chłopaka?

Odwracam się, by mu się przyjrzeć. Tym samym uzyskuję odpowiedź na pytanie, do kogo Natasha jest podobna. Wygląda zupełnie jak jej ojciec, tyle że w postaci ślicznej dziewczyny.

I nie krzywi się jak on. Nie wiedziałem, że można się aż tak bardzo krzywić.

Ma wyraźny jamajski akcent, znaczenie tego, co mówi, dociera do mnie dopiero kilka sekund po tym, jak wyartykułuje słowa.

– Więc to robiłaś cały dzień, zamiast pomóc rodzinie się spakować? – pyta, wchodząc głębiej do pokoju.

Nie licząc tego, co Natasha mi powiedziała, nie znam historii ich relacji, ale widzę ją wypisaną na jej twarzy. Dostrzegam gniew, ból i niedowierzanie. Moja pokojowa natura nie chce, żeby się kłócili, więc kładę rękę w dole jej pleców.

– Jest okej – mówi mi cicho. Widzę, że się do czegoś przygotowuje.
Staje na wprost ojca.

– Nie – odpowiada. – Przez cały dzień próbowałam naprawić twoje błędy. Próbowałam zrobić wszystko, żeby nasza rodzina nie została wyrzucona z tego kraju.

– Nie sprawiasz takiego wrażenia – rzuca jej ojciec i przenosi wzrok na mnie, marszcząc czoło. – Znasz sytuację?

Jestem zaskoczony, że się do mnie odezwał, więc tylko kiwam głową w odpowiedzi.

– W takim razie wiesz, że to nie jest właściwy moment na goszczenie obcych.

Plecy Natashy sztywnieją pod moimi palcami.

– On nie jest obcy – mówi. – To mój gość.

– A to jest mój dom – odpowiada jej ojciec i się prostuje.

– Twój dom? – W głosie Natashy rozbrzmiewa niedowierzenie. Cokolwiek ją powstrzymywało przed wybuchem, zaczyna się rozplątywać w powietrzu. Natasha staje na środku pokoju, rozkłada szeroko ręce i zatacza nimi koło. – To mieszkanie, w którym tkwiliśmy przez dziewięć lat, ponieważ cały czas uważałeś, że już za chwilę los się do ciebie uśmiechnie, jest twoim domem?

– Kochanie. To nie pora na wracanie do tego tematu – odzywa się mama z progu.

Natasha otwiera usta, by coś jeszcze dodać, ale zaraz je zamyka. Widzę, że się w sobie kurczy.

– Dobrze, mamó – odpowiada i rezygnuje z tego, co chciała powiedzieć. Ciekawe, jak często robi to dla swojej rodzicielki.

Sądziłem, że to koniec dyskusji, a jednak się myliłem.

– O nie – odzywa się jej ojciec. – Chcę usłyszeć, co ona ma do powiedzenia. – Staje w rozkroku i krzyżuje ręce na piersi.

Natasha przyjmuje identyczną pozycję i stoją tak naprzeciwko siebie

jak lustrzane odbicia.



NATASHA

Dałabym sobie spokój ze względu na mamę. Zawsze tak robię. Nie dalej jak wczoraj wieczorem powiedziała, że nasza czwórka musi zjednoczyć front.

– Na początku będzie ciężko – oznajmiła. Mieliśmy mieszkać u jej matki, dopóki nie staniemy na nogi i nie będziemy mogli wynająć mieszkania. – Nigdy nie sądziłam, że w moim życiu do tego dojdzie – dodała przed pójściem spać.

Dałabym sobie spokój, gdybym nie poznała Daniela. Gdyby to spotkanie nie powiększyło o jeden, ale za to niezwykle ważny punkt listy rzeczy, które stracę wraz z deportacją. Dałabym sobie spokój, gdyby nie to, że ojciec użył celowo silnego akcentu jamajskiego. To jego gra. Słyszac, jak mówi, można by pomyśleć, że nigdy nie wyjechał z Jamajki, że ostatnie dziewięć lat w ogóle nie miało miejsca. On naprawdę uważa, że nasze życie jest fikcją. Mam serdecznie dość jego udawania.

– Słyszałam, co powiedziałaś do mamy po przedstawieniu. Że najbardziej w życiu żałujesz tego, że masz nas.

Zwiesza ramiona, jego twarz przestaje się krzywić. Nie potrafię nazwać emocji, które zastępują poprzedni grymas, ale wydają się szczere. Wreszcie. Wreszcie coś prawdziwego.

Próbuje się wtrącić, ale ja jeszcze nie skończyłam.

– Przykro mi, że życie nie dało ci tego wszystkiego, czego się spodziewałeś. – Mówiąc to, zdaję sobie sprawę, że tak właśnie myślę. Teraz wiem, czym jest rozczarowanie, i rozumiem, że może trwać całe wieki.

– Nie mówiłem poważnie, Tasha. To tylko taka gadanina. Ja tylko...

Unoszę rękę, żeby przerwać te przeprosiny. Nie tego od niego oczekuję.

– Chcę, żebyś wiedział, że wtedy, w tym przedstawieniu, byłeś naprawdę dobry. Niesamowity. Genialny.

W oczach ma łzy. Nie jestem pewna, czy ze względu na mój komplement, z poczucia żalu, czy jeszcze z innego powodu.

– Może miałeś rację – ciągnę. – Może nie była ci pisana rodzina i dzieci. Może faktycznie los cię oszukał.

Kręci głową, próbuje zaprzeczyć moim słowom.

– To tylko taka gadanina, Tasha. Nic przez to nie chciałem powiedzieć.

Oczywiście, że chciał. Chciał i nie chciał. Jedno i drugie jednocześnie.

– Nieważne, czy chciałeś. To jest nasze życie. Nie jest tymczasowe ani przejściowe, nie jest udawane i nie ma w nim miejsca na żadne powtórki. – Brzmie zupełnie jak Daniel.

Kiedy podsłuchałam rozmowę ojca z mamą, najgorsze w tym było to, że przestłoniła ona wszelkie dobre wspomnienie, jakie o nim miałam. Czy kiedy oglądaliśmy razem mecze krykieta, już żałował, że przyszłam na świat? A kiedy ścisnął mnie mocno na lotnisku po naszym przylocie do Stanów? A gdy się urodziłam?

Łzy płyną mu teraz po twarzy. Przyglądanie się, jak płacze, sprawia mi większy ból, niż sądziłam. Ale jest jeszcze coś, co muszę powiedzieć:

– Nie wolno ci żałować, że masz rodzinę.

Wydaje z siebie dźwięk – teraz już wiem, jak brzmi ból całego życia.

Ludzie nieustannie popełniają błędy. Drobne, jak na przykład ustawienie się w niewłaściwej kolejce, w której pani kupuje tysiąc

produktów i płaci setką różnych kart i bonów.

Niekiedy popełniają błędy średniego kalibru. Idą na studia medyczne, zamiast oddawać się pasji.

A czasem wielkie.

Dają za wygraną.

Siadam na mojej sofie, jestem bardziej zmęczona, niż mi się wydawało, ale wcale nie taka wściekła, jak sądziłam.

– Kiedy wrócimy na Jamajkę, musisz chociaż spróbować. Zacznieś chodzić na castingi. I będziesz lepszy dla mamy. Ona robiła wszystko, jest wykończona i jesteś jej to winien. Przestaniesz żyć w swojej własnej głowie.

Teraz płacze także i mama. Peter podchodzi do niej i się tuli. Ojciec rusza do nich z rozpostartymi ramionami, a mama go przyjmuje. Wszyscy jednocześnie odwracają się w moją stronę i pokazują, że bym do nich dołączyła. Ja jednak najpierw odwracam się do Daniela. Przytula mnie tak mocno, jakbyśmy się już żegnali.



DANIEL + NATASHA

Taksówkarz pakuje walizkę Natashy do bagażnika. Peter i rodzice pojechali już oddzielnie na lotnisko.

Wsiadają. Natasha kładzie głowę na ramieniu Daniela, jej włosy łaskoczą go w nos. Chciałby mieć czas, by przyzwycząić się do tego uczucia.

– Myślisz, że ostatecznie by nam się udało? – pyta go dziewczyna.

– Tak – odpowiada bez wahania. – A ty?

– Też.

– W końcu poszłaś po rozum do głowy. – W jego głosie słychać uśmiech.

– Jak twoi rodzice by to znieśli?

– Na pewno zabrałoby im to mnóstwo czasu. Ojcu dłużej. Ale chyba nie pojawiliby się na naszym weselu.

Natasha widzi oczami wyobraźni ten dzień z przyszłości. Ocean. Daniela wyglądającego tak przystojnie we fraku. Jej dłonie na jego twarzy, usuwające smutek wywołany nieobecnością rodziców. Radość z jego strony, gdy w końcu powie sakramentalne „tak”

– Ile chciałbyś mieć dzieci? – pyta, kiedy już mija ból wywołany wizją.

– Dwoje. A ty?

Unosi głowę nad jego ramienia, waha się, a potem przyznaje:

– Nie jestem pewna, czy w ogóle chcę mieć dzieci. Dałbyś radę to

zaakceptować?

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi, dopiero po chwili odpowiada:

– Chyba tak. Nie wiem. Może ostatecznie zmieniałabyś zdanie. Albo ja bym zmienił.

– Muszę ci coś powiedzieć – odzywa się Natasha, znów opierając głowę o jego ramię.

– Co takiego?

– Nie powinieneś być lekarzem.

Odwraca się i kryje uśmiech w jej włosach.

– A co z praktycznym podejściem do życia?

– Praktyczność jest przereklamowana.

– A tobie nadal się marzy kariera *data scientist*?

– Nie wiem. Może jednak nie. Fajnie byłoby robić coś związanego z pasją.

– No patrz, jeden dzień, a tyle zmian – mówi Daniel.

Milczą, bo cóż można powiedzieć? To był długi dzień.

W końcu Natasha przerywa ponurą ciszę.

– To ile nam jeszcze zostało pytań?

Daniel wyjmuje komórkę.

– Dwa z trzeciej grupy. No i to patrzenie sobie w oczy przez cztery minuty.

– Możemy to zrobić tutaj.

Z przedniego fotela kierowcy rozlega się głos taksówkarza, Miguela:

– Wiecie, że wszystko słyszę, co nie? – pyta, zerkając w lusterko wsteczne. – I widzę. – Śmieje się głośno, siarczyście. – Niektórzy wsiadają do taksówki i myślą, że jestem ślepy i głuchy. A tak nie jest. To taka uwaga na przyszłość. – Znów wybucha gromkim śmiechem, a Daniel i Natasha do niego dołączają.

Śmiech zamiera im jednak na ustach, gdy uświadamiają sobie powagę sytuacji. Daniel ujmując twarz Natashy w dłoń i całują się delikatnie.

Chemia nadal istnieje między nimi. Oboje są tacy ciepłi, tacy niepewni, co zrobić z rękoma, które wydają się stworzone wyłącznie do dotykania tej drugiej osoby.

Miguel nic nie mówi. Miał w swoim życiu złamane serce, wie, jak to wygląda.

Pierwszy odzywa się Daniel.

– Pytanie trzydzieste czwarte. „Co uratowałabyś z pożaru?”

Natasha się zamyśla. Ma wrażenie, jakby cały świat stał w płomieniach. Jedyna rzecz, którą chciałaby ocalić, jest nie do ocalenia. Mówi Danielowi:

– Na razie nie mam takiej rzeczy, ale się zastanowię.

– Dobrze. U mnie to prosta sprawa. Mój notatnik – mówi i dotyka kieszeni marynarki, jak gdyby chciał się upewnić, czy nadal go ma. – I ostatnie pytanie. „Czyja śmierć ze wszystkich członków rodziny byłaby dla ciebie najgorsza? Dlaczego?”

– Mojego taty.

Daniel zauważa, że po raz pierwszy nazwała go „tata”, a nie „ojcem”.

– Dlaczego? – pyta.

– Bo ma tu jeszcze sporo do zrobienia. A dla ciebie?

– Twoja.

– Nie jestem twoją rodziną.

– Owszem, jesteś – mówi, myśląc o tym, co Natasha powiedziała wcześniej na temat wieloświatów. W jakimś innym Wszechświecie będą małżeństwem, z dwójką dzieci, a może z żadnym. – Nie musisz mówić mi tego samego. Chciałem tylko, żebyś wiedziała.

Istnieje tyle rzeczy, które Natasha chciałaby mu powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć. Może dlatego Daniel chce zostać poetą: żeby znajdować właściwe słowa.

– Kocham cię, Danielu – mówi w końcu.

Chłopak się do niej uśmiecha.

– A więc pytania zadziałały.

Natasha się uśmiecha.

– Taaa, naukowo.

Mija chwila.

– Wiem – mówi wreszcie Daniel. – Wiem.



CZTERY MINUTY

Historia miłości

Daniel ustawia stoper w komórce na cztery minuty i ujmuje dłonie Natashy. Czy powinni trzymać się za ręce podczas eksperymentu? Nie jest pewien. Według badaczy to ma być ostatni krok do zakochania. A co, jeśli już jest się zakochanym?

Początkowo oboje czują się głupio. Natasha ma ochotę powiedzieć na głos, że to idiotyzm. Na ich twarzach zakwitają bezradne, niemal zakłopotane uśmiechy. Natasha odwraca wzrok, ale Daniel ściska jej palce. „Zostań ze mną” – chce powiedzieć.

W drugiej minucie nie są już tacy nieśmiali. Znikają uśmiechy, przyglądają się badawczo swoim twarzom.

Natasha przypomina sobie lekcje rozszerzonej biologii i to, co wie na temat oczu oraz ich funkcjonowania. Optyczny obraz twarzy zostaje wysłany do jej siatkówki. Siatkówka przekształca obrazy w impulsy nerwowe, te są przekazywane do mózgu za pomocą nerwu wzrokowego. Natasha wie, że nigdy nie zapomni, jak wygląda jego twarz. Będzie pamiętała, w którym momencie brązowe oczy stały się jej ulubionymi.

Z kolei Daniel próbuje znaleźć słowa, które najlepiej opisywałyby jej oczy. Są jednocześnie jasne i ciemne. Jakby ktoś zasłonił jaskrawą

gwiazdę grubą, ciemną kotarą.

W trzeciej minucie Natasha myśli o mijającym dniu, o tych wszystkich chwilach, które doprowadziły do obecnej. Widzi w myślach budynek urzędu imigracyjnego, tę dziwną strażniczkę, która muska palcem jej komórkę, dobre serce Lestera Barnesa, Roba, Kelly i ich kradzież w sklepie, spotkanie Daniela, to, jak Daniel ratuje jej życie, jak poznaje jego ojca i brata, *norebang*, pocałunki, muzeum, dach budynku, kolejne pocałunki, minę Daniela, kiedy mówił jej, że nie będzie mogła zostać w Stanach, płaczącego, wypełnionego poczuciem żalu tatę oraz chwilę w taksówce.

Daniel nie rozmyśla o tym, co było, ale o przyszłości. Czy to możliwe, by coś innego przywiodło ich kiedyś znów do siebie?

W ciągu ostatniej minuty w ich ciała wkrada się ból. Kolonizuje ich organizmy, rozprzestrzenia się pośród tkanek, mięśni, krwi i komórek.

Stoper sygnalizuje koniec czasu. Szepczą sobie obietnice, których prawdopodobnie nie będą mogli dotrzymać – telefony, maile, SMS-y, nawet loty międzynarodowe, chrzanić koszty.

– To niemożliwe, żeby ten dzień miał być wszystkim – mówi Daniel raz, a potem drugi.

Natasha nie werbalizuje swoich podejrzeń, tego, że „sobiepisanie” nie musi być równoznaczne z „na zawsze”.

Całują się i całują. A kiedy się wreszcie od siebie odrywają, są wyposażeni w nową wiedzę. Mają poczucie, że dzień ma zmienną długość, że na jego początku nigdy nie widzi się końca. Są przekonani, że miłość wiecznie wszystko zmienia.

Po to właśnie jest miłość.



NATASHA

Mama trzyma mnie za rękę, gdy wyglądam przez okno. „Wszystko będzie dobrze, Tasha” – mówi. Obie doskonale zdajemy sobie sprawę, że to raczej wyraz nadziei niż obietnica, ale i tak ją przyjmuję.

Samolot się wzbija w powietrze, znika świat takim, jakim go znałam, światła Nowego Jorku stają się punkcikami wielkości główki szpilki, aż w końcu wyglądają jak spadające na ziemię gwiazdy. Jedną z tych gwiazd jest Daniel. Uświadamiam sobie, że gwiazdy to coś więcej niż tylko poezja.

Jeśli zajdzie potrzeba, pokazują człowiekowi drogę.



DANIEL

Dzwoni mój telefon, to rodzice próbują się ze mną skontaktować po raz tysięczny. Będą wkurzeni, gdy wrócę do domu, ale nie szkodzi. Za rok o tej porze już mnie tu nie będzie. Nie wiem jeszcze, gdzie się znajdę, ale na pewno nie tutaj. Nie jestem pewien, czy studia są dla mnie. A już na pewno nie Yale. Przynajmniej na razie.

Czy popełniam błąd? Być może. Ale to mój błąd, moje życie.

Patrzę w niebo, wyobrażam sobie, że widzę samolot Natashy.

Nad Nowym Jorkiem wisi smog, który przesłania gwiazdy, satelity, asteroidy. Niekiedy spoglądam w górę i nic nie widzę.

Ale jedno jest prawdziwe: niemal wszystko, co znajduje się na nocnym niebie, świeci się. Nawet jeśli go nie widzimy, światło zawsze tam jest.



CZAS I ODLEGŁOŚĆ

Dalsza historia

Natasha i Daniel próbują utrzymywać kontakty i przez pewien czas im się to nawet udaje. Piszą do siebie maile, SMS-y, dzwonią.

Jednak czas i odległość to naturalni wrogowie miłości.

A dni wypełnione są po brzegi.

Natasha zapisuje się do szkoły w Kingston. Żeby móc iść na studia, musi zdać egzaminy: Caribbean Advanced Proficiency oraz maturę. Ponieważ brakuje pieniędzy, dorabia jako kelnerka, by wspomóc rodzinę. Udaje akcent jamajski tak długo, aż staje się jej rzeczywistym akcentem. Znajduje sobie przyjaciół. Uczy się lubić, a potem kochać swoją ojczyznę.

Natasha nie chce zapomnieć o Danielu, ale po prostu musi to zrobić. Nie potrafi żyć jednocześnie w dwóch światach: serce w jednym, a ciało w drugim. Zapomina o Danielu, żeby nie być rozdartą.

Daniel kończy szkołę średnią, ale odmawia pójścia na Yale. Wyprowadza się od rodziców, pracuje w dwóch miejscach i studiuje zaocznie w Hunter College. Wybiera filologię angielską i pisze krótkie, smutne wiersze. Nawet te z nich, które nie dotyczą Natashy, i tak jej dotyczą.

Daniel też nie chce zapomnieć o Natashy. Próbuje ją utrzymać przy

sobie jak najdłużej się da. Mimo dzielących ich kilometrów słyszy napięcie w jej głosie. W jej nowym akcencie wyczuwa rytm oddalania się.

Mijają kolejne lata.

Natasha i Daniel wkraczają w dorosły świat praktyczności i obowiązków.

Pięć lat po przeprowadzce mama Natashy zapada na ciężką chorobę i umiera przed upływem szóstego roku. Kilka miesięcy po pogrzebie Natasha ma ochotę zadzwonić do Daniela, ale minęło już tyle czasu. Natasha nie ufa własnym wspomnieniom.

Jej brat Peter kwitnie na Jamajce. Znajduje sobie wielu przyjaciół i wreszcie czuje się u siebie. W przyszłości, długo po śmierci mamy, zakocha się w miejscowej dziewczynie i się ożeni. Urodzi im się córka, dadzą jej na imię Patricia Marley Kingsley.

Samuel Kingsley przenosi się z Kingston do Montego Bay. Gra w miejscowym teatrze. Po śmierci żony wreszcie do niego dociera, że tamtego dnia w sklepie dokonał właściwego wyboru.

Rodzice Daniela sprzedają swój sklep parze Afroamerykanów. Kupują mieszkanie w Korei Południowej i dzielą swój czas między Koreę a Nowy Jork. W końcu przestają oczekiwać, że ich synowie będą stuprocentowymi Koreańczykami. Przecież urodzili się w Ameryce.

Charlie podciąga się w nauce i kończy studia na Harvardzie z dyplomem *summa cum laude*. Po zakończeniu edukacji w zasadzie nie kontaktuje się z rodziną. Daniel wypełnia pustkę w sercu rodziców na tyle, na ile potrafi. Wcale nie tęskni za bratem.

Mijają dalsze lata. Natasha już nie wie, co znaczył tamten dzień w Nowym Jorku. Sądzi, że sobie wyobraziła Daniela i wszystko, co się wtedy zdarzyło. Gdy wraca wspomnieniami do tamtych chwil, jest pewna, że wyidealizowała go sobie tak, jak to się robi z pierwszą miłością.

Ze spotkania z Danielem wyniknęła jednak jedna dobra rzecz. Natasha szuka pasji w życiu i odnajduje ją w fizyce. Niekiedy nocą, w tych bezbronnych chwilach poprzedzających nadejście snu, wspomina przeprowadzoną na dachu rozmowę o miłości i ciemnej materii. Daniel powiedział, że miłość i ciemna materia to to samo – to jedyna rzecz, dzięki której wszechświat się nie rozpada na kawałki. Za każdym razem, gdy o tym myśli, serce zaczyna jej bić szybciej, uśmiecha się do siebie w ciemności, a potem odkłada wspomnienie na półkę ze starymi, sentymentalnymi, nierealnymi rzeczami.

Daniel też nie wie, jak rozumieć tamten dzień, który kiedyś znaczył dla niego wszystko. Pamięta łańcuch zbiegów okoliczności, które doprowadziły do tego, że się spotkali i zakochali. Nawiedzonego maszynistę pociągu. Natashę pochłoniętą muzyką. Kurtkę DEUS EX MACHINA. Kradnącego ekschłopaka. Nieuważnego kierowcę bmw. Ochroniarza, który palił na dachu.

Oczywiście, gdyby Natasha mogła wysłuchać jego wspomnień, z pewnością zauważyłaby, że ostatecznie nie są razem, a więc to wszystko, co poszło dobrze, jednocześnie poszło źle.

Daniel pamięta jeszcze jedną chwilę: właśnie się odnaleźli po swojej pierwszej kłótni. Natasha mówiła o serii zdarzeń, które musiały zajść, żeby wszechświat mógł się uformować. Powiedziała, że miłość nie może się równać z czymś takim.

Zawsze sądził, że się myliła.

Ponieważ z bliska wszystko wygląda chaotycznie. Daniel uważa, że to kwestia skali. Wystarczy odsunąć się odpowiednio daleko i czekać odpowiednio długo, a wyłoni się porządek.

Może ich własny Wszechświat po prostu dłużej się kształtuje.



EPILOG

Irene: historia alternatywna

Minęło dziesięć lat, ale Irene nie zapomniała tamtej chwili – i dziewczyny – która ocaliła jej życie. Pracowała wtedy jako strażniczka w urzędzie imigracyjnym w Nowym Jorku. Jeden z urzędników – Lester Barnes – zatrzymał się przy jej stanowisku i powiedział, że pewna dziewczyna nagrała dla niej wiadomość. To były podziękowania. Irene nigdy się nie dowiedziała, za co jej dziękowano, ale słowa te przysłyły w samą porę. Pod koniec dnia Irene planowała bowiem popełnić samobójstwo.

Podczas przerwy obiadowej napisała list pożegnalny i w myślach przeszła już drogę na dach wieżowca, w którym mieszkała.

Gdyby nie to podziękowanie.

Ktoś ją zauważył – to był dla niej początek nowego.

Tego dnia wieczorem znowu słuchała albumu Nirvany. W głosie Kurta Cobaina usłyszała idealną, przepiękną rozpacz, napinał się tak bardzo od samotności i pragnienia, że powinien się załamać. Ale się nie załamał, nie pękł, co ją w sumie cieszyło.

Pomyślała o tej dziewczynie, która zadała sobie trud, by zadzwonić i zostawić wiadomość właśnie dla niej. Coś się wtedy zmieniło w Irene.

Nie na tyle, by uleczyć jej duszę, ale wystarczyło, żeby zadzwoniła

na gorącą linię dla samobójców. Ta rozmowa poprowadziła ją do terapii, a terapia do leków, które codziennie ratują jej życie.

Dwa lata po tamtej nocy Irene rzuciła pracę strażniczki. Przypomniała sobie, że w dzieciństwie marzyła o zostaniu stewardesą. Teraz jej życie jest proste i szczęśliwe, przeżywa je na pokładach samolotów. A ponieważ wie, że samolot bywa bardzo samotnym miejscem, i zdaje sobie sprawę, jak rozpaczliwa bywa samotność, poświęca wiele uwagi pasażerom. Robi to z żarliwością, której brak innym pracownikom obsługi samolotu. Pociesza tych, którzy w pojedynkę wracają do domu na pogrzeb, a smutek sący się z ich porów. Trzyma rękę tych, którzy cierpią na lęk wysokości i lęk przed otwartą przestrzenią. Uważa siebie za anioła stróża z metalowymi skrzydłami.

Teraz właśnie sprawdza wszystko przed odlotem, szuka pasażerów, którzy mogą wymagać pomocy. Młody mężczyzna na miejscu 7A pisze coś w niedużym czarnym notatniku. To Azjata, ma krótkie, ciemne włosy i dobrotliwe, choć poważne oczy. Przygryza długopis, pisze, znów gryzie. Irene podziwia jego brak zażenowania. Ten człowiek zachowuje się tak, jakby oprócz niego nikt już nie istniał na świecie.

Wzrok kobiety wędruje dalej i zatrzymuje się na kobiecie na miejscu 8C. Ma słuchawki na uszach i wielką fryzurę afro z końcówkami włosów pofarbowanymi na różowo. Irene zamiera. Zna tę twarz. Ciepło bijące od jej skóry. Długie rzęsy. Pełne wargi. Tę intensywność spojrzenia. Czy to możliwe, że właśnie spotkała dziewczynę, która ocaliła jej wtedy życie? Tę, której od dziesięciu lat pragnie podziękować?

Kapitan ogłasza start, Irene jest zmuszona zająć miejsce. Ze swojego siedzenia wpatruje się w kobietę, aż w końcu nie ma już żadnych wątpliwości.

Kiedy tylko samolot osiąga wysokość przelotową, Irene podchodzi do pasażerki i klęka w przejściu przy jej fotelu.

– Proszę pani – mówi. Nie jest w stanie powstrzymać drżenia głosu.

Kobieta zdejmuje słuchawki i uśmiecha się z wahaniem.

– Wiem, że to zabrzmie dziwnie – zaczyna Irene. Opowiada kobiecie o tamtym dniu w Nowym Jorku. Szarym koszyku, etui z Nirvaną, o tym, jak codziennie ją tam widywała.

Pasażerka przygląda się jej niepewnie i nic nie mówi. Przez jej twarz przemyka wyraz bólu. A więc coś jest na rzeczy.

Niezrażona Irene mówi dalej:

– Uratowała mi pani życie.

– Nie rozumiem – odzywa się kobieta. Ma inny akcent. Karaibski, ale nie tylko.

Irene chwytą ją za rękę. Kobieta spina się, ale jej na to pozwala. Zewsząd przyglądają się im zaintrygowane pary oczu.

– Zostawiła mi pani wiadomość z podziękowaniami. Nawet nie wiem, za co mi pani dziękowała.

Młodzieniec z miejsca 7A zerka między fotelami. Irene patrzy na niego i marszczy brwi, na co on się odsuwa. Irene znów kieruje swoją uwagę na kobietę.

– Pamięta mnie pani? – pyta. Nagle jest dla niej niezmiernie ważne, by ta dziewczyna – teraz już kobieta – ją pamiętała. Gdy pytanie wydostaje się z jej ust, Irene znów staje się dawną sobą – samotną i przestraszoną. Podatną na wpływy, ale niewpływającą na nikogo.

Czas się nagle potyka, Irene czuje się rozdarta pomiędzy dwoma światami. Wyobraża sobie, jak samolot się rozpada. Najpierw podłoga, potem fotele, na końcu metalowy kadłub. Ona i wszyscy pasażerowie zostają zawieszani w powietrzu, nic ich nie trzyma, jedynie możliwość. W końcu także i pasażerowie bledną i znikają jeden za drugim, widma alternatywnej rzeczywistości.

Zostają tylko Irene i ta kobieta.

– Pamiętam panią – mówi pasażerka. – Mam na imię Natasha. Pamiętam.

Młody mężczyzna z miejsca 7A patrzy znad fotela.

– Natasha – mówi. Twarz ma jak otwartą księgę, a jego świat jest pełen miłości.

Natasha podnosi głowę.

Czas wraca na swoje miejsce. Samolot z powrotem przybiera swój kształt, pasażerowie wypełniają się ciałem. Krwią. Kośćmi. Sercem.

– Daniel – mówi Natasha. – Daniel.

PODZIĘKOWANIA

Emigracja do innego kraju to akt nadziei, odwagi, a czasami także desperacji. W tym miejscu chciałabym podziękować wszystkim ludziom, którzy – bez względu na powody, jakie nimi kierowały – podjęli się długiej podróży do nieznanych lądów. Obyście znaleźli na nich to, czego szukacie. I wiedzcie, że kraj, do którego przybyliście, może tylko zyskać na Waszej obecności.

Dziękuję również moim własnym rodzicom-imigrantom. Oboje to typowi marzyciele, a wszystko, co w życiu osiągnęłam, właśnie im zawdzięczam.

Wyrazy wdzięczności kieruję do redakcji Alloy Entertainment oraz Random House Children's Books: uwierzyliście w tę niemożliwą powieść. Dziękuję, że zaryzykowaliście. Wendy Loggia, Joelle Hobeika, Sara Shandler, Josh Bank oraz Jillian Vandall – to moja drużyna marzeń. Mam niebywałe szczęście, że Was spotkałam na mojej pisarskiej ścieżce. Wielkie podziękowania należą się także takim osobom, jak: John Adamo, Elaine Damasco, Felicia Frazier, Romy Golan, Beverly Horowitz, Alison Impey, Kim Lauber, Barbara Marcus, Les Morgenstein, Tamar Schwartz, Tim Terhune, Krista Vitola oraz Adrienne Waintraub. Bez Was nic się nie wydarzy.

Jednym z najcudowniejszych elementów towarzyszących karierze pisarza są spotkania z czytelnikami. DZIĘKUJĘ, DZIĘKUJĘ, DZIĘKUJĘ każdej jednej osobie, która przeczytała moje książki, zjawiła się po autograf, przysłała mi maila czy odezwała się za pomocą mediów społecznościowych. Tak samo gorąco dziękuję bibliotekarzom, nauczycielom, księgarzom i blogerom. To Wy jesteście powodem, dla

którego mogę cieszyć się wymarzonym zawodem. Dziękuję Wam za wsparcie i wyrazy uznania.

W ciągu ostatnich kilku lat poznałam fantastycznych autorów, którzy stali się moimi prawdziwymi przyjaciółmi: Davida Arnolda, Annę Carey, Charlotte Huang, Caroline Kepnes, Kerry Kletter, Adama Silverę oraz Sabaę Tahir – dziękuję Wam za przyjaźń i nieustanne wsparcie. Bez Was nie dałabym sobie rady na tej szalonej drodze. Jestem także wdzięczna ekipie pisarskiej z Los Angeles i grupie debiutantów Fearless Fifteneers. Rok 2015 to było wariactwo! Cieszę się, że Was wszystkich poznałam. Wznoszę toast za wiele kolejnych lat pisania książek.

Szczególne, ciepłe wyrazy wdzięczności należą się niżej wymienionym: Yoon Ho Bai, Jung Kim, Ellen Oh i David Yoon. Odpowiadaliście na niekończące się pytania na temat Korei i społeczności Koreańczyków w Ameryce. Wasze opinie oraz wskazówki były dla mnie bezcenne.

No i, rzecz jasna, moi najukochańsi: David i Penny. Jesteście moim małym Wszechświatem. Moim powodem wszystkiego. Kocham Was najbardziej na świecie.

Przypisy

- [1] C. Sagan, *Błękitna kropka*, przekł. Marek Kraśniak, Warszawa 1996 [przyp. tłum.].
- [2] T.S. Eliot, *Pieśń miłosna J. Alfreda Prufrocka*, [w:] T.S. Eliot, *Wybór poezji*, przekł. Władysław Dulęba, Wrocław 1990 [przyp. tłum.].
- [3] Dosł. „No dobra. Nieważne. Zapomnij” – fragment tekstu utworu *Smells Like Teen Spirit* Nirvany [przyp. tłum.].
- [4] W. Shakespeare, *Do czego cię porównać* (sonet 18), [w:] William Shakespeare, *Sonety*, przekład, wstęp i opracowanie Stanisław Barańczak, Wydawnictwo a5, Kraków 2011 [przyp. tłum.].
- [5] E. Dickinson, *Nadzieja jest tym upierzonym...*, [w:] E. Dickinson, *100 wierszy*, wybór, wstęp i przekład Stanisław Barańczak, Arka, Kraków 1990 [przyp. tłum.].
- [6] R. Herrick, *Do panien, aby czasu próżno nie trwonily*, [w:] R. Herrick, *77 wierszy*, wybór, przekład, wstęp i opracowanie Stanisław Barańczak, Kraków 1992 [przyp. tłum.].
- [7] „I’m a lover not a fighter”, *The Girl Is Mine*, Michael Jackson [przyp. tłum.].



 zaBookowani.pl

Los oferuje Ci milion szans...
Ty decydujesz, którą wykorzystasz!

Natasha pochodzi z Jamajki, a od ósmego roku życia mieszka w Nowym Jorku. Tu ma swoje życie, chłopaka, przyjaciół... Ale jej rodzina przebywa w USA nielegalnie i w ciągu doby zostanie deportowana. Jakby nieszczęście było mało, Natashę właśnie zdradził chłopak! Przyszłość jawi się w czarnych barwach... I wtedy zrządzenie losu, a może przeznaczenie, stawia na jej drodze Daniela. Czy można zakochać się w ciągu kilku godzin? Dziewczyna uważa, że to niemożliwe. Zresztą, po co jej miłość, skoro niebawem znajdzie się w obcym kraju, wśród obcych ludzi...

Tę opowieść pokochają cynicy i romantycy. Dogłębnie analizuje fenomen miłości i w brutalną rzeczywistość wprowadza nadzieję.

„Kirkus”

Błyskotliwa historia miłosna, pozbawiona cynizmu, urokliwa, a przy tym rozczulająca w najlepszym tego słowa znaczeniu.

„The Bulletin”

Książka zachwyca fanów powieści Eleonora i Park autorstwa Rainbow Rowell.

„School Library Journal”



WYDAWNICTWO
DOLNOŚLĄSKIE

www.publicat.pl

ISBN 978-83-271-5685-3

EAN 9788327156853

U.WD.BEL036.1.01.01